

**MARGIT SANDEMO**

## **SKARGA WIATRU**

Z norweskiego przełożyła

Anna Marciniakówna

Tajemnica czarnych rycerzy tom 03

Tytuł oryginału: „Vindens klage”

POL - NORDICA

Otwock

## STRESZCZENIE

*Morten*, lat 24, *Unni*, 21, i *Antonio*, 27 lat, stwierdzają, że natrafili na jakąś przerażającą tajemnicę, która zdaje się korzeniami sięgać daleko w przeszłość. W rodzinach ich wszystkich każde pierwotne dziecko umiera, nie dożywając dwudziestego piątego roku życia, postanawiają więc zbadać sprawę bliżej. W konsekwencji zostają wciągnięci w wir wydarzeń przypominających kocioł czarownicy, jakieś koszmarnie sny, ostrzegawcze napisy na pergaminowych zwojach, czarni rycerze i pełni nienawiści zakonnicy. Nieustannie pojawiają się tajemnicze słowa: „AMOR ILIMITADO SOLAMENTE” (Tylko bezgraniczna miłość).

Wszyscy troje padają też ofiarami ataków osób jak najbardziej żywych. *Morten* został poważnie ranny.

Starszy brat *Antonia*, *Jordi*, zmarł przed czterema laty jako dwudziestopięcioletni młodzieniec. Był on wielką miłością *Unni* - niebywale trwałe i tajemnicze uczucie na odległość. Po śmierci *Jordiego* przeklęte dziedzictwo przejść miało na dzieci *Antonia*, dlatego też on poprzysiągł sobie, że nie będzie mieć potomstwa.

Nieoczekiwanie jednak spotykają ponownie *Jordiego*, który, jak się okazuje, trwa w jakimś półżyciu, w półzamrożonym stanie. *Jordi* zawarł pakt z pięcioma hiszpańskimi rycerzami z dawno minionych czasów. Ponieważ zainteresował się ich smutnym losem, rycerze ofiarowali mu pięć dodatkowych lat istnienia, by mógł podjąć próbę rozwiązania zagadki, i tym samym przerwał przekleństwo, dręczące ich potomków. Dlatego musiał przejść do świata nie - egzystencji. Dotychczas *Jordi* nie miał czasu zajmować się zagadką rycerzy, ponieważ zarówno jego brat, jak i *Morten* oraz *Unni* wciąż byli zagrożeni, musiał więc ich bronić.

Z rycerzami walczy zaciekle jedenastu mnichów z czasów inkwizycji oraz współcześnie żyjący zły ojczym braci, *Leon* ze swoją bandą, do której należy również piękna *Emma*. Nikt nie rozumie ich zawziętości i pełnych nienawiści ataków. *Morten* nie ma odwagi nikomu wyznać, że jest zakochany w *Emmie*.

Młodzi złożyli wizytę babci *Mortena*, *Gudrun*, mieszkającej w *Selje*, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat przeszłości rodziny. Zabrali ze sobą pielęgniarkę imieniem *Vesla*, opiekującą się *Mortenem*. *Vesla* zakochała się w kandydacie na lekarza, *Antoni*, on jednak jest bardzo powściągliwy w okazywaniu uczuć, chociaż dziewczyna bardzo mu się podoba.

Na wyspie *Selja* spotykają pięciu rycerzy. Są to:

*Don Federico de Galicia*, który ma krewnego imieniem *Pedro*.

*Don Galindo de Asturias*; jego ród wymarł.

*Don Garcia de Cantabria*; ród wymarły.

*Don Sebastian de Vasconia*, który jest przodkiem Unni.

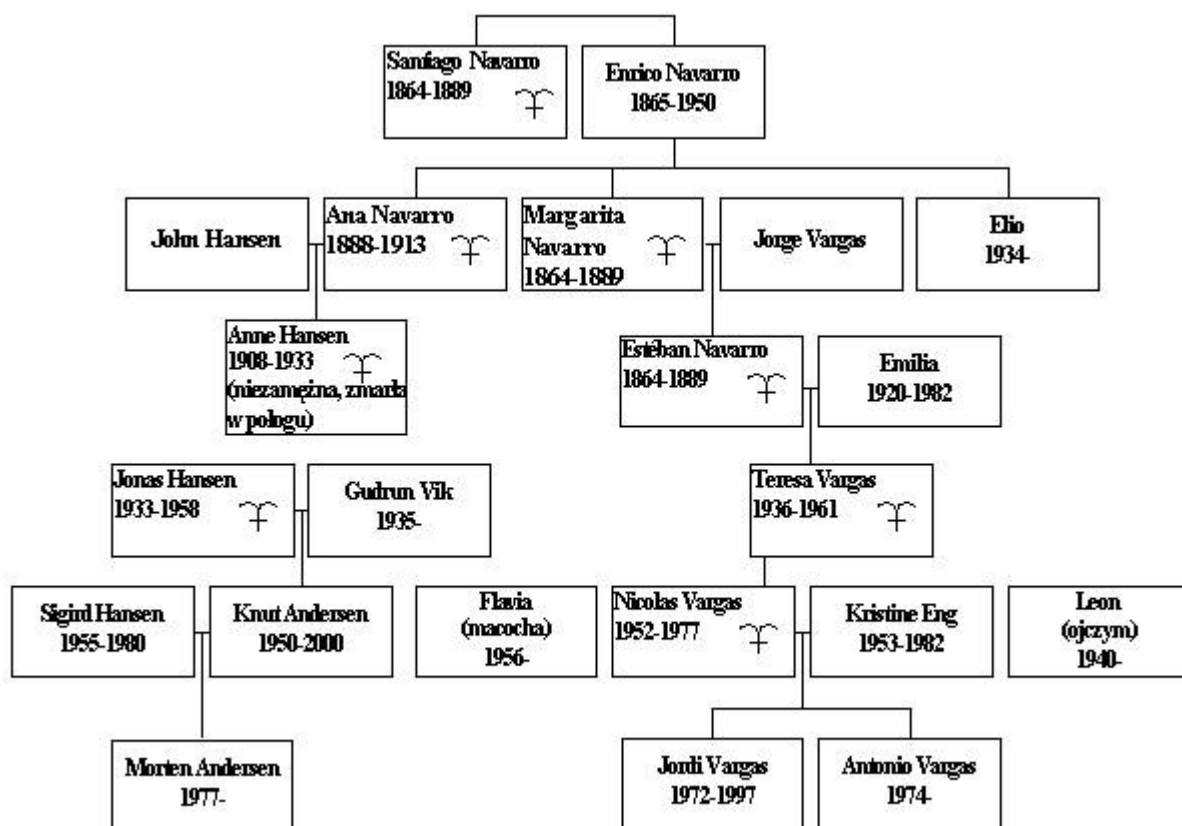
*Don Ramiro de Navarra*, przodek Mortena, Jordiego i Antonia.

Hiszpański urzędnik *Pedro*, starszy, schorowany i bezdzietny człowiek, współpracuje z *Jordim* oraz z sympatyczną macochą *Mortena*, *Flavią*.

Przekleństwo, które dręczy rycerzy i ich potomstwo, zostało rzucone w piętnastym wieku przez złego *Wambę*, stojącego po stronie inkwizycji. Dobra *Urraca*, przyjaciółka rycerzy również znająca się na czarach, nie była w stanie zdjąć przekleństwa, mogła jedynie przez wypowiedanie kontrzaklęć je złagodzić. Rycerze są niemi, stracili mowę w wyniku tortur, jakim poddawali ich mnisi. Tylko *Jordi* może się z nimi porozumiewać, posiada on zdolność przekazywania myśli bez słów.

Unni, Antonio, Vesla i *Jordi* jadą teraz do Hiszpanii, by podjąć próbę odzyskania pewnego człowieka imieniem *Elio*, jedyne krewnego, którego nigdy nie spotkali, ale jego nazwisko znaleźli w dokumentach genealogicznych rodu i mają nadzieję, że może on coś wie. *Morten* został pod opieką babci *Gudrun*.

Potomkowie dona Ramiro. Znak przy nazwisku wskazuje osoby, które zmarły w wyniku przekleństwa w wieku 25 lat.



Dawno zapomniana świętość tkwiła nieruchomo w oczekiwaniu. Las zdołał skryć ją już przed wieloma stuleciami, zioła i trawy porosły zielonym kobiercem.

Żadna prowadząca do niej droga już nie istniała. Nigdzie nie widać też było śladów, świadczących o tym, że kiedyś wokół świętej budowli znajdowały się ludzkie siedziby. Wszystko zostało zrównane z ziemią. Komu chciałoby się tu przedzierać przez nieprzebyte pustkowiec?

Mimo wszystko jednak miejsce to kryło w sobie rozwiązanie tajemnicy, mimo wszystko mogło zapewnić spokój ducha wielu ludziom, innym zaś przynieść ocalenie.

Ale cóż z tego, skoro w zapomnienie odeszła nawet sama tajemnica?

**CZEŚĆ PIERWSZA**  
**MAŁY KAWAŁEK**  
**CIEMNOBRĄZOWEJ SKÓRY**

# 1

Prysznic, jak najprędzej! Królestwo za prysznic, myślała Unni, siedząc w trzecim już tego dnia samolocie. Najpierw była podróż z Oslo do Kopenhagi. Start, plastikowe jedzenie, lądowanie. Potem lot Kopenhaga - Madryt po całonocnym oczekiwaniu w fotelu w kącie hali tranzytowej lotniska w Kastrup. I teraz do Granady - po hiszpańskim upale na lotnisku w Madrycie.

Parę dni temu, w drodze do Selje, przeżyli lodowatą kąpiel w marcowym, ulewnym deszczu, ale to nie daje takiego uczucia czystości jak gorący prysznic. Ubranie lepiło się jej do ciała, pokryte kurzem i przesycone potem, czuła się brudna.

Vesla spała, oparta o Antonia, który rozmawiał z Jordim, siedzącym po drugiej stronie przejścia. Obaj byli zmartwieni. W Madrycie dowiedzieli się, że Morten po tamtej zimnej kąpeli jest poważnie zaziębiony, grozi mu zapalenie płuc.

Unni spoglądała przez okno na rozległe, spalone słońcem równiny La Manchy. Morten z pewnością wyliże się z choroby, przychodzi do niego lekarz, ma poza tym Gudrun, która go pielęgnuje.

Ona sama siedziała obok pustego miejsca, które oddzielało ją od Jordiego. Nie mogła już dłużej narażać się na działanie zimna, jakie od niego emanowało. Kiedy udzielał jej błyskawicznego kursu języka hiszpańskiego, była rozdarta między pragnieniem, żeby siedzieć tuż przy nim a dojmującą potrzebą włożenia ciepłych rękawic. Teraz jej palce odzyskały normalne zabarwienie, nie są już takie sine i przezroczyste, a ona przestała dygotać i nawet zdążyła się spocić. Za to coraz dotkliwiej tęskniła za jego bliskością.

Nie odważyła się powiedzieć reszcie towarzystwa, że czuje bolesne pieczenie u nasady nosa, i po kryjomu łykała pigułki przeciw zaziębieniu. Zjadła ich już tyle, że chyba w końcu dostanie kolki wątrobowej.

Unni była zmęczona. Pragnienie przygody opuściło zresztą całą czwórkę, ale tylko na razie. Gdy doprowadzą się trochę do porządku w hotelowym pokoju, wezmą prysznic, umyją włosy, zjedzą porządny posiłek i odpoczną, z pewnością znowu odzyskają energię.

Włożyła do ust kolejną pastylkę. Po chwili jeszcze jedną, tym razem przeciwwgorączkową, z zapasu, o który dbała jej znająca się na medycynie mama i pilnowała, żeby Unni nie ruszała się bez tej apteczki. Teraz córka przeglądała, czy jest tam jeszcze coś, co pomogłoby zdławić zaziębienie. Tabletki przeciw bieguncce? Uff! Bilobil na poprawę pamięci, nie, no, mamó, czy ty myślisz, że jestem sklerotyczką?

- Co ty robisz? - usłyszała obok rozbawiony głos Jordiego.

Z poczuciem winy upchnęła całą kolekcję pigułek z powrotem w podręcznej torbie.

- Mama jest bardzo troskliwa, ale daje mi lekarstwa odpowiednie raczej dla jej wieku. Ona sama co chwila wpada w panikę z powodu innej choroby. Powinieneś zobaczyć, jakie posiada zbiory leków!

Jordi śmiał się głośno. Kochała jego śmiech. Kochała w nim wszystko z wyjątkiem tego okropnego zimna, które go zamykało jak za murem.

Większość czasu między Kopenhagą a Madrytem wkuwali hiszpański, ale są granice wytrzymałości, przychodzi taki moment, że człowiek nie jest już po prostu w stanie skupić się na niczym, a zwłaszcza na skrajnie skomplikowanych hiszpańskich czasownikach, w końcu powietrze uszło z Unni. Ogarniało ją potworne zmęczenie, już zaczynała zasypiać, gdy nagle, pod wpływem słów Antonia, drgnęła, i usiadła.

- Jordi, jedna rzecz nie daje mi spokoju. Co się stało z tą mapą ze skóry, którą dostałeś od rycerzy? Zginęła?

- Nie - odparł Jordi. - Wciąż ją mam.

- Bogu dzięki! - ucieszył się Antonio. - Gdzie?

Jordi wsunął rękę pod bluzę.

- Nigdy się z nią nie rozstaję. To wyjątkowy dokument.

- Tak. Rozumiem. Czy mógłbym popatrzeć?

Jordi jakby się zawahał, ale trwało to ledwie sekundę lub dwie, po czym wyjął małą paczkę, rulon właściwie, owinięty zniszczonym papierem. Ostrożnie go rozpakował i podał bratu kawałek ciemnobrązowej skóry.

Ten studiował go uważnie i stwierdził, że to musi rzeczywiście być bardzo stare. Vesla, która się właśnie obudziła, była tego samego zdania.

Unni też chciała obejrzyć zabytek. Jordi podawał jej mapę...

Dziewczyna podskoczyła ze stłumionym okrzykiem i upuściła mapę na podłogę. Jordi natychmiast podjął zgubę i znowu jej podał.

- Co się stało? Oparzyłaś się?

- Nie - Wykrztusiła z przerażeniem na twarzy, rozdygotana. - Nie, to nie to.

- W takim razie, co?

Unni czuła się bardzo źle. Patrzyła na Jordiego, ale zdawała się go nie dostrzegać. On zaś czekał bez słowa, widział, że jest nienaturalnie blada.

- Ja... coś mi się ukazało - wyjąkała.

- No właśnie - potwierdził Antonio. - Unni zawsze się coś ukazuje, ona w ogóle widzi więcej niż zwyczajni ludzie.

- Opowiedz, co to było - polecił Jordi i wziął ją za rękę, zapominając, że jego dłoń jest jak bryłka lodu. Unni natychmiast poczuła chłód pełną aż do barku, w tej chwili jednak co innego zajmowało jej myśli niż współczucie czy niechęć.

- Nie mogę tego opisać - wykrztusiła na pół z płaczem. - To zbyt potworne. Po prostu nie do wytrzymania. Ja... Nie!

- Owszem, musisz opowiedzieć - powtórzył Jordi z uporem.

Zaciskała rękę na jego dłoni. Raz po raz przełykała ślinę.

- To była młoda dziewczyna. Strasznie młoda. Piętnaście, może szesnaście lat.

Milczała długo, więc Jordi znowu zapytał:

- A jak wyglądała? W co była ubrana?

Te właśnie słowa przeraziły Unni tak bardzo, że wydała z siebie ni to jęk, ni to szloch.

- Skąd mam wiedzieć...

- Nie denerwuj się, Unni - uspokajał ją Jordi. - Nie spiesz się, czasu mamy dość!

Przymknęła oczy. Wszyscy widzieli, że się kuli, jakby wobec czegoś niepojętego, nie do zniesienia.

- To była młoda dziewczyna - zaczęła znowu. - Taka ładna, delikatna, miła. Ale... rysy jej twarzy...

Unni znowu jęknęła:

- Nie mogę!

- Możesz - zaprotestował Antonio, przyszedł lekarz; przeciągnął ją na środkowe siedzenie i sam usiadł obok. Nie było to wcale takie proste w ciasnym samolocie. Położył jej ręce na plecach, przemawiał przyjaźnie, ale zdecydowanie:

- Co takiego straszego było w jej rysach?

- Były bardzo piękne. I zmienione.

- No? - zachęcał Antonio, gdy znów umilkła. - A włosy?

- Ciemne. Wysoko upięte, bardzo ładna fryzura, ozdobiona perłami.

Bracia popatrzyli po sobie.

- A jak była ubrana? - nie dawał za wygraną Antonio. Unni cofnęła się, usunęła z jego objęć, niespokojna, zdenerwowana.

- Skąd mam to wiedzieć? - omal nie krzyknęła.

- A co, widziałaś tylko jej twarz? I głowę?



- Tak. Przecież nic więcej nie było, z wyjątkiem cieknącej krwi! Ta dziewczyna została ścięta!

Unni ukryła twarz na piersi Jordiego i wybuchnęła płaczem.

Wszyscy pozostali siedzieli w milczeniu. Zastanawiali się, co o tym myśleć.

Bracia znowu wymienili spojrzenia i ledwie dostrzegalnie skinęli głowami.

Co my robimy? W co myśmy się wdali? myślała Unni przerażona. Jakie to okrutne tajemnice wyciągamy naienne światło? Co to za pięcio - czy sześciowiekowe upiory się ukazują i przerażają nas, niewinnych, supernowoczesnych ludzi końca drugiego tysiąclecia? Dlaczego nie przerwiemy tych poszukiwań, dopóki nie jest za późno, dopóki jeszcze nie stanęliśmy twarzą w twarz z największą makabrą?

Czy nie dość już widzieliśmy?

Jordi odbył długą serię niewytłumaczalnych, okropnych wędrówek z powrotem w miniony czas. Sami rycerze, ci, którzy byli częścią owych zwiadów w przeszłości, mają swoje potworne wspomnienia i wizje.

Za zimno było siedzieć przy Jordim, niechętnie cofnęła się więc, ale złe myśli jej nie opuszczały.

Co takiego kryje się w mrokach przeszłości? Dwie znające się na czarach istoty rzucały na siebie nawzajem przekleństwa, to prawda, ale czy zło czarów musi sięgać tak daleko w przyszłość?

Na czym polega zagadka, której nikt nie zna? Ona sama przecież została zapomniana! Nie, nie tylko przez rycerzy i mnichów, lecz przez całą ludzkość. Jakim cudem więc mamy znaleźć odpowiedź? Odpowiedź na nieznane pytanie? Odpowiedź na nic?

Ciekawe, czy przestępcza banda Leona czegoś nie wie. Czegoś, o czym my nie mamy nawet pojęcia. Ale nie możemy przecież po prostu pójść i ich zapytać!

A może powinniśmy machnąć ręką na to wszystko?

Nie, tak łatwo się nie wykpimy. Życie Jordiego i Mortena zależy od naszego działania. Moje życie również.

Rycerze muszą odzyskać spokój. I tylko my jesteśmy w stanie go im przywrócić.

Ale czy naprawdę?

„Tylko bezgraniczna miłość”.

Co wspólnego z całą sprawą mają te słowa? No tak, ten, kto kocha, i kto jest kochany tak samo bezgranicznie, jest jedynym zdolnym rozwiązać zagadkę. Jaką cholerną zagadkę?

„Vencid Sanctum Officium”. „Zwalczaj Święte Officium”. Czy rycerze byli zwyczajnymi heretykami?

Nie, rozwiązanie nie jest takie proste.

Przybyli z prastarych państw nad Zatoką Biskajską, na północ od Hiszpanii. Teraz są to autonomiczne prowincje kraju, niegdyś jednak były potężnymi królestwami. Chociaż w wieku piętnastym nie. Wtedy pozostała właściwie tylko Nawarra i może jeszcze Vasconia, dzisiaj Kraj Basków. Unni nie pamiętała dobrze, co się stało z pięcioma istniejącymi dawniej królestwami; Antonio jakoś bardzo pospiesznie o nich opowiedział.

Chcę do domu, skarżyła się w duchu.

A zresztą nie chcę. Chcę być z Jordim. Ale do niego zbliżyć się nie można. Chcę poznać to ciepło, które - jestem tego pewna - on posiadał, zanim rycerze mu je odebrali.

Nigdy przedtem żaden człowiek mnie tak nie opętał! Jakim sposobem zdołam go zdobyć?

Sposób istnieje jeden: rozwiązanie zagadki. Tylko wtedy Jordi zostanie uwolniony od tego śmiertelnego chłodu.

Ale co się z nim potem stanie? Czy wróci do dawnego życia, czy też pozostanie raczej po śmiertelnej stronie granicy?

Myśli przygnębiły Unni.

Niezależnie od tego jednak, w jakich rejonach krążyły jej myśli, nie mogła się pozbyć tego widoku, który dopiero co na ułamek sekundy zobaczyła.

A kiedy się go pozbędzie?

Prawdopodobnie nigdy.

Ani Pedro, ani Flavia nie mogli ich powitać na lotnisku w Granadzie, ponieważ hiszpańscy współpracownicy Leona ze szczególną uwagą obserwowali tych dwoje.

Mimo wszystko na lotnisku spotkało ich jednak coś przyjemnego. Unni włączyła swój telefon komórkowy i natychmiast zadzwoniła jej matka.

- Gdzie ty się podziewasz, Unni? Dzwonię i dzwonię, dlaczego wyłączyłaś telefon?

- Bo leciałam, mamó. Przemieściłam się nad całą Europą. Teraz wylądowałam w Hiszpanii.

Na wszelki wypadek nie precyzowała, gdzie dokładnie. Mama mogła być przez kogoś wypytwana, lepiej, żeby nie wiedziała.

- Przecież ty nie masz pieniędzy! Nie, to wszystko nie ma sensu! Zaraz ojciec wpłaci dziesięć tysięcy koron na twoje konto, żebyś nie chodziła głodna. Czy ten sympatyczny lekarz jest z tobą?

To nie ten brat, kochana mamó, nie ten brat.

- Owszem, Antonio też tu jest.

Ta odpowiedź uradowała mamę.

- Jak to miło - powiedziała Unni do swoich przyjaciół, kiedy już skończyła rozmowę. - Podzielimy się kieszonkowym, przynajmniej będziemy mogli zamieszkać w jakimś przyzwoitym miejscu.

- Tutaj mają niezłe hotele za przystępną cenę - oznajmił Jordi. - Jeśli się, rzecz jasna, nie wymaga luksusu.

Tego na szczęście żadne z przybyłych nie zamierzało robić. Wkrótce potem zainstalowali się w ładnym i porządnym hotelu z wszelkimi wygodami. Dziewczęta chciały wziąć wspólny pokój, ale Antonio zaprotestował. Tej nocy Unni musi mieszkać sama, bracia zamierzali przeprowadzić z nią pewien eksperyment.

- Nie brzmi to specjalnie zachęcająco - wycodziła Unni przez zęby, spoglądając na nich surowo.

- Bo też bardzo przyjemne to nie będzie - przyznał Jordi. - Bylibyśmy ci jednak wdzięczni, gdybyś przez to przeszła.

Nic więcej nie powiedział, ale kiedy już wyszorowani do czysta i przebrani w świeże ubrania zjedli smaczny obiad - nie, Unni nie może pić wina - a potem zasiedli w pustym hotelowym salonie, bracia wyjaśnili, do czego zmierzają.

- Nie! Nie! Nie! - powtarzała Unni, robiąc długie przerwy między kolejnymi protestami. - Nie, absolutnie nie! Mam wrażenie, że postradaliście zmysły!

- Myślisz, że nie zdołasz zasnąć z tym kawałkiem skóry pod poduszką? - spytał Antonio.

Patrzyła na niego przerażona. Potrząsała głową, przekonana, że takiego koszmaru nie zniesie. Jordi starał się ją uspokoić:

- Ja będę z tobą w pokoju, więc nie musisz się bać. Będę przy tobie czuwał i w razie gdybyś miała złe sny, obudzę cię.

- To będą raczej wizje - wtrąciła Vesla. - A w ogóle to myślę, że za dużo od niej wymagacie.

- Żeby tylko - mruknęła Unni. - Oni nie wiedzą, o co proszą.

Antonio starał się ją przekonać:

- Unni, ty jesteś przecież wyjątkowa...

- Tak, absolutnie wyjątkowa - powiedziała z udaną swobodą, jakby chciała obrócić wszystko w żart, ale wyszło jej to blado.

- Ponieważ zareagowałaś tak gwałtownie, kiedy dotknęłaś skóry, to pomyśleliśmy, że...

- Tak, tak, rozumiem. Wymagacie ode mnie rzeczywiście zbyt wiele - uśmiechnęła się niepewnie. - Ale ja też jestem ciekawa.

- Świetnie - odetchnął Jordi. - I powinnaś, naturalnie, powiedzieć stop, gdyby działo się coś nieprzyjemnego. Zresztą i tak nie ma pewności, czy w ogóle przeżyjesz coś nieprzyjemnego tej nocy.

Unni spoglądała ukradkiem na Jordiego i wiedziała, że dla niego gotowa jest zrobić wszystko. Także to, choć strach dławił ją w piersi.

- Obiecuj mi, że przerwiesz, gdy tylko...

- Natychmiast - obiecał solennie.

Pogłaskał ją po policzku z tym smutnym i ciepłym wyrazem oczu. Unni poczuła, że gardło jej się ścisza.

- Ale mimo wszystko nie potrzebujemy trzech pokoi - wtrąciła Vesla. - Dwa wystarczą.

Oczy Antonia rozbłysły.

- Chcesz powiedzieć, że my oboje moglibyśmy zamieszkać razem?

- A dlaczego nie?

- Nie mam odwagi.

- Przrzekam, że nie będę próbowała cię uwieść. Będę leżeć bez ruchu na swojej połowie łóżka.

- Obawiam się jednak, że ja nie.

Vesla musiała odwrócić zarumienioną, uszczęśliwioną twarz.

- Okay. Trzy pokoje - zdecydowała.

Antonio widział jej uśmiech nieudawanej radości i zaczął mieć problemy z oddychaniem. W żadnym razie nie powinien był tak mówić. Vesla jest dziewczyną, której trudno się oprzeć. Co by się wtedy stało z jego tak dzielnie pielęgnowaną cnotą?

Unni miała piętnaście minut na położenie się do łóżka. Cieszyła się, że zabrała w podróż krótką, a właściwie króciutką nocną koszulkę, ale teraz myślała przestraszona jedynie o tym eksperymencie, który panowie wymyślili, i ręce jej drżały. Podciągnęła kołdrę pod głowę, znowu ją odrzuciła, zmieniła pozycję, wciąż była z niej niezadowolona, i w końcu ułożyła się na plecach tak, żeby wyglądać jak najładniej. Bardzo się starała opanować bicie serca, od którego pewnie kołdra się trzęsie, tak jej się przynajmniej wydawało.

Po kwadransie przyszedł Jordi, ubrany w długie jasne spodnie, bawełnianą koszulkę i sandały. Pewnie wszystko pożyczył od Antonia. Nie wydawał się już taki sinoniebieski i taki potwornie chudy jak tego dnia, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, ale pociągający był nadal, i to może bardziej niż przedtem.

Ponieważ Jordi stał, a ona leżała, zdawał się potężny jak jakiś władca, w każdym razie ktoś obdarzony wielkim autorytetem, choć to przecież nieprawda, Jordi nie miał w sobie nic dominującego. Pod tą przerażającą powłoką mrozu był najbardziej ciepłą osobą, jaką Unni kiedykolwiek spotkała. I to właśnie ciepło zarejestrowała już przy pierwszym spotkaniu, tego ciepła nie potrafiła zapomnieć.

No i oczywiście jego powierzchowności, takiej wyjątkowej. Szczerze mówiąc, to powierzchowność Jordiego tak ją oczarowała, oślepiła i sprowadziła na manowce,

- Nie będę się kładł - oznajmił. - Możesz spać spokojnie. Ja posiedzę w fotelu.

- Ale gdybyś poczuł się zmęczony, to przecież możesz skorzystać ze swojej połowy łóżka - Unni uśmiechnęła się przyjaźnie.

Jordi wahał się przez chwilę.

- No dobrze, przecież w żaden sposób ci nie zagrażam.

Nie, niestety, nie zagrażasz, pomyślała z ciężkim westchnieniem.

Jordi wyjął pociemniałą skórzaną mapę. Unni przyglądała się jej z wielkim sceptycyzmem.

- Nie będziesz musiała tego bezpośrednio dotykać - uśmiechnął się uspokajająco, widząc jej przerażone spojrzenie. - Włożymy mapę pod poduszkę, żeby ci nie mogła zrobić wielkiej krzywdy.

Nigdy nic nie wiadomo, pomyślała Unni. Nie cieszyło jej to wszystko, tamta wizja z samolotu naprawdę budziła grozę. No, ale mus, to mus.

- A co będzie, jeśli nie zasnę?

- Taką ewentualność również braliśmy pod uwagę, dlatego Antonio dał ci tę tabletkę. Ona ma ci jedynie ułatwić zaśnięcie, naprawdę jest bezpieczna.

- A nie wpłynie na rezultaty eksperymentu?

- Antonio uważa, że nie.

Unni posłusznie łykała lekarstwo, popijając wodą, a tymczasem Jordi uniósł poduszkę i starannie ułożył mapę na prześcieradle. Upewnił się, czy wszystko jest jak trzeba, umieścił poduszkę na miejscu, potem usiadł w jedynym w tym pokoju fotelu.

- Przysuń się bliżej - poprosiła. - Jesteś tak strasznie daleko, czuję się jak porzucona na otwartym morzu.

- Rozumiem - uśmiechnął się i przyciągnął fotel bliżej łóżka.

Unni próbowała trzymać go za rękę, ale bez ciepłych rękawic nie byłoby to możliwe. Przekłęci rycerze, czy oni musieli go zakuć w ten lodowy pancerz? To chyba nie było konieczne?

Owszem, było, tyle Unni zdążyła się już dowiedzieć. Bez tego pancerza Jordi byłby całkowicie bezbronny. Wobec wielu różnych zagrożeń, również wobec jej bezgranicznego uwielbienia.

Wciąż nie opuszczał jej niepokój. Coś było nie tak jak trzeba, coś szło źle!

- Jordi, ogarnia mnie jakiś dziwny stan, wszystko jest zamazane jak we mgle, wyczuwam coś niespokojnego, spłoszonego, jakby poszukującego, a może ścigającego... - Z gardła dziewczyny wydobył się szloch. - Wiatr, wiatr skarży się tak żałośnie. Skąd się ten wiatr bierze?

Jordi natychmiast wstał i wyjął mapę spod poduszki.

- Poczekamy, aż zaśniesz, i dopiero wtedy włożę skórę na miejsce.

- Dziękuję ci - Unni odetchnęła z ulgą. - Teraz czuję się lepiej. Zupełnie nie pojmuję, jak mogłam słyszeć tutaj skargę wiatru. W pokoju hotelowym przecież nie wieje. Na dworze zresztą też nie!

Jordi przyjrzał jej się uważnie, zanim zapytał:

- Widziałaś coś?

- Nie, ale bardzo się bałam, że zobaczę. Miałam wrażenie, że we mgle coś się do mnie zbliża. Coś, co szuka... mnie.

Żadne nie powiedziało głośno tego, o czym oboje myśleli, że mianowicie działanie magicznej mapy byłoby znacznie silniejsze, gdyby Unni trzymała ją w ręce i nie spała. To by jednak było zbyt wielkim obciążeniem dla jej psychiki, Jordi też się tego domyślał. Tamta wizja, a właściwie błysk wizji w samolocie, był wystarczająco straszny.

W jego ciemnych oczach Unni wyraźnie widziała szczere zatroskanie. Wiedziała, że niechętnie naraża ją na te przeżycia, ale że to jedyny sposób, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat zagadki.

Uśmiechnęła się do niego, jakby chciała dodać mu odwagi, potem powiedziała dobranoc i skuliła się na posłaniu.

Naszła ją, nieco spóźniona, trzeba powiedzieć, chęć przeciągnięcia się, spojrzała jeszcze na Jordiego i spytała:

- A czy nie będziemy szukać Elia?

- Jutro o tym porozmawiamy - odparł. - Vesla miała rację, że wymagamy od ciebie za wiele, zwłaszcza teraz, kiedy jesteś taka zmęczona po wszystkich okropnych przeżyciach i po długich podróżach ostatnich dni, ale czy nie lepiej mieć to już za sobą? Nie będziesz musiała się więcej niepokoić, że czeka cię coś nieprzyjemnego.

- Tak - odpowiedziała trochę niepewnie. - Oczywiście. Dobranoc!

Jordi usiadł i patrzył na nią zmartwiony. Nie będzie to chyba dla ciebie zbyt przyjemna noc, dziecko drogie. Ale, mój Boże, jak ja cię kocham za tę twoją odwagę!

A gdybyś wiedziała, jak bardzo cię kocham, to byś się pewnie nie odważyła przebywać tak blisko mnie.

A może właśnie dlatego byś chciała? Bo może tęsknota jest równie silna w nas obojgu?

Tak bardzo bym chciał w to wierzyć.

### 3

Unni przeżywała koszmar ludzi walczących z bezsennością. Odbywa się to tak: Człowiek czuje, że ciało się rozluźnia, umysł uspokaja i sen nadchodzi. Wtedy coś się w nieszczęśniku zaciska i zaczyna myśleć: sen się zbliża, muszę się w nim pograć. Nie mogę pozwolić, żeby senność się ulotniła. Powinienem się odprężyć. Muszę przestać myśleć!

No i robi coś najgorszego, mianowicie leży i czeka. Czeka i czeka. W końcu senność zmienia się w czuwanie i koniec. Będzie się tak leżeć bezsenne w ciągu wielu bezsensownych godzin. Umysł bowiem jest zbyt zmęczony, by produkować coś pożytecznego, człowiek boi się wstać, bo wtedy to już na pewno zniknie cenna senność, człowiek leży więc, a w głowie krążą jakieś beznadziejne myśli.

Unni znalazła się na takiej właśnie karuzeli. Nie mogę zasnąć, nie mogę zasnąć, co począć, żeby sobie jakoś z tym poradzić? W końcu jednak tabletki zwyciężyły, a ponieważ Unni nie przywykła do środków nasennych, to mimo oporu, jaki stawiał jej umysł, zapadła w drzemkę, która z wolna przeszła w sen.

Jordi wstał i pochylił się nad nią. Nieskończenie ostrożnie, z troską i czułością, wsunął kawałek skóry pod poduszkę, stronę, na której znajdowała się mapa, ku górze. Potem delikatnie pogłaskał Unni po włosach, które odrosły na tyle, że układały się miękko na głowie; nie było już nastroszonej czupryny. Wolno cofał rękę z pełnym miłości uśmiechem na wargach.

Unni przeżywała to wszystko na swój sposób. Sen bowiem może trwać kilka sekund, lecz dla śniącego jest to długa sekwencja wydarzeń. W tych paru sekundach może się zmieścić cały dramat.

Najważniejszym doznaniem był, oczywiście, chłód. Poprzez zamknięte, uśpione powieki widziała, co się obok niej dzieje. Dostrzegała, że Jordi pochyła się nad nią, a widziała wszystko dokładnie w chwili, gdy robił to w rzeczywistości.

Ale, mój Boże, ile jej spragnione zmysły były w stanie zarejestrować!

Widziała go jako olbrzymią, mieniającą się niebieskawo lodową istotę zarówno nad sobą, jak i wokół siebie. Owa istota nie miała konturów, nie miała zdecydowanej formy, to bardziej aura przesyconego erotyzmem chłodu otaczała śpiącą dziewczynę, przesuwając się ponad nią, dopóki nad Unni pochylały się oczy Jordiego pod czarnymi jak węgiel rzęsami. Teraz jednak te oczy nie były ciemne jak w rzeczywistości, były klarowne, jakby przezroczyste, zielonkawoniebieskie. I poważne, niemal surowe. Kryło się w nich wielkie



pożądanie, pragnienie, by wziąć ją w posiadanie, i Unni odczuwała drżenie w całym ciele. Nawet ten mróz sprawiał jej rozkosz, jakby się rozplątywał w jej własnym gorącu. Teraz poczuła jego ręce pod swoimi plecami (to w momencie, kiedy Jordi wsunął rękę pod poduszkę, lecz zmysły Unni odbierały to inaczej), czuła, że on ją obejmuje. Wydawało jej się, że jest naga, i westchnęła leciutko, kiedy owa niezwykła lodowa istota pochyliła się nad nią i zdawała się ją przygniatać swoim jakby pozbawionym substancji ciałem.

I zaraz potem odpłynął od niej. Unni krzyknęła bezgłośnie, by go zatrzymać, ale on roztopił się w niebieskawej mgle i wszelki chłód zniknął. Zmiana była tak wielka, jakby Unni nagle znalazła się w podgrzewanym basenie, kołysana przyjemną, ciepłą wodą.

Przez krótką chwilę.

Bo niebawem woda zniknęła. Zniknęło wszystko, co przyjemne, i została kompletnie sama w tym obcym świecie. Nigdzie żadnego Jordiego, nigdzie nikogo. Wolno, podstępnie znowu osaczał ją lęk.

Jordi się dziwił. Dziwił się łagodnemu uśmiechowi, który błąkał się po twarzy śpiącej dziewczyny, kiedy on pochylony nad nią starał się włożyć mapę pod poduszkę. Było w tym uśmiechu coś zmysłowego, a zarazem ogromny spokój i zadowolenie, jakby w oczekiwaniu na wielką przyjemność.

Kiedy wrócił na swoje miejsce, uśmiech na twarzy śpiącej zgasł.

Teraz jej twarz była pozbawiona wyrazu.

Jordi nie spuszczał z niej wzroku, ale powoli pogrążał się we własnych myślach.

Myślał o tym, że jego miłość do Unni jest z każdym dniem silniejsza, ale nigdy nie była bardziej szczerą niż teraz, kiedy Unni leży taka bezbronna, zdana na jego opiekę. Tylko jak on potrafi ją obronić przed czymś, co może już teraz wypływać z kawałka starej skóry i przenika mózg dziewczyny?

I co właściwie zrobił tej istocie, która jest dla niego kimś najdroższym na świecie? Najpierw próbował połączyć ją z Mortenem, Boże, jak mógł być taki głupi? A teraz? Teraz nikt nie wie, czym to się może skończyć.

Siedział tak i czuł, że samotność boleśnie rozrasta się w jego piersi. Wielkie szpony drapieżnego ptaka drą ciało aż do kości, szpony strachu i bólu, trudnej do zniesienia izolacji...

Owa wewnętrzna samotność, którą każdy człowiek w sobie nosi, samotność, którą odczuwa się nawet w gronie wesołych przyjaciół, zawsze u Jordiego była wyjątkowo silna. Od dzieciństwa pustoszyła jego serce i sprawiała dotkliwy ból. Za wszelką cenę chciał się jej pozbyć, bo odbierała mu całą radość i wolę życia, tak niezbędną, by mógł chronić młodszego brata Antonia, pomagać mu, a później pomagać również Mortenowi i teraz Unni. Ale

wewnętrzny smutek, poszukiwanie bratniej duszy, która potrafiłaby zrozumieć i współczuć, trwał w nim zawsze. Nigdy nie potrafił się *od* niego uwolnić.

No a po tym jak cztery lata temu zawarł pakt z rycerzami, znalazł się jak najdosłowniej poza kręgiem ludzkiego ciepła i wspólnoty.

Wiedział, że właściwie powinno to już tak pozostać. Rycerze jednak zdawali się nie mieć nic przeciwko temu, że Jordi przyłączył się do brata i jego przyjaciół. Zdawali sobie przecież sprawę, że czas ucieka teraz strasznie prędko, więc wszystkie środki muszą być dozwolone. Akceptowali grupę jako całość w walce z czasem i mnichami oraz współczesnymi przestępcami, sabotującymi wszystko, do czego rycerze dążyli.

Unni leżała spokojnie, zdawało się, że śpi głęboko. Tylko jedna powieka jej drgnęła, ale tak szybko, że ledwie zdążył to zarejestrować.

Myśli Jordiego powędrowały do czasów minionych, pojawiły się wspomnienia. Wrócił do okresu, kiedy osieroceni przez rodziców bracia mieszkali u dziadków ze strony matki, w Hadeland. Miał dwanaście lat, gdy posunięty już w latach dziadek, Adam Eng, zabrał go w podróż. Mieli odwiedzić islandzkiego przyjaciela dziadka, obaj panowie przez wiele lat pracowali razem. Wraz z pieniędzmi na podróż przyszło zaproszenie dla chłopców. Antonio jednak zachorował, złożyła go ciężka grypa, pojechał więc tylko Jordi.

Ojciec Jordiego dawno temu opowiedział synowi o przekleństwie, które sprawia, że pierworodni w ich rodzinie umierają, zanim skończą dwadzieścia pięć lat. Nie powinien był tego robić, bo od tej chwili Jordi właściwie nie myślał o niczym innym, zwłaszcza po śmierci ojca. Uważał teraz, że wyjazd na Islandię jest całkiem zbyteczny. Co on ma do roboty na tej zimnej Północy? To po prostu strata czasu. Uważał, że jego miejsce jest w Hiszpanii. Tam powinien pojechać i starać się jakoś przerwać ciężące na rodzinie przekleństwo, planował to właściwie od zawsze.

Unni poruszyła się lekko, jedna stopa wysunęła się spod kołdry. Jordi usiadł na brzegu łóżka i ostrożnie ułożył stopę na miejscu; taka była maleńka i tak ufnie spoczywała w jego dłoni, że nie miał ochoty jej puścić. Ale stopa Unni drgnęła pod dotykiem jego lodowatych palców, więc ją troskliwie otulił kołdrą i wrócił do swojego fotela.

Nie mógł wyczytać z twarzy dziewczyny, czy jej się coś śni, bo kołdra przesłaniała jej policzki. Jordi nie wiedział, czy może ją poprawić, bał się, że obudzi Unni. Postanowił trochę poczekać.

Powrócił do przerwanych wspomnień.

Spotkanie z Islandią było dla dwunastolatka szokiem. Znajdowało się tam niewiarygodnie dużo rzeczy do oglądania, wystarczyło wyjechać z lotniska. Przyjaciel dziad-

ka zabierał ich jeepem na wycieczki po wyspie, na zachód i na południe, także na północ, wszędzie, z wyjątkiem najdalszych terytoriów na wschodzie. Był rok 1986 i potoki turystów jeszcze nie zaczęły zalewać kraju, więc drogi w głębi wyspy pozostawały takie jak od wieków. Trzeba było się przeprawiać przez rwące rzeki, a bywało, że i przez wielkie zasypy śniegu, jeep zakopywał się po osie w podłożu, to znowu trzeba było się chronić przed piaskowymi burzami. W tamtych czasach na Islandii znajdował się tylko jeden niewielki las brzozy w północnej części wyspy i rzadkie zagajniki, raczej krzewów niż drzew, to tu, to tam. Naturalny most kamienny pod wodospadem Ófðu jeszcze się nie zawalił, Jordi mógł oglądać nie tknięte Landmannalaugar i Námaskard a także wziąć gorącą kąpiel pod gołym niebem. Można było schodzić na sam brzeg bardzo niebezpiecznych, wiecznie bulgoczących źródeł, podobnych do wielkich kotłów, spacerować brzegiem dymiących bagien, a bezczelnie, niczym niezrażeni turyści pod każdym kamieniem byli jeszcze zjawiskiem całkowicie nieznanym.

Mimo wszystko dziadek chciał odwiedzić miejsce prawie niedostępne. Pociągał go Laki, ów przerażający wulkan, który spowodował wybuch z największą w historii świata liczbą ofiar śmiertelnych. Dziadek Adam był zafascynowany katastrofą, która przytrafiła się pod koniec osiemnastego wieku, kiedy to Laki i ponad sto innych kraterów wybuchło, tworząc dwudziestopięciokilometrowej długości rozpadlinę wulkaniczną, tak zwane Lakagigar. Popiół, który wtedy spadł na ziemię, zatrul glebę i trawę tak, że na trzech czwartych powierzchni wyspy wyginęły zwierzęta i zmarło dwadzieścia procent ludzi. Ci, którzy nie zginęli w ciągu trwającej dwa lata serii wybuchów z kolejnych kraterów, zmarli potem z głodu właśnie w wyniku owego zatrucia gleby. Obecność chmur popiołu stwierdzano wówczas nad Sztokholmem i nawet daleko na Syberii, nad górami Ałtaj pojawiały się zawierające popiół chmury.

Była to wciąż kompletnie wymarła okolica, której nikt nie odwiedzał. Parę lat wcześniej miodny pasterz owiec odłączył się gdzieś pod Lakagigar od swoich towarzyszy i przepadł, nigdy go nie odnaleziono. I to właśnie tam, do Lakagigar, chciał się wybrać dziadek Jordiego. Dlaczego? E, tak tylko, zwyczajnie, chciałby zobaczyć, odpowiadał pytany.

Cóż, dosyć to dziwny powód, myślał sobie Jordi. Czyżby dziadek nagle zapragnął niezwykłości? Zwłaszcza że droga tam była trudna, miejscami w ogóle nieprzejezdna. „Jeep sobie poradzi”, przechwalał się islandzki gospodarz.

Jordi miał wątpliwości, ale w końcu ustąpił. Też chciał tam pojechać, tyle że z innych powodów. On, skazany na śmierć, pragnął przeżyć spotkanie z absolutną pustką. Samotność w jej najwyższej postaci. Chciał dotknąć udęczonego świata wokół wulkanu, poczuć się jego

częścią. Ale wiedział, oczywiście, że nie odczuje tej samotności, miało mu przecież towarzyszyć dwóch mężczyzn.

Mimo to pojechał.

Szlak wiodący w górę z trudem zasługiwał na miano drogi. Minęło wiele godzin, chwilami bywało bardzo ciężko, jeep, jęcząc i prychając, przedzierał się między blokami lawy, w końcu jednak dotarli na miejsce.

Pogoda nie była najlepsza. Mgły snuły się nad księżycowym krajobrazem, kiedy wysiedli z jeepa tuż nad poszarpanymi brzegami głównego krateru Laki. Nie były jednak zbyt gęste, w pobliżu majaczyły sąsiednie kratery, wyraźnie widzieli zbocza uformowane z zastygłej wulkanicznej lawy, porośnięte szarym islandzkim mchem, który w blasku słońca zmienia barwę na zieloną. Teraz jednak wszystko wokół było szare i czarne, czy może raczej brunatnoszare, krajobraz wymarły, przygnębiający i beznadziejny.

Jordi odłączył się od obu panów, starał się odejść tak daleko, by ich nie widzieć i nie słyszeć ich głosów. Wtedy przystanął. Lekki wiatr rozpraszał chmury i odsłaniał bezkresne pola lawowe. Chłopiec wiedział, że nie myśli tak samo jak inni ludzie, którzy się tutaj znajdują. Większość pewnie narzeka na naturę, złorzeczy wulkanowi i lawie za to, co uczyniły ludziom, zwierzętom i całej pięknej naturze wschodniej Islandii. Jordi natomiast odczuwał raczej to, co tutejsza ziemia. Miał w sobie współczucie dla niej. Dla tych stu wulkanów, które spowodowały takie zniszczenia. Dla lawy, która musiała wypływać z wnętrza ziemi, kiedy dwie płyty kontynentalne dosłownie odskoczyły od siebie w owym gigantycznych, niszczącym wstrząsie, jakiemu uległo dno Atlantyku w latach 1783 - 1784. Żył współczucie dla nieodwołalnie zniszczonej ziemi. I płakał w głębi duszy, łkał nad utraconymi pastwiskami, nad pustką i nad swoją straszliwą samotnością.

Podobną samotność odczuwał po śmierci rodziców, kiedy to uświadomił sobie, że teraz na niego spada cała odpowiedzialność za młodszego brata, Antonia. Ta sama bezbrzeżna samotność osaczyła go, kiedy pięciu rycerzy pozbawiło go egzystencji ludzi żywych. Odczuwał ją także teraz, siedząc przy posłaniu Unni, jedynej miłości swego życia. Wiedział bowiem, że ta miłość nie ma przyszłości ani żadnej nadziei, toteż uczucie opuszczenia było dużo większe niż zwykle.

Przypominał sobie, jak stał na zwietrzałych pozostałościach krateru Laki, a straszliwa samotność czaiła się zewsząd niczym potężne fale rozpalonej lawy, gotowa go pochłonąć tak, by czarna ciemność zamknęła się nad nim na wieki.

Podobnie czuł się i w tej chwili. Nigdy przedtem nie znajdował się aż tak bardzo poza ludzką wspólnotą, Unni przebywała setki mil od niego.

Jordi drgnął, wrócił do rzeczywistości. Dotychczas Unni leżała spokojnie. Teraz odrzuciła kołdrę, zasłaniającą jej policzek. Nadal spała, ale wyraz jej twarzy zmienił się bardzo.

Było bardzo cicho.

Najpierw niezauważalnie, niczym szum w uszach, ledwo słyszalny, narastała żalosa skarga.

Skarga wiatru.

Ale przecież tutaj nie ma wiatru.

Unni na tyle jeszcze zachowała przytomność, by wiedzieć, gdzie się znajduje. Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć Jordiego, czuła bowiem, że jest to strasznie głupi eksperyment, który otworzy przed nią całą grozę świata, ale nie mogła się ruszyć. Wiedziała tylko, że Jordi jest w pobliżu, w pokoju bowiem panował chłód.

Senne wizje powoli wypierały rozdygotane obrazy i myśli, wypełniające jej umysł w chwili zasypiania. Pojawiła się mgła, a w niej, gdzieś daleko, ktoś szedł ku Unni.

Odtwarzam spotkanie z rycerzami na Selji, pomyślała Unni w rozpaczliwej próbie stłumienia narastającego strachu. To nie jest niebezpieczne, w ogóle nie jest niebezpieczne!

Ale owe zapewnienia nic a nic jej nie pomogły.

Pograżała się w coraz głębszym śnie, lecz dla niej wszystko, co się w nim działo, było coraz bardziej rzeczywiste. Przerażająco rzeczywiste. Bała się tak, że chciała uciekać, ale nie mogła się ruszyć z miejsca.

Sylwetki we mgle nabierały kształtów. Podchodziły bliżej. Unni próbowała niepewnie prosić kogoś - nie wiedziała kogo, bo zapomniała o istnieniu hotelowego pokoju w Granadzie - by pomógł jej się stąd wydostać, ale najśłabszy nawet dźwięk nie wydobywał się z jej gardła, wargi się nie poruszały.

Te postaci we mgle to nie byli rycerze, to nie szlachetni sprzymierzeńcy. Szło ku niej dwóch wychudłych mnichów o białych, wrogich twarzach, ubranych w długie, czarne, wąskie habity. Wysłańcy śmierci, pomyślała Unni. Nie uda mi się uniknąć najgorszego!

Zaczęła biec. Biegła i biegła, wciąż jednak stała w tym samym miejscu. Stopy pracowały, z całych sił starała się iść przed siebie, ale nic się nie działo. (To wtedy tak kopała, że stopa wysunęła jej się spod kołdry.)

Lekkie, lecz zdecydowane kroki skradały się za jej plecami. Panicznie walczyła, by wydać z siebie wołanie o pomoc, ale wszystko na nic.

Mnisi ją dogonili...

Ale nie zatrzymali się! Przeszli obok, jakby jej tam nie było.

Na moment, gdy omal się nie obudziła, bo tak nagle opuścił ją strach, zdała sobie sprawę, że to się zaczyna zgadzać. Cała sprawa nie wzięła się od mnichów. Narysowana na kawałku skóry mapa pochodzi przecież od rycerzy. To, co widziała, jest odbiciem czegoś, co się naprawdę stało dawno, dawno temu. Kiedy to do niej dotarło, kiedy uświadomiła sobie, że ona sama pozostaje poza tymi wydarzeniami, odzyskała zdolność ruchu i mogła pójść za mnichami.

Wolałaby jednak niczego nie widzieć. Nie wiedziała, co się ma wydarzyć, ale najchętniej nie brałaby w tym udziału. Mimo to jednak jej stopy same, wbrew jej woli, posuwały się w ślad za dwiema czarnymi, złowieszczymi, podobnymi do ptaków postaciami. Weźcie ten kawałek skóry! Zabierzcie ode mnie skórę, wirowała jej w głowie jedna myśl. Na zbawienie mojej duszy błagam, zabierzcie to!

Jaką skórę? Tak mi zimno w stopy! (To ręce Jordiego.)

Po krótkiej chwili półprzytomności wróciła do świata marzeń sennych.

Unni podążała za mnichami, znaleźli się przed wielką bramą, przeszli przez solidne drewniane drzwi, wyposażone w wielki skobel. Drzwi zostały za nią zatrzaśnięte z taką siłą, że echo odbiło się od kamiennych ścian. Ja tego nie chcę, czy nikt nie może mnie stąd zabrać? Moja wola przestała mi być posłuszna. Albo może to ja nie jestem posłuszna własnej woli? Taka oszołomiona. Taka przestraszona...

Znalazła się na dziedzińcu jakiejś twierdzy. A może to klasztor? Unni nie potrafiła rozstrzygnąć wątpliwości. Cierpki dym unosił się znad ogniska, rozpalonego na zabrudzonym bruku. Ludzie ubrani jak w średniowieczu kręcili się po dziedzińcu, wychodzili z domów lub znikali w bramach. Przy jednym z nich wrzeszczało jakieś dziecko, walczące z psem o kość. Pies był najwyraźniej łagodny, zwyciężył, ale dziecko i tak wyjęło mu kość z pyska i zadowolone zaczęło ją ogryzać. Kilka starszych kobiet rajcowało na progu.

Miejsce sprawiało wrażenie spokojnego mimo rozlegających się raz po raz hałasów.

Unni była kompletnie nieprzygotowana na nagłą zmianę wizji.

Musiał się dokonać krótki przeskok w czasie, okazało się bowiem nieoczekiwanie, że jest przymocowana do kamiennej ściany. Nie zauważyła kajdan ani sznura, nie zauważyła, by zrobili to mnisi lub inni ludzie, ale stała bez ruchu, wciśnięta w mur, głowę też miała unieruchomioną w jednej pozycji, i ku swemu przerażeniu stwierdziła, że nie może poruszać oczyma, nie może ich też zamknąć. Musiała patrzeć wprost przed siebie, musiała się przyglądać rusztowaniu wznoszonemu na dziedzińcu. Matka wybiegła, żeby zabrać krzyczące i wyrrywające się dziecko. Pies odzyskał kość.

Chyba zbliżał się wieczór, przedmioty w blasku ognia rzucały długie cienie. Wokół rusztowania czy też podium roilo się od mnichów. Unni przeliczyła ich automatycznie. Trzynastu.

Skądś dotarły do jej uszu rozdzierające krzyki. Miała niejasne wrażenie, że już kiedyś te krzyki słyszała, nie mogła sobie jednak przypomnieć gdzie. I mimo wszystko powinna wiedzieć, że mnichów jest akurat trzynastu?

Krzyki szarpały jej współczujące serce: „Pomóż . nam! Pomóż, bo inaczej umrzemy!”

Ale ja nie mogę, myślała. Nie mogę się nawet ruszyć. O Boże, spraw, żebym nie musiała na to patrzeć, to jest coś złego, coś bardzo złego, choć nie wiem, co ma się tu stać. Nie chcę tu zostać!

Kolejna szybka zmiana scenerii. To samo miejsce, ale chyba jednak nieco później, pomyślała wdzięczna, że nie musiała patrzeć na tamto.

Ale jej radość była przedwczesna, to się miało dopiero teraz wydarzyć.

Na dziedziniec wkroczyli żołnierze. W wysokich hełmach i bufiastych spodniach, w obcisłych pończochach i z halabardami, przypominali hiszpańskich konkwistadorów. Piętnasty wiek, pomyślała Unni.

Żołnierze współpracowali z mnichami. I... kolejna szybka zmiana scenerii: dwoje młodych ludzi prowadzono w stronę szafotu, tak, bo to dziwne rusztowanie to był szafot. Młodziutka dziewczyna krzyczała rozdzierająco.

Unni kątem oka zauważyła drugą grupę mnichów, z jakiegoś innego zgromadzenia, którzy próbowali zapobiec tragedii, ale zostali brutalnie odepchnięci przez uzbrojonych żołnierzy. Tutaj liczyło się wyłącznie słowo sędziego inkwizycji.

Unni próbowała nie widzieć tego wszystkiego, ale nie mogła.

Dym z ogniska wionął jej w twarz i oślepił ją. Nie czuła jego woni, w ogóle nie czuła żadnych zapachów, choć przecież powinny się tu unosić różne, bardzo silne, zarówno od strony ziemi, jak i od ludzi. Widocznie zachowała tylko zmysł słuchu i wzroku.

Zostań przy mnie, drogi dymie, zostań! Ukryj to wszystko przed moimi udręczonymi oczyma!

Ale dym ulatywał dalej, odsłaniając przerażające sceny. Krótkie, pospieszne cięcia, jak w amatorskim filmie video, pomyślała Unni ze swoim współczesnym doświadczeniem.

Dwoje nastolatków, niebywale urodziwych i bardzo pięknie ubranych, zdołało się wyrwać swoim oprawcom i próbowało uciekać. Biegnijcie, biegnijcie, prosiła w duchu Unni zrozpaczona. Ale przecież we wcześniejszej wizji widziała już tę młodą panienkę i dobrze



wiedziała, jak się to skończy. Nie, prosiła żałośnie. Niech się czas zatrzyma tak, żeby to się nigdy nie wydarzyło!

Nieszczęsne dzieci, bo przecież skazańcy byli tylko dziećmi, biegały tam i z powrotem, ścigane przez czarnych mnichów. W końcu zbiedzy zostali zatrzymani przez żołnierzy i tłum gapiów, który gęstniał coraz bardziej.

Ptaki, pomyślała Unni. Gdzie ja to przedtem widziałam? Para małych gili, ścigana przez czarne gawrony?

Nie była w stanie myśleć.

Tak więc dzieci zostały pojmane.

Wizja zniknęła.

Już nic więcej, błagam. Unni zaniosła się szlochem, nad tymi dwojgiem, i nad sobą. Nie mogła dłużej patrzeć na nic więcej.

Ale, oczywiście, pojawiła się kolejna wizja. Tym razem zupełnie odmienna.

Unni znajdowała się gdzie indziej, Bogu dzięki już nie na tym strasznym klasztornym dziedzińcu.

Była noc, upiorny księżyc rozjaśniał zbocze pod tą jakąś twierdzą czy też klasztorem, w którym dopiero co była. Widziała paskudny rów na odpadki, które wyrzucano z góry, psy i nędzarze grzebali w śmieciach, walcząc ze sobą o nędzne resztki.

- Nie! - Unni jęknęła boleśnie i przesłoniła ręką usta. Zobaczyła dwie kobiety, które wściekle sobie nawzajem wymyślały. Jedna włożyła na siebie zakrwawioną suknię tamtej młodej dziewczyny, druga próbowała zrywać perły, którymi suknia była wyszywana. Unni zbierało się na wymioty. Na śmietniku trwała jeszcze jedna walka, nie chciała patrzeć w tę stronę, ale jej oczy zostały do tego zmuszone.

Nagle wszyscy jakby zastygli na moment, a potem ruszyli, każdy w swoją stronę. Rozpierzchli się niczym spłoszone kury.

Sześciu rycerzy zsiadło z koni.

- Rycerze! - wrzasnęła Unni. - Jestem tutaj!

Ale, rzecz jasna, nikt jej nie słyszał. Przybyła z innego czasu, pochodziła z innego wymiaru.

Szósty jeździec był kobietą, bardzo przystojną kobietą, stwierdziła Unni, choć odległość okazała się trochę zbyt duża, by mogła rozróżnić szczegóły.

Nowa nadzieja pojawiła się tylko na krótką chwilę. Unni widziała, że rycerze ulokowali na dwóch swoich koniach dwa szczelnie zawinięte martwe ciała. I, chociaż starała

się patrzeć w bok, widziała dwa okrągłe, przesiąknięte krwią tobołki przytroczone do trzeciego konia.

- Nie - szlochała Unni. - To się nie mogło stać!

Rycerze traktowali swój krwawy bagaż z największym respektem i ostrożnością. Dosiedli koni i ruszyli w stronę Unni. Kiedy ją mijali, nie widząc, że się tutaj znajduje, dostrzegła łzy w oczach najmłodszego jeźdźca. Twarze pozostałych były poważne, głęboko poruszone, ale też tliła się w nich nienawiść.

Kiedy kobieta przejeżdżała obok, Unni przyjrzała jej się uważnie. Nie była to już osoba bardzo młoda, ale piękna, ubrana w czerń zdobioną złotem. Uważne oczy szukały, omiotła wzrokiem miejsce, gdzie znajdowała się Unni, jakby coś zauważyła. Ona wyczuwa moją obecność, pomyślała Unni wstrząśnięta. Ta kobieta jest silna! Niezmiernie silna! Jakim sposobem może zajrzeć w przyszłość, i to odległą o pięć wieków? Jak mogła wiedzieć, że przyjdzie taki czas, kiedy ja będę tu stać?

Przejechali. Unni spoglądała w ślad za nimi. Z tym nie było problemu, przenosiła się swobodnie w czasie i przestrzeni.

Księżyc świecił ponad wymarłą równiną, Unni nie chciała kolejnej zmiany sytuacji, chciała dowiedzieć się czegoś więcej. A więc to są rycerze, czyli jej przyjaciele. Jeden z tych ludzi jest jej przodkiem...

Jechali tacy cisi, pełni smutku. To orszak żałobny. Unni była wstrząśnięta, głęboko wstrząśnięta, łzy spływały jej po policzkach, szlochała głośno. Wiedziała przecież, że rycerze nie mogą jej słyszeć. Ale czyżby mimo wszystko....? Dotarło do niej wołanie, czyjś głos: Unni! Unni! Kto to wzywa ją po imieniu? Kto ją tutaj zna? Była kompletnie zdezorientowana.

- Obudź się, Unni! To cię za bardzo męczy!

Równina zniknęła. Żałobny orszak rycerzy rozplątał się w powietrzu, Unni dygotała z zimna. Próbowwała wyrwać się z głębokiego snu. Jordi trzymał ją za barki i potrząsał, dopóki się całkiem nie obudziła.

Ręce Jordiego. Jego lodowy pancerz. Ech, dlaczego miałyby się tym przejmować. Przytuliła się do niego, czuła obejmujące ją ramiona i wybuchnęła rozpaczliwym płaczem, starała się wyplakać cały żal nad losem tamtych dwojga młodych.

## 5

- Dziecko drogie, coś ty właściwie przeżyła?

- Nie powinieneś był mnie budzić właśnie teraz, Jordi! Śledziłam rycerzy. Mogłam dowiedzieć się czegoś więcej o ich zagadce.

- Wielka szkoda, ale musiałem to zrobić. Za bardzo cierpiałaś. Chciałem zrobić to już wcześniej, ale zwlekałem jak długo można. Teraz już było z tobą źle.

Unni przytaknęła. Nagle zeszywniała.

- Mam nadzieję, że wyjąłeś skórę? Zabierz natychmiast tę potworną skórzaną mapę!

Jordi wydobył mapę spod jej poduszki i odrzucił w kąt pokoju. Unni na moment odetchnęła.

- O, Jordi, biedne dzieci!

- Jakie dzieci?

Uniosła głowę i popatrzyła na niego ze łzami w oczach.

- No przecież wiesz! Nie, no skąd miałbyś wiedzieć.

- A nie mogłabyś opowiedzieć mi wszystkiego od początku?

- Oczywiście! Tylko muszę się najpierw trochę ogarnąć. Może Antonio i Vesla też powinni posłuchać?

- Oboje śpią głęboko. Ale zaczekaj, nagram twoje opowiadanie na taśmę, Antonio pożyczył mi stary magnetofon. Masz tu chusteczkę, wytrzyj sobie nos i zaraz opowiadaj, dopóki masz jeszcze wszystko świeżo w pamięci. Mogę się położyć na łóżku, czy jestem dla ciebie za zimny?

- Nie przejmuj się zimnem! Potrzebuję twojej bliskości. Straszliwie!

Jordi zdjął sandały i wyciągnął się na swojej połowie łóżka. Kołdrę ułożyli bardzo przyzwoicie między sobą, a Jordi wsunął Unni ramię pod głowę, bo zdawało mu się, że ona tego pragnie.

- Zaczynaj, Unni! Magnetofon jest włączony.

- Dobrze. Mnóstwo spraw mi się wyjaśniło podczas tego snu. Na przykład to, że znajdowałam się w innym wymiarze, niż jestem teraz. Poza tym wiem, że skórzana mapa na pewno jest własnością rycerzy. Mnisi nie mają z nią nic wspólnego. I widziałam trzynastu mnichów. To się zgadza. Jeden z nich został później unicestwiony przez Urracę, drugi przez ciebie.

Jordi potakiwał. Rozumiał, że Unni chce przekazać mu swoje drobne obserwacje najpierw, dopóki wszystko dobrze pamięta.

- Uzyskałam też wyjaśnienie tego wołania „Pomóż nam, bo idziemy na śmierć!”, które kiedyś słyszałam we śnie. I ptaki! Mówiłam ci o nich. Pamiętasz te gile, które były prześladowane przez wielkie czarne gawrony? To tych dwoje młodych, ci, o których rycerze mówili „nasze najdroższe skarby” czy jakoś tak, nie pamiętam dokładnie słów. Bo czarni mnisi ścigali ich w moich wizjach. No i Jordi, ja widziałam samą Urracę, czarownicę! Była niebezpiecznie piękna i obdarzona taką siłą, że prawie mnie widziała!

- Uff!

- Nie, to nic złego, ona była przecież po stronie dobra. Czyli po naszej, musisz o tym pamiętać.

Potem Unni opowiedziała o wszystkim, co widziała. Była to bardzo męcząca opowieść, musiała ponownie odtworzyć wydarzenia, o których najchętniej by zapomniała. Jordi cierpiał razem z nią, ale niestety, mus to mus.

Nie zauważył, że w miarę upływu czasu Unni coraz wolniej wypowiada słowa. Składał to raczej na karb jej niechęci do mówienia o strasznych wizjach,

Kiedy nareszcie dojrnęła do końca, wyrazy dosłownie zamierały jej na wargach.

Jordi westchnął:

- Masz rację. To wielka szkoda, że nie mogliśmy kontynuować. Mogło by nas to zaprowadzić daleko. Bo chyba nie zechcesz jeszcze raz zasnąć z mapą pod poduszką?

Odpowiedź Unni ciągnęła się niczym gęsty syrop:

- I może przeżywać to wszystko jeszcze raz od początku? Nie, dziękuję.

- Jasne, rozumiem. To musiały być naprawdę straszne przeżycia.

Podświadomie przysunęli się do siebie. Kiedy Unni opowiadała, Jordi wsparł się na łokciu, miał ją teraz tuż przy sobie. W mroku widziała jego twarz bardzo, bardzo blisko. Mdły strumień światła z ulicy sprawiał, że mogła rozróżnić jego rysy. W pokoju panowała zupełna cisza. Leżąc przedtem między nimi kołdra znalazła się w zupełnie innej części łóżka.

O, nie, myślała Unni. Co to się ze mną dzieje? Nie mogę ruszyć ani ręką, ani nogą.

Słyszała jego drżący oddech.

Gdybym mogła objąć go ramionami za szyję i przyciągnąć do siebie, to... bardzo bym chciała to zrobić. Przeczuwam, że nie stawiałby oporu. Wręcz przeciwnie! Pomyśleć, że mogłabym przytulić policzek do jego twarzy! Poczuć jego wargi na moich... Silny, niezłomny Jordi, dojrzały mężczyzna, nie żaden chłopiec. Mocny i władczy, jego uwielbiałam przez

wiele lat, nawet wówczas, kiedy już nie mogłam mieć żadnej nadziei, że go jeszcze kiedykolwiek zobaczę. Teraz on leży tuż przy mnie, a ja nie mogę się ruszyć!

- Unni - wyszeptał Jordi. - Co to się dzieje? Nie wolno mi do tego dopuścić, rycerze mi zakazali. To dlatego oni...

I nareszcie Jordi pojał, o co chodzi.

- O rany boskie! - wykrztusił. - Ty kompletnie zamarzałaś! Oni mnie ostrzegali, chcieli w ten sposób odstraszyć tych, którzy czuliby do mnie sympatię, albo takich, do których sympatię poczułbym ja.

Zerwał się na równe nogi i przyniósł ciepłe picie ze stojącego na stole termosu.

- Proszę, pij! To cię trochę rozgrzeje, a ja będę się trzymał z daleka.

Jordi, rzecz jasna, zapalił światło i patrzył wstrząśnięty na sinobiałą twarz Unni. Wykrzywione łukiem rysy dziewczyny stężyły w ostatnich minutach, kiedy on już prawie ją całował, a ona rozumiała, co się dzieje, choć on niczego jeszcze nie dostrzegał. Chłód narastał przecież przez cały ten długi czas, kiedy leżeli blisko siebie i Unni opowiadała. Uderzył ze zdwojoną siłą, gdy Jordi zaczął tracić panowanie nad sobą.

Teraz młody mężczyzna widział, że sytuacja jest poważna i że sam sobie z nią nie poradzi, pobiegł więc po Antonia, choć był środek nocy. A jeśli oni śpią w jednym pokoju? Zatrzymał się po kilku krokach. Można przecież zadzwonić.

Antonio, zaspany, odpowiedział niewyraźnie, że skontaktuje się telefonicznie z Veslą.

Przybiegli tak szybko, jak tylko mogli, każde ze swojego pokoju, dość niekompletnie ubrani, i natychmiast przystąpili do rozgrzewania Unni. Jordi chciał pomagać, ale tym razem Antonio stanowczo odprawił uwielbianego starszego brata.

- Trzymaj się z daleka, twoja bezgraniczna miłość może ją zamrozić na śmierć, nie rozumiesz tego? Wracaj do naszego wspólnego pokoju i czekaj tam.

Wraz ze słowami „bezgraniczna miłość” jakby anioł przeleciał przez pokój, taka zapadła cisza. Cudowny moment minął jednak szybko, Jordi zniknął.

Stał długo na pogrążonym w ciszy hotelowym korytarzu. Oparł się o ścianę i obiema rękami pocierał twarz. Pustka i poczucie bezradności, serce o mało mu nie pękło z rozpacz.

- Elio - szeptał cicho. - Elio, gdziekolwiek jesteś, daj nam jakąś wskazówkę! Czas nagli, dni mijają i wkrótce będzie za późno.

I wtedy... Pojawił się znowu jego wieczny dylemat: Co się z nim wtedy stanie? Jeśli uda im się powstrzymać czas i uwolnić ród, rycerzy i siebie samych od przekleństwa, to po której stronie on sam się wtedy znajdzie? Po stronie życia czy śmierci? Będzie musiał

towarzyszyć rycerzom w zaświaty, do tej wielkiej nieznannej pustki, czy też otrzyma jeszcze szansę?

Szansę życia z Unni.

Pytanie jeszcze, jak zdołają rozwiązać straszliwą zagadkę, skoro kolejne pokolenia nie potrafiły tego zrobić przez pięć długich stuleci?

- Chyba odtajałam, dziękuję wam - oznajmiła Unni w jakiś czas potem. - Jeśli nie przestaniecie mnie ogrzewać, to się stopię niczym sopel lodu.

Antonio wyprostował się z ulgą:

- Moja kochana, przecież ty byłaś martwa!

- Warto było ryzykować, przeżyłam błogie chwile.

Myśli Unni cofały się, poprzez nieznośny proces rozgrzewania, kiedy w rękach, stopach i wszystkich członkach odczuwała ból, pulsowanie, klucie, swędzenie i pieczenie, gdy ciało jej puchło do nieprawdopodobnych rozmiarów, aż wróciła do stanu kompletnego odrętwienia z zimna. Chłód otaczał ją nieprzeniknionym pancerzem, gdy tymczasem ramiona Jordiego zamykały się wokół niej, jego ciało było tuż przy niej, a wargi dotykały jej warg, od czego kręciło jej się w głowie. Tyle tylko że nie mogła myśleć...

Nie mogła się też poruszać.

Nie mogła mówić, powstrzymać go, dać mu do zrozumienia, że znalazła się na granicy całkowitego zamrożenia.

Na szczęście on sam odkrył śmiertelne niebezpieczeństwo. No i błogie chwile zostały przerwane.

- Coście wy właściwie robili? - spytała Vesla zaciekawiona.

- Nic nieprzyzwoitego, niestety. Nie zdążyliśmy, bo zamarzłam. Leżeliśmy tylko obok siebie parę chwil odrobinę podnieceni. Parę rozpaczliwie krótkich chwil...

- Mimo wszystko brzmi to rozkosznie. Zazdroszczę ci tych chwil. Jak to mówił ów facet, co czytał nekrolog: „Panna Otylia Gustafsson odeszła dzisiaj w zaświaty po prawie osiemdziesięciu, dokładnie bez jednego dnia, latach cnotliwego życia”? Zazdroszczę jej tego jednego dnia, powiedział ów facet.

- Czekam na Ciebie chyba podobny los, jeśli nadal będę się zachowywać w ten sposób - rzekła Unni z westchnieniem.

Umilkła. Przypomniała sobie, że akurat jej nie jest pisane osiemdziesiąt lat życia. Szczerze mówiąc, zostały jej jeszcze cztery. Antonio i Vesla byli równie strapieni.

- Antonio, czy mogę już sprowadzić Jordiego? - spytała Vesla cicho.

- Poczekaj, poczekaj! - krzyknęła Unni, siadając na łóżku. - W jakich kolorach jest teraz moja twarz? Kobaltowoniebieska? Purpurowa? Biała jak ściana? A może wątrobianą?

- W żadnym z wymienionych. Ani wątrobianą, ani też nie gości na niej żaden z tych pastelowych odcieni. Nos masz jaskrawoczerwony, oczy matowe, a wargi, jakbyś wróciła z wyprawy na jagody.

- W takim razie on nie może tu przyjść - zdecydowała Unni. - Zobaczę go jutro, kiedy moja skóra będzie mieć kolor białej lilii, a oczy blask porannej rosy.

Nie mieli wątpliwości, że Unni desperacko broni się przed wspomnieniem koszmarnego snu. Kiedy starali się ją rozgrzać, po kryjomu przesłuchali kasetę z jej opowieścią. Byli wstrząśnięci, ale też rozczarowani, że nic dowiedzieli się niczego w sprawie zagadki rycerzy.

Antonio odpowiedział na pytanie Vesli:

- Nie, Jordi nie powinien tu przychodzić. Ja sam pójde do naszego pokoju i o wszystkim mu opowiem. Jeśli jeszcze nie śpi.

- Nie sądzę.

- Ja też nie. Zostaniesz z Unni, dopóki nie zaśnie? Dałem jej środek nasenny.

- Jeszcze jedna tabletkę? Toż ona się nie obudzi wcześniej niż za dwa tygodnie! Oczywiście, zostaną przy niej. Do zobaczenia!

Tymczasem Jordi miał inne zmartwienia.

Kiedy zmęczony wszystkimi przeżyciami wkroczył do pokoju, stwierdził, że ma gości.

Bogu dzięki, że tym razem nie zjechali konno, pomyślał złośliwie. Z trudem zachował powagę na myśl, jakby to wyglądało: Pięć wielkich czarnych koni, przestępujących z nogi na nogę w ciasnym hotelowym pokoju, a w siodłach rycerze, pochylający głowy pod sufitem.

Pięciu szlachciców czekało na niego, dwóch musiało stać w miejscu, gdzie znajduje się łóżko, przez co widać ich było tylko od pasa w górę. Jordi udawał, że tego nie zauważa. Przywitał ich z szacunkiem. Stwierdził, że są przychylnie nastawieni.

„Znakomity pomysł, chłopcze” - przekazał mu jego przodek, don Ramiro de Navarra.

„Godny pochwały krok naprzód” - przytaknął stary z Galicji.

„Ale nie powinienes być jej budzić - zwrócił uwagę don Sebastian de Vasconia. - Byliście tak blisko najważniejszego!”

„Wiem o tym”, pomyślał Jordi. „Ale ten sen był koszmarny, za bardzo ją męczył”.

„To oczywiste, że był męczący - przyznał don Galindo de Asturias. - I rozumiemy twoją troskliwość. Teraz jednak będziesz musiał ją nakłonić, żeby przeszła przez to jeszcze raz”.

„Pytałem ją”, pomyślał Jordi. „Chodzi jednak o to, czy w takim przypadku musiałaby przeżywać ten sen od początku, czy też nastąpiłby ciąg dalszy od momentu, w którym ją obudziłem?”

Don Garcia de Cantabria przesłał mu wiadomość: „Musimy liczyć się z tym, że będzie musiała wyśnić wszystko od nowa. Ale przecież wie już teraz, dokąd idzie, więc chyba nie będzie się tak bać?”

To tak, jakby ktoś oglądał jeszcze raz wyjątkowo odpychający film grozy, pomyślał Jordi. Czy mogę ją na to narażać? Ale chyba by mogła to znieść?

„Najważniejsza jest ostatnia część snu” - kontynuował przodek Unni, don Sebastian de Vasconia.

„Otrzymamy wtedy rozwiązanie zagadki?”

„Nie. Zobaczycie jednak rzeczy o wiele jaśniej. I jesteście we właściwym miejscu”.

Istnieje takie miejsce... myślał Jordi. Kiedyś już słyszałem te słowa.

Tę myśl zachował dla siebie, nie przekazał jej rycerzom.

„Twój brat tutaj idzie - oznajmił don Galindo de Asturias. - Wobec tego my cię opuszczamy. Rób, co możesz!”

- A co z Eliem? Czy on żyje? - krzyknął za nimi Jordi.

Ale rycerze zniknęli.

Do pokoju wszedł Antonio. Jordi chciał natychmiast wracać do Unni.

- Jordi, ona powinna spać - rzekł kandydat na lekarza cierpliwie. - Na razie wszystko jest dobrze, a przed jutrzejszym dniem powinniśmy być wyspani. Dałem jej coś na sen, zresztą ty też zaraz dostaniesz. Wyglądasz, jakby cię przejechała fura z węglem.

Jordi wziął lekarstwo. Sam czuł, że mu się przyda.

- To był głupi eksperyment z tą mapą na skórze - powiedział zatroskany.

- Nie, głupie to nie było. Szkoda tylko, że przerwałeś za wcześnie.

- Rycerze też tak twierdzą. Dopiero co tu byli. - Jordi opowiedział o krótkim spotkaniu. O pochwałach i upomnieniach. - Oni chcą, żebyśmy skłonili Unni do powtórzenia próby - zakończył.

- Nie, to niemożliwe - rzekł Antonio stanowczo. - W każdym razie nie w najbliższych dniach. Unni powinna odzyskać równowagę psychiczną.

Jordi musiał mu przyznać rację.



Antonio patrzył na swego ubóstwianego starszego brata, który zawsze był taki silny i sympatyczny. Jordi stał przy oknie, wyglądał na bardzo zmęczonego, przygnębionego i rozgoryczonego swoim losem. Przykro było widzieć go takim. Antonio tak bardzo chciałby mu pomóc, nie wiedział tylko jak. Kiedy zaś znowu się odezwał, to miał do starszego, ciężko doświadczonego brata, prośbę:

- A czy ty byś czegoś nie zobaczył, gdybyś miał mapę pod poduszką?

- Ja? Przecież chodzę z tą mapą w kieszeni już tyle lat. I pewnie nawet spałem na niej nie raz, kiedy wkładałem kurtkę zamiast poduszki pod głowę. Nigdy jednak nic się nie przytrafiło, żadnych wizji, snów, nic.

- Rozumiem. Tak, Unni jest wyjątkowa.

- Dla mnie ona jest najbardziej wyjątkową osobą na świecie - rzekł Jordi cicho. - Dobranoc, Antonio. Jutro znowu zaczynamy polowanie na Elia.

**CZEŚĆ DRUGA**  
**ALHAMBRA**

Poranek był chłodny, ale promienny, pełen słońca, jak to bywa tylko na Południu, zanim miasto obudzi się do życia. Głośny zgrzyt opróżnianych pojemników na śmieci, krzyki robotników idących wcześniej do pracy, niezwykła czystość, i światła, i dźwięków.

Po dwóch tabletkach nasennych Unni była trochę oszołomiona, ani ciało, ani umysł nie chciały jej słuchać, kiedy schodziła do jadalni na śniadanie. Veslę i Antonia przepelniała energia, Jordi natomiast siedział, jak na niego, niebywale spokojnie. Na pytanie, co mu jest, odpowiedział, że myśli.

Kiedy zaraz po śniadaniu wyszli z hotelu, na ulicach znowu wrzało życie.

Unni otrząsnęła się, nocne cienie wciąż jeszcze trwały w jej umyśle, ale teraz nie miało to już znaczenia. W końcu mogli przyjrzeć się trochę Granadzie, na co wczoraj wieczorem nie mieli czasu. Przejechali tylko taksówką do hotelu po nowoczesnych ulicach centrum, które pewnie wszędzie są podobne.

- O, tak bym chciała obejrzeć Alhambrę - szczebiotała Vesla entuzjastycznie, zadzierając głowę w stronę wzgórz.

- Może nie akurat teraz - odparł Antonio. - Właśnie idziemy do domu Elia. Alhambrę zostawimy sobie na później.

- Tak, no oczywiście! Pojechać do Granady, to przecież jakby wyskoczyć na róg, prawda? Możemy innym razem... O rany! Spójrzcie na te buty! Muszę je kupić!

Ustąpiła jednak, zrezygnowała z zakupów, i po i chwili znaleźli się wszyscy przed domem Elia. Przy - szli piechotą, bo ulica znajdowała się niedaleko ich hotelu, a bardzo chcieli odetchnąć trochę hiszpańskim powietrzem. Wszędzie, niestety, unosił się zwyczajny zaduch wielkiego miasta, ale trzeba przyznać, że mijali wiele wspaniałych budowli.

Elio mieszkał jednak w zwyczajniejszej dzielnicy. Nie było tu widać żadnej nędzy, co to, to nie, ale domy wyglądały dość pospolicie, wchodziło się do nich wprost z ulic. Parę kroków i jest się w pokoju.

Otworzyła im rosła kobieta o twarzy pozbawionej iluzji. Na widok zgromadzenia przed drzwiami zareagowała agresywnie. Nie powinni byli przychodzić tu wszyscy, ale przecież współpracowali z sobą nad tym zadaniem i nie mogli nikogo wyłączać.

Antonio bardzo uprzejmie zapytał, czy pod tym adresem mieszka niejaki Elio Navarro.

Kobieta zamachała rękami, jakby się opędzała od natrętnej muchy, i odwróciła się od nich plecami.

- *Elio, Elio, otra vez, otra vez!*

„Znowu i znowu?”

- Czy ktoś już o niego pytał? - zdziwił się Jordi.

- *Si, si!* - kobieta niemal jednym tchem wygłosiła po hiszpańsku długą tyradę, z której bracia pojęli tyle, że całkiem niedawno byli tu jacyś dwaj mężczyźni, którzy chcieli się spotkać z Eliem Garcia Navarro. Ale on tu już nie mieszka, a kobieta nie ma, rzecz jasna, jego adresu.

Unni i Vesla nie rozumiały nic a nic, ale panowie zaraz im wyjaśniali, o co chodzi.

- Czy ktoś w ogóle wie, gdzie się Elio Navarro podziewa? - spytał Jordi. - Jesteśmy jego krewnymi. Z Norwegii.

Wspaniała, bujna kobieta przyjrzała im się uważniej. Wyglądało na to, że obecność obu dziewcząt usposobiła ją łagodniej, one zaś starały się, jak mogły, wyglądać sympatycznie i niewinnie. Szczęściem nie było to takie trudne.

W końcu kobieta skinęła głową i otworzyła przed gośćmi drzwi. Znaleźli się w pokoju z mnóstwem rodzinnych fotografii, na ścianach i na półkach, wszędzie. Gospodyni poprosiła, by usiedli w miękkich fotelach, i sama też usiadła. Z głębi mieszkania wyszła młodsza, bardzo piękna kobieta o smutnych oczach. Antonio przedstawił siebie i przyjaciół.

- Ach, Vargas! - zawołała starsza z kobiet, jakby teraz już wszystko było jasne. - Tak, jedna z sióstr Elia wyszła za mąż za Vargasa. Natomiast druga bliźniaczka za jakiegoś Norwega, *si, si!*

Zadowolona, nie przestawała kiwać głową.

- Mój brat i ja jesteśmy potomkami Margarety Navarro - wyjaśnił Antonio. - Dobrze też znamy potomków Any Navarro. Musimy jednak koniecznie znaleźć Elia Navarro, by dowiedzieć się ważnych rzeczy o naszych rodzinach. To dla nas bardzo ważne.

Jordi, odkąd nabrał normalnej wagi, nie robił już takiego strasznego wrażenia, gospodyni jednak spoglądała na niego niepewnie, wyraźnie chętniej zwracała się do Antonia, toteż on prowadził rozmowę.

Kobieta powiedziała im, że wie, iż w rodzinie Elia, jej męża, jest jakaś tajemnica, ponieważ jednak jego to bezpośrednio nie dotyczyło, rozmawiali o tym niewiele. Chodzi o to, że niektórzy członkowie waszego rodu umierają w wieku dwudziestu pięciu lat, prawda? Obie jego siostry bliźniaczki w tym właśnie wieku odeszły ze świata. I wuj Santiago. I nieszczęsny bratanek Estéban.

- To Elio znał Estébana? - zapytał Antonio z ożywieniem.

- *No y no*, to przecież było bardzo dawno temu. Słyszał tylko o strasznej żonie Estébana, Emilii, która go zamordowała.

Antonio przytaknął skinieniem.

- Tak jest. Jedna z wnuczek tej Emilii, Emma, ściga nas teraz z kilkoma innymi draniami. I Elio jest jedynym, który prawdopodobnie może nam powiedzieć, dlaczego.

Obie Hiszpanki konferowały ze sobą półgłosem.

W końcu starsza znowu zwróciła się do Antonia.

- Byli tu u nas przedtem jacyś mężczyźni i pytali o Elia. To byli źli ludzie, takie rzeczy się widzi. A Elio zniknął, właśnie w obawie przed takimi ludźmi.

- Ci mężczyźni to Hiszpanie czy Norwegowie?

- Hiszpanie, co do tego nie mam wątpliwości. Ale ja ich nie znam! Cóż, jest tylko jedna osoba, która wie coś o Eliu. I czy on w ogóle żyje, bo wkrótce minie rok od czasu, gdy zniknął. Możemy wam powiedzieć, kto to taki, bo budzicie zaufanie. My jednak też będziemy miały do was prośbę o przysługę, która, niestety, nie będzie łatwa.

Po zaciśniętych wargach i lekko napinających się skrzydełkach nosa Antonio Unni poznała, że przyjmuje tę wiadomość bez entuzjazmu.

- Zrobimy, co tylko będziemy mogli. Obiecuję - powiedział mimo to. - Musicie wiedzieć, że na nas też ciąży przekleństwo, a wnuk Any w Norwegii niebawem skończy dwadzieścia pięć lat. To jej ostatni potomek. Unni, którą pani tu widzi, pozostały jeszcze cztery lata życia.

Kobieta z wyrazem żalu pochyliła głowę.

- Gdyby nie to, że my sami znajdujemy się w wielkiej potrzebie i bardzo liczymy na waszą pomoc, nigdy bym się w to nie wdawała. Ale bardzo chcę, by Elio, mój mąż, wrócił do domu, a moja córka ponad wszystko na świecie pragnie odzyskać synka, mego jedyne wnuka.

- Zechciałaby pani wytłumaczyć trochę dokładniej? - poprosił Antonio.

Obie bardzo sympatyczne kobiety zaczęły opowiadać jedna przez drugą, przekrzykiwały się nawzajem, przerywały sobie, w końcu Antonio musiał zaprowadzić jakiś porządek. Ustalono, że opowiadać będzie starsza, señora Navarro. Córka miała na imię Mercedes.

- Uff, naprawdę trudno o tym mówić, ale Mercedes popełniła fatalny błąd. Wyszła mianowicie za mąż za pewnego cudzoziemca. Mieszka on wprawdzie w Hiszpanii, ale jest innego wyznania. Nie jest katolikiem! No i wszystko ułożyło się niedobrze. Po prostu

strasznie. Ten człowiek okazał się brutalem, bił Mercedes, bo w jego kraju tak się właśnie kobiety traktuje, a one znoszą to bez szemrania.

Młodsza z pań wyciągnęła rękę, przedramię zostało nic tak dawno złamane. Na jej urodziwej twarzy widzieli blizny. Nie mogli mieć wątpliwości, kto to zrobił.

- José, on ma inaczej na imię, ale to trudne do wymówienia, więc nazywamy go po prostu José, jest człowiekiem bardzo bogatym. Dlatego Elio i ja zgodziliśmy się na to małżeństwo. Nigdy nie powinniśmy byli tego robić... Urodził się cudowny chłopczyk, mały Pepe, skończył właśnie cztery latka...

- Przepraszam, że przerywam - wtrącił Antonio. - Ale czy José miał coś wspólnego ze zniknięciem Elia?

- Nie, w żadnym razie, señor. To są dwie odrębne sprawy. W każdym razie... Mercedes nie była już w stanie dłużej znosić takiego życia. O rozwodzie nie może być mowy, bo Mercedes jest katoliczką. Uciekła jednak z pięknego domu męża i dziecko zabrała ze sobą.

- To zrozumiałe - powiedział Antonio cicho.

- Dziękuję. Przyjechali do nas. Cała ta sprawa to dla nas wielki wstyd, ale przyjęliśmy córkę, nie mogliśmy pozwolić, by ją maltretowano.

- Naturalnie! W pojęciu naszym, Norwegów, nie ma się czego wstydzić. To same przez się zrozumiałe prawa człowieka. Ale Mercedes ma związane życie, jeśli mogę tak powiedzieć, prawda? Nigdy nie będzie mogła ponownie wyjść za mąż?

- Niestety. José przyjeżdżał tutaj, żądając wydania Pepe, ale chłopiec się go po prostu boi, więc ukryliśmy dziecko.

- Tak, to zawsze bardzo skomplikowana sytuacja - westchnął Antonio ponuro. - Często się zapomina, że również ojcowie kochają swoje dzieci i chcieliby mieć je przy sobie. Ale na gwałt godzić się nie można!

- No właśnie. Pan jest bardzo mądrym człowiekiem, señor Vargas. Dla nas najważniejsze jest to, by mały miał odpowiednie warunki. A dziecko nie może dobrze się czuć u kogoś, kogo się boi. Jestem wystarczająco dorosła, by rozumieć, że wszelkie gadanie o tym, iż tylko matka może zapewnić dziecku opiekę, to przesada. Niemniej jednak José nie jest dobrym ojcem. On będzie zmuszał syna do bezwzględного posłuszeństwa, narzuci mu nieznośną dyscyplinę, będzie mu wpajał swoją religię, zresztą na oczach dziecka bił i upokarzał Mercedes.

Antonio gniewnie kręcił głową.

Señora Navarro mówiła dalej, tym razem z drżącymi wargami i łzami w oczach:

- Ale pewnego dnia Pepe bawił się w ogrodzie... i zniknął. Dowiedzieliśmy się, że uprowadziło go dwóch mężczyzn, wsadzili biedaka do dużego, czarnego samochodu i odjechali.

- Kiedy to się stało?

- Trzy miesiące temu. Zrobiliśmy obie wszystko, by odzyskać chłopca, ale na próżno. José to człowiek potężny. Władze ani nie chcą, ani nie mogą nam pomóc.

Zaległa cisza. Unni myślała, że w tym przypadku uroda szkodzi. José chce za wszelką cenę odzyskać ów piękny kwiat, jakim jest Mercedes. A ona kiedyś mu uległa, czy może jego bogactwu? To wielka tragedia.

Milczenie przerwał Antonio.

- Więc panie by chciały, byśmy odnaleźli chłopca?

Obie przytaknęły z wielkim zapalem.

- No, ale co potem? Powiedzmy, że go odzyskamy, to co będzie dalej?

- Jakoś się powinno ułożyć - odparła starsza z kobiet pospiesznie, jednak w jej głosie brzmiała niepewność.

- Tylko co to wszystko ma wspólnego z Eliem?

Elio zapadł się pod ziemię trzy kwartały temu. A przedtem zwierzył się tylko jednemu człowiekowi. José.

- Takiemu draniowi? - spytał Antonio z niedowierzaniem. - Czy José jest tym jedynym człowiekiem, który wie, gdzie się podziewa Elio?

Señora załamywała ręce, jakby chciała przeproszać.

- Myśmy wtedy jeszcze nie wiedzieli, że José jest takim potworem. Mercedes nic nam nie mówiła.

Ale afera, myślała Unni, która z tej rozmowy rozumiała piąte przez dziesiąte. Elio z pewnością zobowiązał José do milczenia. Jak w takim razie wydobędziemy z niego adres Elia? I czy w ogóle da się coś zrobić z gangsterem, któremu chcemy odebrać syna?

Teraz głos zabrał Jordi. Nawet zakochana w nim Unni musiała zauważyć, że w normalnym domu, na tle zwyczajnego otoczenia, robi on niezwykle wrażenie. Obie Hiszpanki cofnęły się jakby spłoszone.

- Señora Navarro. Señora Mercedes. Pozwólcie, że zajmiemy się tą sprawą. Obiecuję wam, że otrzymacie z powrotem dziecko. Muszę tylko wiedzieć jedno: Czy ten José ma jakąś słabość? Z wyjątkiem syna, rzecz jasna.

Mercedes prychnęła.

- José? On nawet nie zna słowa słabość!

- A jaki jest jego zawód?

- W zasadzie jest adwokatem. To znaczy... On jest adwokatem.

Zamilkła.

- O czym pani myśli, señora? - spytał Jordi.

- Bo często się zastanawiałam...

- Tak? Powiedziała pani „w zasadzie”?

- No właśnie. On wprawdzie otrzymuje bezwstydnie wysokie honoraria, ale przesadnie dużo to w swoim biurze nie pracuje. Mimo to ma wielką posiadłość, stać go na cały ten luksus... A w domu...

Wszyscy czekali.

- W domu są takie drzwi, zawsze zamknięte na klucz. Nie wolno mi było tam zaglądać. Niekiedy jednak przychodzili do nas jacyś mężczyźni. Zwykle spora grupa. I mój mąż tam ich wprowadzał. Pewnego dnia zostawili drzwi uchylone. Zajrzałam. To piwnica, do której wiodą strome schody. Mężczyźni na dole oglądali jakiś bardzo skomplikowany karabin. Nie wiem, jak się coś takiego nazywa. Zresztą nie mogłam się długo przyglądać.

- A może mogłaby pani go narysować - poprosił Antonio, podsuwając jej swój notes i długopis.

Mercedes jak mogła najdokładniej odtworzyła to, co zapamiętała.

Bracia popatrzyli po sobie.

- Bazooka? - zdziwił się Jordi. - Pancierzownica. Dziękuję. No to mam informacje, które były mi potrzebne.

Reszta towarzystwa nie bardzo nadążała za jego rozumowaniem, ale Jordi wstał, powiedział parę słów na zakończenie, zapisał adres Joségo i zaczął się żegnać.

W drodze powrotnej do hotelu Vesla kupiła sobie buty, które tak jej się spodobały.



Jordi musiał zatelefonować. Nie mogło to czekać, aż wrócą do hotelu, weszli więc do fantastycznie pięknego parku, gdzie liście drzew mieniły się w słońcu zielenią i żółcią. Jordi powiedział przyjaciółom, że nie lubi rozmawiać przez telefon komórkowy, idąc ulicą, bo to wygląda strasznie sztucznie.

Tym razem jednak rozmowa była bardzo ważna.

Musiał zatelefonować do Pedra, swego przyjaciela, sprawującego bardzo wysoki urząd.

- Tak, jesteśmy w Hiszpanii. W Granadzie. Przyjechaliśmy wczoraj wieczorem. Natrafiliśmy już na ślad Elia Navarro. Tak, tak, on żyje, a w każdym razie żył kilka miesięcy temu. Ale będziemy potrzebować twojej pomocy.

Kiedy Pedro dowiedział się, o co chodzi, obiecał, że przyjedzie do nich z Madrytu. Nie może się jednak ruszyć do jutra rana, dopóki nie załatwi jakiejś bardzo ważnej sprawy. Naturalnie, że zna Joségo, władze miały go przez jakiś czas na oku, ale nie znaleziono niczego obciążającego.

Pedro zapytał jeszcze:

- Ta jego młoda żona... Nie widziała jakichś załadowanych ciężarówek czy innych ciężkich pojazdów przed domem?

- Nie - odparł Jordi. - Podkreśla jednak, że posiadłość jest rozległa, mogło się tam dziać wiele, a ona niczego nie zauważyła.

- Natychmiast porozumiem się z policją w Granadzie. Ale ten jego synek... dziecka nie powinno być w domu, kiedy uderzymy. Mogłoby się przestraszyć, a poza tym łatwo by go było użyć jako zakładnika... albo jeszcze gorzej, może go trafić jakaś zabłąkana kula, gdyby doszło co do czego.

- Nie denerwuj się, Pedro - zapewnił Jordi. - Już ja wszystko zorganizuję. Chłopcu nic się nie może stać.

Właśnie takie sprawy były zawsze specjalnością Jordiego, pomyślała Unni i załała ją fala ciepła. Zawsze zajmował się słabymi i najmniejszymi mieszkańcami tego świata.

Jordi z telefonem przy uchu odszedł w głąb parku. Antonio powiedział coś do Vesli i Unni odwróciła się na moment do nich. Kiedy znowu spojrzała w stronę Jordiego, nie było tam nikogo.

Serce skoczyło jej do gardła ze strachu. Alejkami wciąż chodzili jacyś ludzie, ale Jordi zniknął.

- Boże, on przepadł - wykrztusiła z trudem. - Pomyślcie, może Leon tu gdzieś jest? Może porwał Jordiego?

- Jakim sposobem Leon zdążyłby tu przyjechać? - prychnął Antonio. Ale i w jego głosie można było wyczuć lęk.

I nagle, dokładnie w momencie gdy Unni już chciała biec i go szukać, Jordi się ukazał jakby nigdy nic. Szedł po prostu pośród innych spacerowiczów. Z telefonem komórkowym przy uchu wracał do swoich towarzyszy.

Spadło na niego setki pytań, ale on tylko się uśmiechał, wkładając telefon do kieszeni.

- Miałem wrażenie, że ktoś nas śledzi, więc postarałem się mniej rzucać w oczy. Odszedłem w głąb parku, bo chciałem odwrócić uwagę od was. Ale niczego konkretnego nie zauważyłem. Człowiek w takiej sytuacji jak nasza ma paranoidalne podejrzenia.

Owszem, co do tego wszyscy byli zgodni. Ale tak naprawdę to po raz pierwszy widzieli ten numer Jordiego. Nigdy przedtem jeszcze im nie zniknął, więc byli bardzo poruszeni. Bywał, niewidzialny, w pobliżu Antonia i Unni, i to wielokrotnie, ale wtedy oni nie mieli pojęcia, że Jordi nadal „żyje”. Teraz doszło do zniknięcia dosłownie na ich oczach.

Sam Jordi chyba się tym bawił. Zadowolony spoglądał na swoich towarzyszy.

- Skoro mamy wolne popołudnie, moi kochani, to może wybralibyśmy się do Alhambry?

Odpowiedziało mu entuzjastyczne „hurrra” ze strony Vesli.

Vesla popełniła jednak błąd. Poszła do Alhambry w swoich nowych, nie rozchodzonych jeszcze butach.

Alhambra to rozległy teren. Trzeba pokonać wiele łagodnych wzniesień i ścieżek, zanim się dotrze od bramy do głównych budowli. Znajdowali się właśnie na początku długiej alei, po obu stronach której rosły gęsto wysokie cyprysy - tak się przynajmniej wydawało Unni, że to cyprysy, ale może tuje? Nie, chyba jednak cyprysy - gdy Vesla oznajmiła, że dalej nie pójdzie.

W pobliżu znajdowała się ławka i Vesla opadła na nią z głośnym westchnieniem ulgi.

- Idźcie sami - zachęcała. - Ja tu zostanę i zamierzam się wspaniale opalić. Po powrocie do domu wszystkie moje znajome zzielenieją z zazdrości.

- Ale to przecież ty się upierałaś, żeby zobaczyć Alhambrę - przypomniał jej Antonio.

Vesla machnęła tylko na znak, że mają sobie iść. No to poszli, z lekkimi wyrzutami sumienia, że ją tak zostawiają samą, ale co mieli zrobić? Boso nie mogła przecież iść po kamienistej ścieżce, po gorącym asfalcie zresztą też nie.

Stara twierdza Maurów z czternastego i piętnastego wieku prezentowała się po prostu niezwykle. Unni rzecz jasna miała jakieś wyobrażenie, jak to powinno wyglądać, mimo to była absolutnie zaskoczona wspaniałością budowli i jej artystycznym poziomem. Każda ściana, każdy portal były przeładowane ozdobami z rozmaitych rodzajów kamienia. Marmury, piaskowce, granity, ceramika, cegła... Często trudno było rozpoznać, co się znajduje za tą kipiącą bogactwem ornamentyką. Fontanny, baseny, sadzawki obsadzone krzewami mirtu, dawały kamieniom życie. Oglądali świetnie zachowane założenie pałacowo - ogrodowe, piękne sale, posuwali się jednak dość szybko naprzód, pamiętali bowiem, że Vesla siedzi tam sama i czeka. Poza tym nie powinna się za bardzo opalić, to niezdrowe.

Unni cieszyła się, że może te wszystkie wspaniałości oglądać razem z Jordim i Antoniem. Będę to wspominać jako jedną z moich najpiękniejszych chwil z Jordim, myślała, gdy ujmował ją za rękę, by pomóc jej na przykład wejść po schodach. Nie przejmowali się tym, że chwilami trzeba było przeciskać się w tłumie turystów z różnych krajów świata, wszystko rozumiejących Anglików, fotografujących Japończyków, przemierzających się wielkimi grupami, rozszczebiotanych Francuzek i milkiwych Niemców. Nic nie miało znaczenia, skoro Jordi jest z nią. Wprawdzie musi puszczać jej rękę dość szybko, żeby nie zmarzła, ale Unni i tak była szczęśliwa.

Vesla podskoczyła, gdy poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Spojrzała w górę i oślepiło ją słońce.

Stał przed nią uśmiechnięty młody mężczyzna z rodzaju *beachcomber*, jacy kokietują głupie skandynawskie dziewczyny i kobiety na plażach najmodniejszych ośrodków turystycznych. Okazuje się, że i w głębi lądu ich nie brak.

Powiedział coś po hiszpańsku do Vesli, która próbowała zachowywać się uprzejmie, ale z dystansem. Młodzieniec nie był sam, nieco dalej stał jakiś starszy mężczyzna i czekał. Vesla wyjaśniła po angielsku, że nie rozumie.

Młody wezwał na pomoc swego towarzysza, który posługiwał się dość osobliwą odmianą angielskiego. Z trudem dotarło do Vesli, że pytają, jak się dostać do Generalife, pięknego letniego pałacu gdzieś w pobliżu. Vesla wyjaśniła, że nie wie, ale że przy głównej bramie widziała drogowskaz.

Dla obu mężczyzn musiało to być za dużo tego angielskiego. Młodszy powiedział więc z uśmiechem:

- *Jo kam vidd ass.*

Vesla przetłumaczyła to sobie jako: „Chodź z nami”. Z ubolewaniem wskazała na swoje poranione stopy.

Wtedy tamci najzupełniej nieoczekiwanie usiedli przy niej, jeden po prawej, drugi po lewej stronie.

- *Ver iss hi?* (Gdzie on jest?)

- Kto taki? - spytała Vesla, uznając, że sytuacja zaczyna być nieprzyjemna.

- Elio - odparł mężczyzna cicho, bo aleją przechodzili turyści.

Vesla chciała wstać i włączyć się w tłum, by ratować życie i honor, ale tamci stanowczo ją zatrzymali. Starszy groził nieprzyjemnościami, gdyby zaczęła krzyczeć.

- *Jo kam vidd ass* - powtórzył.

- Ale ja...

Mocniejszy nacisk na zębra. Coś spiczastego. Ostrze noża?

- Ale ja nie rozumiem - przekonywała.

- Byliście dzisiaj w domu Elia. Gdzie on jest?

Powinna była pewnie zapytać: Kim jest Elio, ale uznała, że to by było głupie. Przecież była w domu Elia, ci dwaj nabraliby więc przekonania, że Vesla kłamie.

Co mogłoby się dla niej okazać groźne.

Zamiast tego zapytała więc:

- Jak mogę wiedzieć, gdzie on jest, skoro nikt inny tego nie wie?

Musiała to powtarzać wielokrotnie, zanim Hiszpan nareszcie pojął. Vesla była śmiertelnie przerażona, serce tłukło się jej w piersi jak szalone. Gdyby ten młody przyciskał jej do boku pistolet, to mogłaby zacząć wzywać pomocy, bo przecież nie odważyłby się strzelać, gdy tylu ludzi wokoło. Ale nóż? Może ją zabić bezgłośnie... gdyby miała upaść, wzięliby ją między siebie, udając, że się źle poczuła. Nie, nie powinna ryzykować.

Wracaj, Antonio, Jordi, ratunku, błagała w duchu.

Dobrze, zacznę krzyczeć, pomyślała. W końcu co mam do stracenia? Ale akurat w tym momencie alejka była pusta. Napastnicy wykorzystali sytuację, wstali, wzięli ją pod ręce i pociągnęli przed siebie.

- Chodź z nami - powtórzył raz jeszcze starszy z mężczyzn tym swoim żalonym angielskim. Vesla musiała dać się ściągnąć z bezpiecznej ścieżki. Była taka przerażona, że nawet nie czuła bólu w nogach.

Oszołomieni pięknem i pełni wrażeń przyjaciele Vesli wrócili ze wspaniałych budowli Alhambry. Unni kupiła widokówkę, by pokazać Vesli, gdzie mogła być. Słaba pociecha, ale zawsze.

Kiedy dotarli do cyprysowej alei, stanęli bezradnie.

Z daleka widzieli ławkę, ale Vesli na niej nie było.

Rozglądali się dookoła.

- Musiała wrócić do bramy - powiedział Antonio.

- Tak, w końcu zwiedzaliśmy zabytki dość długo - zgodził się z nim Jordi. Ruszyli więc w dół aleją, ale ta się wkrótce rozdzieliła na dwoje; stali więc i zastanawiali się, co dalej.

- Moim zdaniem poszła główną drogą - rzekł Antonio. - Ten drugi szlak jest po prostu zbyt stromy i nierówny dla jej poranionych stóp.

Ruszyli szybko przed siebie. Słońce chyliło się ku zachodowi, wkrótce cały teren zostanie zamknięty. Mijali rząd wysokich drzew, rosnących po jednej stronie drogi. Po drugiej mieli gęsty zagajnik.

Nie wiedzieli, co to za drzewa, może topole, nie było czasu na zastanawianie się. W myślach mieli tylko Veslę. Trudno powiedzieć, że się niepokoiłi, raczej irytowali, że tak sobie zniknęła, zamiast czekać, jak postanowiono.

Przy bramie też jej nie było.

Przez chwilę nie wiedzieli, co o tym wszystkim myśleć.

- Może poszła z powrotem na górę tą drugą drogą - zastanawiała się Unni. - Wyszła nam na spotkanie i rozminęliśmy się.

- W takim razie powinna teraz być w drodze do centrum Alhambry, tam skąd my właśnie wróciliśmy - rzekł Jordi.

- To ja pobiegnę, żeby zobaczyć - zaproponowała Unni.

- Dobrze, a ja pójdę tą drugą drogą.

*And I'll be in Scotland afore thee*, podśpiewywała sobie Unni piosenkę o Loch Lomond, choć to jednak nie był czas na żarty.

- Ja zostanę tutaj - zdecydował Antonio. - Bo chyba nie wróciła sama do hotelu?

- Gdyby miała taki zamiar, to by pewnie do nas zadzwoniła z telefonu komórkowego.

No tak, telefon! Antonio natychmiast wyjął swój telefon i wybrał numer Vesli.

Niestety, bez odpowiedzi.

Westchnął i powiedział zaniepokojony:

- Spieszcie się! Daleko nie mogła zejść.

Jordi i Unni ruszyli szybko drogą, którą zaczynali już dobrze znać. Na rozstaju rozdzielili się w nadziei, że wkrótce się znowu spotkają. A wtedy się okaże, które pierwsze odnalazło Vesłę.

Po dwudziestu minutach dotarli do centrum, ale Vesli nigdzie nie spotkali. Unni przeszukiwała nawet budowle ku wielkiej irytacji turystów.

- Gdzie ona się mogła podziać? - zastanawiała się Unni zdyszana.

- Tu w każdym razie jej nie ma. A niedługo będą zamykać. Chodźmy, z pewnością czeka na nas z Antoniem przy bramie.

Ale niestety. Antonio stał tam, gdzie go zostawili. Vesli przy nim nie było.

- Telefonowałem w równych odstępach czasu - tłumaczył pobladły Antonio. - Sygnał jest normalny, ale nikt nie odpowiada. Nie podoba mi się to.

- Ani mnie - westchnął Jordi. - Może wtedy w parku jednak miałem rację, że ktoś nas śledzi.

- Wiemy, że Leon ma współpracowników w Hiszpanii - rzekł Antonio wolno. - On sam nie mógł tu przyjechać. Może jednak kazał komuś obserwować lotnisko i przyjezdnych.

- Tutaj? Po tylu naszych przesiadkach? Nie chce mi się wierzyć.

- Nie mów tak. Oni znają przecież Elia, który się zapadł pod ziemię właśnie ze strachu przed nimi, jak sądzę. Prawdopodobnie przez cały czas mieli tu, w Granadzie, obserwatorów. Leon mógł do nich zatelefonować i kazać im czuwać na lotnisku.

- Albo po prostu mieć na oku dom Elia - zreflektował się Jordi. - Obawiam się, że oni mogą wiedzieć także i to, gdzie my mieszkamy.

- Na pewno wiedzą - potwierdził Antonio stanowczo. - Ktoś musiał iść za nami, kiedy opuściliśmy dom Elia, a potem tutaj.

Wszyscy zaniemówili.

Nie było jednak czasu do stracenia. Antonio pobiegł do strażnika przy bramie, ostatni turyści opuszczali Alhambrę. Zaczął wypytywać strażnika o bardzo ładną dziewczynę o nordyckich rysach, czy nie wychodziła przez bramę, czy się tu nie pokazała? Strażnik kręcił jednak przecząco głową, kiedy mu Antonio opisywał niezwykle wysoką blondynkę, o długich włosach i rzucającej się w oczy urodzie.

Wobec tego Antonio poprosił o możliwość przeszukania okolicy, najlepiej ze strażnikiem, gdyby to było możliwe.

Było możliwe.

Życzliwy młody człowiek ruszył pod górę.

Ku wielkiej radości otrzymali nieoczekiwaną pomoc. Pewna hiszpańska para stojąca przy bramie przysłuchiwała się ich rozmowie i teraz podeszła do strażnika.

- Proszę nam wybaczyć, ale nie mogliśmy nie słyszeć, o czym mówicie. Otóż jakiś czas temu zwróciliśmy uwagę na dziwnie się zachowujących ludzi. Tam, gdzie aleja dzieli się na dwoje...

- Tak? - ożywił się Antonio. - Mogą nam państwo opowiedzieć?

- Z pewnej odległości widzieliśmy młodą dziewczynę, taką jak w pańskim opisie. Dwaj mężczyźni trzymali ją mocno pod ręce i zdawało nam się, że ją ciągną w stronę ogrodów.

Serce Antonia było niespokojnie.

- Więc nie szła z własnej woli?

- Odnieśliśmy wrażenie, że ona się źle czuje czy coś takiego - wtrąciła kobieta. - Wyglądało na to, że nie może iść, jakby jej to sprawiało ból.

- No tak, to była Vesla - westchnął Jordi. - Te jej nowe buty...

Hiszpańska para opowiedziała dokładnie, co widziała. „Wyglądało na to, że ci mężczyźni zmierzają do lasu” - dowiedzieli się Norwegowie, po czym gorąco podziękowali za pomoc.

Antonio upewnił się, czy strażnik jest uzbrojony. Był, z dumą poklepał się po kaburze. Nie zwlekając dłużej, pobiegli w stronę lasu.

Unni miała serce w gardle, ze zmęczenia i z niepokoju, który jej nie opuszczał.

Na skrzyżowaniu dróg znajdował się szyld z napisem: „Jardines...” i coś tam, czego Unni nie zdążyła odczytać w biegu. Wiedziała, że to znaczy ogrody, a jakie, to już bez znaczenia.

W pobliżu płynął niewielki strumyk, Wszystko tu było niezwykle piękne, ale jakieś smutne, panował osobliwy nastrój przywodzący na myśl średniowiecze, tylko kto miał teraz czas się nad tym zastanawiać?

Bardzo szybko dobiegli do miejsca, w którym hiszpańska para widziała mężczyzn uprowadzających Vesłę, być może do lasu. Zatrzymali się, nie bardzo wiedząc, co dalej. Czy powinni się rozdzielić, czy też...?

- Patrzcie, tam są połamane gałązki - zauważył Jordi.

- Wandale - mruknął strażnik i przez bujną, subtropikalną roślinność ruszył w stronę zagajnika.

- Ale połamane gałęzie wskazują odwrotny kierunek - zauważył Antonio. - Jakby łamał je ktoś, kto wychodził z lasu.

- Ktoś, kto biegł bardzo szybko - dodał Jordi.

Nie wiadomo było, co o tym wszystkim myśleć. Mieć nadzieję, czy raczej się niepokoić. Strażnik dał znak, że chce iść pierwszy, Unni miała zamykać pochód. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że się skradają.

Wkrótce potem na niewielkiej polance między drzewami zobaczyli, że coś się tu niedawno wydarzyło. Najwyraźniej rozegrała się tu walka.

Ale czy to Vesla i mężczyźni, którzy ją uprowadzili?

Owszem, tak, to oni tutaj byli. Po chwili przeszukiwań Antonio znalazł bowiem jej papierosa, do połowy wciśniętego w ziemię.

- A więc to palenie w końcu na coś się jej przydało - mruknął, konsekwentnie bowiem tępił nałóg Vesli.

Ona tutaj była, ale, niestety, odeszła, i teraz będzie jeszcze trudniej ją znaleźć, myśleli wszyscy przygnębieni.

- Czy jest więcej możliwości wyjścia stąd? - spytał Jordi strażnika.

Vesla stwierdziła, że napastnicy zamierzają ją wciągnąć w leśną gęstwinę i wpadła w popłoch. Okolica była chyba najmniej uczęszczana w całej Alhambrze, teraz przynajmniej nigdzie nikogo w pobliżu nie widać.

Próbowała się bronić. Natychmiast jednak poczuła na żebrach ostrze noża, z pewnością przeszło przez bluzkę. Sprawilo jej to prawdziwy ból i Vesla miała problemy z zachowaniem spokoju. Buty zniszczone, myślała bliska płaczu, bluzka też. A teraz na pewno mnie skaleczyli, ciekawe, co zrobią jeszcze.

Nieprzyjemna myśl. Bardzo nieprzyjemna.

Czy nikt nie może tu przyjść i mi pomóc? Czy tamci muszą tak długo błądzić po zamku duchów? Dlaczego nie mogą wrócić do rzeczywistości i trochę się pospieszyć?

No, może Alhambra nie jest takim znowu zamkiem duchów. Z czasów, kiedy pracowała jako pielęgniarka, Vesla pamiętała jeszcze gniew na innych, gdy człowiek nie panuje nad własną sytuacją. To przecież ona nalegała na zwiedzanie Alhambry.

Ale nawet dziecko by pojęło, że oto teraz Vesla znajdowała się w nader trudnej sytuacji.

Dotarli do niewielkiej pustej polany otoczonej gęstym lasem. Obaj mężczyźni zachowywali się agresywnie. Młodszy wciąż przyciskał nóż do jej żeber, starszy groźnie zaciskał ręce na jej szyi.



- Gdzie jest Elio Navarro? - warczał.

- Nie wiem, ja naprawdę tego nie wiem. Przysięgam!

- To co w takim razie robiliście w jego domu? Wiem, że przyjechaliście z Norwegii i zaraz mi powiesz, dlaczego szukaliście Elia.

Nie było łatwo rozumieć ten jego tak zwany angielski tak, jak i jemu trudno było zrozumieć, co mówi Vesla.

Z trudem przełknęła ślinę i wyjaśniła:

- Ci dwaj mężczyźni, którzy byli tam ze mną, to są kuzyni Elia. Chcieliśmy się po prostu przywitać. Ale jego nie było.

- No, a gdzie jest?

- Oj, jak wy nudzicie! Nikt nie wie, gdzie się podział. Rodzina jest przekonana, że nie żyje!

Ci dwaj jednak najwyraźniej przekonani nie byli.

- Jaki jest numer telefonu do twoich kolegów? - zapytał starszy ostro.

- Oni nie mają komórki.

- Nie próbuj sztuczek! Zaraz się dowiedzą, że cię mamy i co zamierzamy z tobą zrobić. A wtedy na pewno powiedzą nam znacznie więcej o Eliu.

Vesla uświadomiła sobie, że swój telefon ma w torebce. Jeśli napastnicy to odkryją, to na pewno go jej zabrają, a wtedy straci ostatnią więź łączącą ją ze światem. Na myśl o tym ogarnął ją taki gniew, jakiego potrzebowała, by zacząć działać. Z wielką siłą odepchnęła od siebie młodszego z mężczyzn i równocześnie wyrwała się starszemu, waląc go kolanem w strategiczny punkt. Dostrzegła, że młodszy się zbliża, zamachnęła się więc swoją torbą na ramię - z telefonem komórkowym w środku, co czyniło cios jeszcze dotkliwszym - i co sił w nogach pobiegła w stronę kamienistej alejki.

Słyszała, że ją gonią, rozpaczliwie rozglądała się za jakimiś przechodniami, ale wszyscy już najwyraźniej opuścili zabytkowe miejsca. Nigdzie żywego ducha. Mimo to Vesla głośno wzywała pomocy, wkrótce jednak dostała potężny cios w ucho i padła na ziemię.

Na pół przytomna słyszała, jak starszy mówi coś długo i bardzo szybko po hiszpańsku, zdołała rozróżnić tylko słowa „taxi” i „mujer enferma”, czy coś takiego, przetłumaczyła to sobie jako „chora kobieta”. Widocznie napastnicy zamierzali przewieźć ją dokądś taksówką, udając, że ona potrzebuje pomocy i dlatego muszą ją tak ciągnąć między sobą.

Próbowała głośno protestować, ale dostała kolejny cios, prawdopodobnie trzonkiem noża, bo naprawdę ukazały jej się gwiazdy.

Ktoś narzekał, skarżył się, że Vesla jest taka ciężka.

Jaki delikatny, pomyślała urażona. Wystarczająco często musiała znosić obraźliwe komentarze własnej matki, krytykującej jej wzrost i wagę, by ci ordynarni dranie mieli sobie na to samo pozwalać i psuć jej humor.

Znowu spróbowała krzyżeć. Napastnicy wściekli się na nią, mówili o niej coś, czego, ku swej radości, nie rozumiała. Chyba się rozmyślili, uznali w końcu, że jest za duża, za ciężka, za bardzo się szamoce, ale przecież nie mogli jej tak puścić i po prostu pozwolić odejść.

Wahali się, co zrobić. Vesla zrozumiała słowo *matar*. Znała to słowo. Znaczący: zamordować.

Nie! Jeszcze raz próbowała krzyknąć, wtedy jednak wcisnęli jej do ust kępę trawy. Jeden przewiązał jej twarz długą, śmierdzącą skarpetką, drugi wykręcił ręce na plecy i związał paskiem od torebki. Druga skarpetka, chyba podkolanówka, została użyta do związania nóg Vesli. Ponieważ po ciosach w głowę biedaczka nie odzyskała jeszcze w pełni przytomności, nie bardzo mogła się bronić. Może nie doznała wstrząsu mózgu? Szarpanie się w takiej sytuacji nie byłoby jednak dla niej zdrowe, jako pielęgniarka dobrze o tym wiedziała.

Trawa o mało jej nie zadławiła. Vesla starała się oddychać przez nos.

Napastnicy chyba jednak zrezygnowali z zamordowania swojej branki. Odczuła wdzięczność do losu. Nie mieli odwagi posunąć się do zabójstwa, chyba i tak ściągnęli sobie na głowę poważny kłopot, z którego nie umieli wybrnąć.

Vesla została ponownie wciągnięta do lasu, tym razem daleko od tamtej polanki. Związaną i bezradną napastnicy przerzucili przez jakąś krawędź.

Uderzyła się boleśnie. Czowała, że robi się mokra, gdzieś tu musi płynąć woda. Trzeba więc zachowywać ostrożność i trzymać głowę możliwie jak najwyżej. Czy można się tu o coś oprzeć?

Gdzie ja jestem?

Kamienna krawędź. Wysoka. Czy to jakiś kanał?

Wciąż nie miała o co oprzeć głowy. Woda jednak nie była głęboka, tylko taki ciekający strumyk. Vesla na pewno sobie poradzi, gdyby tylko...

Placz dławił ją w gardle. Nie wolno jej, za nic na świecie nie wolno się rozplakać, to by była katastrofa. Próbowała, jak mogła, się wyprostować.

Czy ktoś zdoła mnie tu odnaleźć? Trzeba iść jak najdalej z tego straszego miejsca. Trzeba się czołgać, ale dokąd?

I w tym momencie w jej torebce rozdzwonił się telefon.

Wciąż stali w lesie, a wieczór z wolna złocił płomiennym blaskiem czerwone mury starej twierdzy. Antonio miażdżył w palcach papierosa Vesli.

- Oczywiście, istnieją inne wyjścia - powiedział strażnik. - Do Plaza de los Aljibes, gdzie znajduje się postój taksówek.

- Taksówki. Boże drogi - mruknął Antonio. - To gdzieś w pobliżu pałacu króla Carlosa, prawda?

- Tak jest.

Antonio myślał pospiesznie. Ci dwaj mężczyźni, którzy uprowadzili Veslę, nie mogli jej przecież ciągnąć główną aleją obsadzaną cyprysami.

- A czy jest tu jakaś droga na skróty, nie taka otwarta?

- Oczywiście, najkrótsza jest droga, która wiedzie tędy.

Nikt nie musiał nic mówić, wszyscy czworo pobiegli ścieżką, prawie niewidoczną pod drzewami.

- Poczekajcie! - krzyknął bystry strażnik. - Zadzwoń na postój taksówek.

- Dobry pomysł - pochwalił Antonio.

Trochę trwało, zanim po tamtej stronie ktoś odpowiedział. Widzieli, że strażnikowi z niecierpliwości drżą ręce.

Niepotrzebnie zabraliśmy ze sobą Veslę do Hiszpanii, myślał przerażony Jordi. Niewinna, niczego nie rozumiejąca dziewczyna nie powinna być narażana na takie niebezpieczeństwa. Jeśli Vesla straci życie, ani Antonio, ani ja sobie tego nie wybaczymy. Nie mówiąc już o żałobie, w jakiej by to nas pogrążyło. Taka miła, szlachetna istota jak Vesla. Uprowadzona w nieznanym mieście. Może dokądś wywieziona?

A Unni? Czy ona także nie powinna była zostać w domu? Dlaczego narażam najukochańszą istotę w życiu na coś takiego? Ale przecież byliśmy przekonani, że niebezpieczeństwo istnieje w Norwegii. Czyż nie uciekaliśmy przed Leonem i jego bandą?

Jordi nie mógł się uwolnić od wyrzutów sumienia.

Tak, bo żadne z nich nie miało wątpliwości, że uprowadzenie Vesli ma związek z zagadką czarnych rycerzy. Czy też może najpierw z Eliem.

Unni i Antonio stali ze ściągniętymi twarzami, bladzi, bez możliwości uczynienia kolejnego kroku, niczego nie rozumiejąc.

W końcu strażnik połączył się z postojem taksówek na placu. Toczył się teraz ożywiony dialog po hiszpańsku, obaj bracia jednak nie mieli problemów z rozumieniem, bowiem i strażnik, i taksówkarz mówili bardzo głośno. Nie, nie widzieli tutaj takiej kobiety. Natomiast dwóch mężczyzn owszem, wsiadali do taksówki i bardzo im się spieszyło. Jeden młody przystojniak, i drugi trochę starszy, może trzydziestopięcioletni...

To by się zgadzało z opisem zostawionym przez hiszpańską parę. Państwo ci jednak znajdowali się zbyt daleko, by dostrzegać jakieś szczegóły, więc opis był dość ogólnikowy.

- Czy w tej sytuacji możemy zakładać, że przyjaciółka państwa nadal znajduje się gdzieś tutaj? - zastanawiał się strażnik, gdy już zakończył rozmowę. - Mam wezwać policję, czy najpierw poszukamy sami? Tamci nie tak dawno temu byli na postoju, choć taksówkarz nie może podać dokładnego czasu. Jest też jasne, że musieli iść tędy...

Zdecydowali, że najpierw sami przeszukają okolicę.

Starannie zbadali alejkę, szukali w lesie i między kamieniami, wydawało im się jednak nieprawdopodobne, by Vesla dała się ciągnąć, nie wzywając pomocy, więc ostatecznie wrócili do alejki.

Tam stali, rozważając, czy należy wezwać policję.

- Spróbuję jeszcze raz zadzwonić do niej na komórkę - powiedział Antonio zdesperowany. - Może tym razem odbierze? Wciąż przecież słyszę sygnały.

- Cii! - syknęła Unni. Zaczęli nasłuchiwać.

Telefon nieprzerwanie wysyłał sygnały. I oto gdzieś daleko odpowiedział mu inny, wyjątkowy sygnał. Popatrzyli po sobie przerażeni.

- Vesla - szepnął Antonio.

Wszyscy pobiegli w stronę sygnału. Antonio wciąż trzymał swój telefon, to był ich najlepszy przewodnik.

Znaleźli się nad wybetonowanym rowem. Dotychczas tutaj nie byli. Jordi położył się na ziemi i zaglądał do rowu ponad betonową krawężnią.

- Ona tam leży - pokazał nagle. - To jakiś kanał. Ze ścieżki nikt by jej nie dojrzał.

- Woda - jęknął Antonio przerażony. - Czy ona jest pod wodą?

Tego nie było widać, bo Vesla leżała w dziwnej pozycji, częściowo na brzuchu. Strażnik i Antonio już zeskoczyli na dół, woda chlupała wokół ich stóp. Podnieśli głowę Vesli i z wielką ulgą stwierdzili, że jej oczy desperacko błagają o pomoc.

Strażnik wyrwał knebel z ust dziewczyny, która zanosła się kaszlem, pluła ziemią i trawą. Antonio przepłukiwał jej usta wodą, błagał tylko, by jej nie połykała. Skinęła głową, sama zaczerpnęła solidny haust, przepłukała usta i wypłukała. Ze świstem wciągała powietrze.

Tymczasem strażnik uwolnił jej nogi, z rękami było gorzej, bo supeł na pasku od torebki nic dawał się rozwiązać. Vesla stała teraz w wodzie wspierana przez Antonia.

Telefony nadal dzwoniły, nikt nie miał czasu ich wyłączyć. Baterie są pewnie na wyczerpaniu, ale niech tam.

W końcu Vesla była wolna, Unni i Jordi pomogli jej się wydostać na górę, potem wyciągnęli Antonia i strażnika. Ten ostatni telefonował po policję i karetkę pogotowia.

- Nie potrzebuję karetki - protestowała, krztusząc się, Vesla.

- Owszem, potrzebujesz. Dostałaś parę solidnych razów w głowę - upierał się Antonio.

- Poza tym krwawisz, masz ranę w boku. Wygląda na klutą.

Vesla potwierdziła.

- Tak, to nóż, którym mnie straszyci.

- Przeklęte bestie! - oburzał się Antonio. - Jak to się dzieje, że tacy napadają na niewinne dziewczyny?

Unni słyszała rozpacz w jego głosie. Starał się ją ukryć, ale bez powodzenia.

W końcu Jordiemu udało się wyłączyć uparte telefony.

- Ja słyszałam, że dzwonicie... przeklęta ziemia... wielokrotnie... - Vesla prychała i pluła. - Nic jednak nie mogłam zrobić.

- Czego oni od ciebie chcieli? - spytała Unni, kiedy znaleźli się znowu w alei. Vesla zachowywała się bardzo dzielnie, szła o własnych siłach, choć kulała i trzeba ją było wspierać.

- Interesuje ich Elio. Chcą wiedzieć, gdzie jest. Ale ja udawałam, że nie rozumiem, zresztą i tak przecież nic nie wiem. Uznali, że wezmą mnie jako zakładniczkę, ale okazałam się dla nich za ciężka, nie mogli mnie uciągnąć.

- Bogu dzięki - mruknął Antonio.

- Zastanawiali się, czy mnie nie zamordować - rozszlochała się nagle Vesla. - Widocznie jednak nie mogli się na to zdobyć.

- Myślę raczej, że to by było dla nich zbyt ryzykowne - wtrącił Jordi zachrypniętym głosem.

- No tak, rozumiem. A kim jest ten rycerz w przebraniu strażnika?

Wyjaśnili jej i Vesla serdecznie uściskała w dowód wdzięczności oniemiałego Hiszpana. Niemal utonął w obszernych objęciach, sądząc jednak po błogim uśmiechu, musiało mu tam być dobrze.

Usłyszeli syreny alarmowe zbliżające się do Alhambry. Nadchodziła pomoc.

Teraz jednak Antonio nie zamierzał spuszczać oka z Vesli nawet na sekundę. Polecił Unni i Jordiemu, by porozmawiali z policją, nie wspominając, oczywiście, ani słowem o Eliu, sam zaś wsiadł z Veslą do ambulansu i pojechał do szpitala.

Nie ulegało wątpliwości, że muszą zmienić hotel, trzeba było tylko poczekać, aż znowu wszyscy będą. Tym razem chodzi o bezpieczeństwo Vesli.

- Odzyskaliśmy ją - powtarzała uszczęśliwiona Unni. - Jako tako całą i zdrową.

- Owszem - przytakiwał Jordi matowym głosem, wciąż głęboko wstrząśnięty. - Ale chodźmy już do tych policjantów. Mój Boże, co my im powiemy?

Okazało się, że nic nie muszą mówić. Policjanci na ich widok wpadli w zachwyty.

- Ach, tak, to wy? - wołał *el comisario* z szerokim uśmiechem. - Czeką nas jutro rano wspólne zadanie, prawda? Polecenie z najwyższego szczebla.

Niezawodny Pedro, niech go Bóg błogosławi!

- Moim zdaniem kidnapczy to ludzie José - mówił dalej policjant.

- Tak, my też tak przypuszczamy, ale pewności nie ma.

Nie musieli jednak tak bardzo uważać. José ma na pewno wiele ciemnych sprawek na sumieniu, że dołożenie mu jeszcze jednego przestępstwa nie będzie miało żadnego znaczenia, nawet jeśli on go nie popełnił.

Nagle Unni poczuła, że jej ramię przeszywa lodowaty strumień. Musiało to trwać już jakiś czas. Ona i Jordi trzymali się za ręce, nie zdając sobie z tego sprawy.

A niech tam, nie umrze od tego zimna. Po wszystkich przejściach za nic nie chciała puścić jego ręki.

No to się dowiedzieli, jak łatwo ich ugodzić, zrobić im krzywdę. Któż mógł jednak przypuszczać, że niebezpiecznie jest zostawić Vesłę na ławce w centrum dobrze strzeżonej Alhambry? Leon jest w Norwegii, poza tym byli przekonani, że nikt nie wie, iż oni przyjechali do Hiszpanii.

Antonio i Vesla bardzo szybko wrócili ze szpitala i znaleźli Jordiego z Unni w hotelowej sali jadalnej, spożywających naprawdę zasłużony obiad. Natychmiast się do nich przyłączyli. Vesla miała dyskretny plaster na skroni. Wciąż kręciło jej się w głowie, była oszołomiona i posiniaczona na całym ciele po upadku do kanału, ale poza tym nic jej się nie stało.

Unni odebrała pieniądze z banku, czuli się więc bogaci. Kapitałem miał zarządzać Jordi, który zgodził się na to po dłuższych protestach.

- U mnie pieniądze nie będą bezpieczne - wyjaśniła Unni. - Mnie gotówka w kieszeni parzy i staram się możliwie jak najprędzej jej pozbyć, wydać na cokolwiek, co mi pierwsze wpadnie w oczy. Na słodycze, koszulki, jazdę na diabelskim młynie, przyjaciół... naprawdę nieważne!

- Zapomnieliśmy, że Leon ma kompanów w Hiszpanii - Antonio wrócił do najważniejszego tematu. - Masz o nich jakieś informacje, Jordi?

- Kiedyś słyszałem imię ich szefa. To niejaki Alonzo.

- Dzisiaj nie mogło go tutaj być - rzekła Vesla stanowczo. - Ci dwaj byli tacy ordynarni, że żaden nie mógł być niczym szefem.

- Mimo wszystko na przyszłość powinniśmy być bardziej ostrożni.

Unni rozejrzała się ukradkiem po jadalni. Na drugim końcu siedziała grupa japońskich turystów, poza tym nie było nikogo. Ona zaś i jej przyjaciele usadowili się tak, że ktoś wchodzący do sali nie mógł ich dostrzec.

Dyskretnie przenieśli się do innego hotelu. Szli bocznymi uliczkami, żeby nikt nie widział, jak ciągną za sobą bagaże. Przekazali wiadomość Pedrowi, Mortenowi i Gudrun, nikt inny nie potrzebował wiedzieć, gdzie się znajdują.

Tym razem także wzięli trzy pokoje, ale lekarz Antonio chciał się opiekować Vesłą, więc Jordi i Unni zamieszkali osobno i mogli się porządnie wyspać; pierwszej nocy nie bardzo mieli na to czas ze względu na straszne wizje Unni, a potem jej stan niemal zamrożenia.

- Zastanawiam się, co robi Japończyk, który się odłączy od grupy - powiedziała Unni, kiedy stała już przed drzwiami swego pokoju i miała powiedzieć kolegom dobranoc.

- Unni, coś ty! - skarciła ją Vesla. - To pachnie dyskryminacją rasową!

Antonio się uśmiechał.

- A ja znam pewnego japońskiego lekarza. To wspaniały, inteligentny człowiek i znakomicie sobie radzi na własną rękę! Japończycy nie są zwierzętami stadnymi, jak się niekiedy sądzi. Tak nam się wydaje, ponieważ widzimy ich przeważnie jako turystów, w autobusach na przykład. Myślę, że Norwegowie podczas czarterowych wyjazdów wcale nie są lepsi.

- Chyba nie - przyznała Unni. - A w ogóle to dziwna sprawa z tymi turystami. Kiedy pojawiają się w naszym mieście, mówimy o nich „turyści” z odcieniem niechęci. Kiedy natomiast my sami wyjeżdżamy... nie, wtedy nie jesteśmy turystami! Podróżujemy, by studiować krajobrazy i obyczaje, ludzi i naturę, poznajemy obce kultury i tak dalej.

Jordi roześmiał się.

- Masz rację. Ale możemy się pocieszać, że podczas tej podróży naprawdę nie jesteśmy turystami. Z wyjątkiem zwiedzania Alhambry, które się zresztą źle dla nas skończyło. Dobranoc, kochani! Zobaczymy się jutro na śniadaniu.

Nowy hotel prezentował inny, bardziej hiszpański styl. Pokoje w poprzednim były takie same jak w wielu innych hotelach w Oslo, Londynie czy Hongkongu, stereotypowe, niczego, na co można się skarżyć, ale też niczego, co by się pamiętało.

Tutejsze pokoje miały swój charakter. Były tańsze i prościej urządzone niż w pierwszym hotelu, ale człowiek wiedział, w jakim znajduje się kraju; wszystko z naturalnych materiałów, od krzeseł z prostymi oparciami do kafelków w łazience.

Biała, dość gruba szydełkowa narzuta na łóżko była zrobiona ręcznie i trochę nierówna, ceramiczny wazon został wykonany w małym warsztacie garncarskim.

Wszyscy Norwegowie czuli się tu lepiej. W recepcji panowała atmosfera serdecznej gościnności.

Mieli nadzieję, że nikt się nie dowie, jakich niebezpiecznych gości przyjęto.

Antonio troskliwie odsunął narzutę na połowie łóżka, należącej do Vesli.

- Wyjdę i zaczekam, aż się przygotujesz do snu - powiedział cicho.

- Przykro mi, Antonio, ale będę potrzebowała pomocy, żeby zdjąć bluzkę przez głowę. I chyba stanik. Trudno mi poruszać barkiem po upadku. To nie jest bezwstydną propozycja... musisz mi wybaczyć.



Roześmiał się, słysząc jej żart.

- Nie jest, oczywiście. Zresztą przecież oboje dobrze wiemy, jak to jest z naszymi uczuciami.

Nie całkiem, mój przyjacielu, nie całkiem, pomyślała Vesla. Gdybyś ty się domyślał...

Czy dlatego tak to odczuwam, że on zachowuje się z taką rezerwą? Oczywiście, mogłabym pójść na całość i zobaczyć, jak to się skończy, ale nie chcę. Jest bowiem tak, jak to on kiedyś określił: Nasze uczucia są zbyt poważne na banalny flirt, o czymś takim w ogóle nie może być mowy.

Nigdy przedtem nikt nie budził we mnie takich emocji. No i Antonio jest jak nikt inny wart, by go kochać. Przystojny, że przyjemnie na niego patrzeć, ma wspaniałe poczucie humoru, troszczy się o innych, jest miły i mądry... Tak, ma wszystkie dobre cechy, jakie można sobie wyobrazić.

Dostrzegła w nim tylko jedną mroczną skłonność, mianowicie nienawiść do Leona, która nie jeden i nie dwa razy wytrącała go już z równowagi.

To bardzo nieprzyjemne. Ale wolała już to, niż gdyby był doskonały w każdym szczególe. Ideały bywają trudne do zniesienia, zwłaszcza że sama wcale taka perfekcyjna nie jestem. Ja na przykład czasami bardzo źle myślę o swojej matce. A to przecież dużo gorsze... brzydkie myśli o własnej matce!

Tylko że to okropna wiedźma!

Dobrze jest móc to powiedzieć, choćby tylko samej sobie!

No właśnie! Przyjemność z mówienia brzydko o innych. To przecież potworne!

Ale jakie ludzkie!

Chwila filozoficznej zadumy minęła. Antonio zaczął z niej zdejmować bluzkę.

Żeby tylko nie zauważył, że trzęsą mi się ręce.

Podniesienie prawego ramienia okazało się niemożliwe.

Jego dłonie były ciepłe i delikatne, odczuwała ich dotyk jak leciutką niczym puch pieśczętą miękkiego aksamitu. Bogu dzięki, że on nie jest Jordim, pomyślała. Biedna Unni, która nawet nie może dotykać ukochanego mężczyzny! To bardzo niezwykła, ponura historia z tymi rycerzami i w ogóle. Teraz jednak zamykam ją stanowczo. Bez najmniejszego wahania. W tej chwili nie chcę nic wiedzieć o nieszczęsnych rycerzach, o, przepraszam, o straszących rycerzach, o tych wszystkich nieoczekiwanych napadach i rozwiązywaniu historycznych tajemnic.

Au, jak mnie boli bark, za nic nie zdołam podnieść ręki tak wysoko!

Choć bardzo chciała zachowywać się dzielnie, nie mogła powstrzymać jęku. Antonio natychmiast opuścił jej rękę i próbował zdjąć bluzkę w inny sposób.

- Wygląda na to, że masz naciągnięte ścięgno - mruknął, mocując się z ubraniem. - Muszę przyznać, że poobijana jesteś okropnie. Ale ten plaster na boku założyli ci porządnie, chcesz się przejrzeć w lustrze?

- Raczej dziękuję!

Teraz to bym chciała być piękna, żaliła się w duchu. Nie żółta i zielona, pooblepiana plastrami. Chciałabym, żeby twój dotyk nie sprawiał mi bólu, chciałabym...

Nie, tego bym nie chciała.

Zamierzała sobie powiedzieć „chciałabym móc cię kochać”, ale to zakazane myśli, kiedy Antonio jest tak blisko. Może więc płyną jakieś korzyści z takiego wyłączenia z gry?

No właśnie, bo przecież w żadnym razie nie mogła mu powiedzieć, że ma, na wszelki wypadek, prezerwatywy w torebce. Co on by sobie wtedy pomyślał? Że Vesla chodzi do łóżka z każdym napotkanym chłopakiem? Przecież nie chodzi. Nie jest wprawdzie dziewicą, ale od tego do całkowitego braku hamulców daleka droga.

Wygląda jednak na to, że Antonio został wychowany w duchu - dziadków? - z którymi ona przedtem nie zawsze miała do czynienia. I strasznie chciała, by Antonio okazywał jej szacunek. Tak wiele to dla niej znaczyło.

Antonio bardzo delikatnie odpinał jej stanik.

- Nic dziwnego, że chcieli, byś została modelką - powiedział trochę niewyraźnie, jakby mu brakowało tchu. - Czy chcesz, żebym ci pomógł włożyć nocną koszulę?

- Nie, wolałabym najpierw wziąć prysznic. Ale dziękuję za dobre chęci.

- Nie możesz iść pod prysznic z tymi plastrami.

Vesla westchnęła.

- Ali right, to obmyję się tylko jak kot. Jeśli pozwolisz, to już pójdę...

Schroniła się w małej łazience, która miała wszystkie rury na wierzchu, ale za to najpiękniejsze kafelki, jakie Vesla widziała. Ciekawe, gdzie mogłabym takie kupić? zastanawiała się.

Nieoczekiwanie przeniknął ją dreszcz, jakby się czegoś złąkla. Musiała stać przez chwilę bez ruchu, by odzyskać równowagę psychiczną. Szukała w tej łazience schronienia, żeby on czasem nie zauważył, jak bardzo na nią działa, co robi z jej ciałem jego bliskość, dotyk jego rąk. Skoro bowiem on potrafi zachować chłodny dystans, to ona nie powinna mu się narzucać.

Choć czuła się, oczywiście, tym jego chłodem trochę zraniona.

Umyła się, nieco dokładniej niż to czyni kot, wślizgnęła się w swoją króciutką nocną koszulkę i wyszła z łazienki. Antonia nie było w pokoju, wsunęła się więc do łóżka, ułożyła pięknie na swojej połówce i odwróciła plecami w stronę miejsca Antonia. Usłyszała, jak wchodzi do pokoju, widziała cień znikający w łazience, a w chwilę później on również znalazł się w łóżku.

Ponieważ Antonio położył się na plecach z rękami pod głowę, ona próbowała przyjąć tę samą pozycję. Miała nadzieję, że nie wylała na siebie za dużo tych nowych perfum, nie, chyba nie, zapach był dyskretny.

Nie mogła jednak ułożyć rąk pod głowę, za bardzo bolało!

- Nie powinniśmy byli zabierać ciebie i Unni do Hiszpanii - powiedział Antonio.

Zabolało ją to.

- Tak, wiem, narobiłyśmy wam mnóstwo kłopotów.

Zwrócił ku niej głowę.

- Wprost przeciwnie! To wy musiałyście cierpieć z powodu naszej bezmyślności. A wy nam pomagałyście! Unni przysłużyła się bardzo naszej sprawie tą swoją zdolnością do rozumienia zjawisk paranormalnych. Ty natomiast naprowadziłaś nas na ślad hiszpańskich współpracowników Leona.

- Ale dzisiejszej nocy pilnować mnie nie musisz.

- Owszem, muszę. Masz za sobą traumatyczne przejścia, z których nie zostałam wyprowadzona...

- Co ty powiesz? Uważasz, że powinnam się załamać po tym, jak zostałam porwana?

- W każdym razie nie powinnaś być sama, gdyby do tego doszło.

- Chyba nie jestem gotowa do odegrania wielkiej sceny odreagowania akurat teraz. Jak na takie okoliczności, to mam się bardzo dobrze.

- W porządku, skoro nalegasz, bym sobie poszedł, to...

- Nie, nie nalegam i chyba powinniśmy już skończyć z tym, nie uważasz? - roześmiała się Vesla. - Czy mogę ci coś powiedzieć, czy też wolisz już spać?

- Skąd? Jestem tu po to, żeby czuwać, zapomniałaś? - Antonio zmienił ton, śmiał się teraz i żartował.

- No więc posłuchaj - Vesla starała się mówić poważnie. - Uważam, że ta okropna historia, która mi się dzisiaj przytrafiła, skłoniła mnie, by inaczej patrzeć na życie. Nie, nie chciałam powiedzieć, że kiedy człowiek znajdzie się tak twarzą w twarz ze śmiercią, to uczy się cenić drobniejsze rzeczy w życiu, bo to nie tak. Chodzi o coś innego. Odkryłam mianowicie, że potrafię znieść bardzo dużo. Zachowałam chłód i opanowanie w sytuacji

zagrożenia życia. Nie przypuszczam więc, bym miała przeżyć jakieś załamanie. Bardzo żałuję!

Antonio nie odpowiadał. Myślał widać swoje o tej sprawie.

Vesla mówiła dalej:

- Ale się zmieniłam, to nie ulega wątpliwości. W ciągu dni spędzonych z wami bardzo się poszerzyły moje horyzonty, jeśli mogę to wyrazić tak banalnie. Niebywale mi odpowiada wasz sposób życia.

- No, no, dla nas to też nie jest żaden obowiązujący standard. Zgadzam się jednak z tobą, że to były niezwykle podniecające dni. I nie mam tu na myśli jedynie zewnętrznego, że tak powiem, napięcia.

- No właśnie! - zawołała Vesla z ożywieniem, uniosła się i wsparła na łokciu. - Jeszcze tak wiele niezwykłych spraw znajduje się w ukryciu i czeka.

O rany! Spłoszona opadła na poduszki. Czy on się domyśla, o co jej szło? Ufała, że nie. Bo oczywiście myślała o owym napięciu, które powstaje między nimi. I które nieustannie przybiera na sile.

I żeby Antonio nie miał czasu zastanawiać się nad jej słowami, zmieniła temat:

- Tak, jestem kimś innym, nowym. Kupno luksusowych butów, to ostatni mój wyskok w starym stylu. Potem już widziałam wszystko w innym, można powiedzieć jaśniejszym, świetle. Nie ma znaczenia to, jak się ludzie ubierają.

- To prawda. Nie możesz jednak całkiem się wyzbyć swego dawnego stylu. On przecież wyrażał twoją osobowość.

Vesla prychnęła.

- Osobowość budowana w oparciu o to, co myślą i mówią koledzy z paczki lub w pracy? Nie, jeśli mam powiedzieć prawdę, to byłam niewolnicą stylu, narzucanego przez innych. Teraz się tego wstydzę. I wiesz co, również jeśli chodzi o seks i te sprawy, to też postępowałam zgodnie z tym, co myślą moi znajomi.

Tym razem Antonio podskoczył.

- Co masz na myśli, mówiąc „seks i te sprawy”? Co to są „te sprawy”?

Vesla była skrepowana.

- Głupio się wyraziłam, zapomnij o tym!

- Nie, chcę wiedzieć. Powiedziałaś, że postępowałaś zgodnie z tym, co myślą znajomi?

- Och, naprawdę nie ma o czym mówić - bąkała. - Zdała sobie sprawę, że wkroczyła na grząski grunt.

- Vesla, to mnie naprawdę bardzo interesuje, przecież tak mało o tobie wiem.

- O mnie? O tej, która siedziała w samochodzie jadącym na zachodnie wybrzeże i rozczuła się nad swoim żalonym życiem?

- Ale o życiu uczuciowym nie mówiłaś nic.

- Nie, ponieważ ono nie istniało.

- Co chcesz przez to powiedzieć? O ile wiem, nie jesteś zupełną nowicjuską?

Aha, więc to zapamiętał. Niech to licha!

Odpowiedziała niecierpliwie:

- No więc właśnie to miałam na myśli, mówiąc, że postępuję zgodnie z poglądami moich koleżanek z pracy. One bezustannie gadają o chłopakach, a ja ulegam wpływow. Myślałam, że tak powinno być.

- Powiedz mi... ile ty właściwie masz lat?

- Ja? Mniej więcej tyle, co Unni. Skończyłam dwadzieścia dwa.

- Tylko? A ja myślałem, że więcej, dwadzieścia sześć albo coś koło tego.

- Dziękuję za komplement - rzekła Vesla cierpko. - Teraz jednak sądzę, że spróbuję zasnąć.

Antonio położył rękę na jej kołdrze, na wysokości piersi Vesli.

- Nie, to niesprawiedliwe. Zmuszasz mnie w ten sposób, bym leżał, nie śpiąc, i zastanawiał się, co właściwie miałaś na myśli.

Vesla zeszywniała.

- Ciii! - syknęła.

Antonio nasłuchiwał. Po chwili dźwięk dotarł też do niego.

Vesla wzięła go za rękę i mocno ścisnęła.

- Za drzwiami ktoś stoi - szepnęła ledwo dosłyszalnie.

Mnóstwo różnych myśli przelatywało obojgu przez głowy, wszystkie tak samo paranooidalne.

Unni? Jordi?

Nie, oni by się nie skradali po kryjomu. Nie skrobali w drzwi...

Antonio szedł już, by zobaczyć, co się dzieje, gdy nagle szerokie uśmiechy rozjaśniły ich twarze: za drzwiami skomlał pies.

- Pies hotelowy! - zawołała Vesla. - To ten pocziwiec, który leżał w recepcji. Wpuść go!

Antonio wahał się nie dłużej niż sekundę. Uchylił drzwi.

- Wejdz, ty stary draniu - zapraszał półgłosem. - Bo chyba o to ci chodzi?

Uszczęśliwiony pies nieokreślonej rasy wskoczył na łóżko i ułożył się w nogach.

- Nie wiem, czy słusznie postępujemy - śmiał się Antonio. - Pchły i w ogóle. Ale ten wygląda, że czuje się tu jak w domu. To widocznie nie pierwszy raz.

Antonio wrócił do łóżka. Pies wyciągał się, pomrukując z zadowoleniem. Pobawili się z nim jeszcze trochę, po czym Antonio podjął przerwana rozmowę:

- Nie chciałbym się grzebać w twojej przeszłości, Vesla, bo to nigdy do niczego dobrego nie prowadzi. Chciałbym tylko wiedzieć o tobie więcej. Żebym mógł cię lepiej rozumieć. Bo bardzo tego chcę.

Jego głos brzmiał tak łagodnie i przyjaźnie, że Vesla długo i głęboko wciągała powietrze, jakby w poczuciu beznadziejności czy żalu.

- Poddaję się - oznajmiła zmęczona. - W końcu mogę ci o tym opowiedzieć i chyba lepiej wcześniej niż później. Antonio, moje tak zwane życie uczuciowe to żalosna historia. Oczywiście, zdarzało się, że żywiłam jakieś cieplejsze uczucia do tego czy innego. Ale... Nie, to nie tak. Lepiej zacznę od początku. Miałam trzech partnerów. Ostatnim był Marius, zanim pojawiła się Emma. Poprzedni to kolega z pracy, a całkiem pierwszy chodził do mojej szkoły, dwie klasy wyżej.

- No ale to nie tak dużo. Tylko trzech chłopaków? Dziewczyna, która musiała mieć wielkie powodzenie?

W głosie Vesli słychać było smutek.

- W dodatku to było tylko takie chodzenie, z miłością nie miało nic wspólnego. Może zainteresowanie. Sympatia. Ale czy to wystarczy? Jak powiedziałam, chodziłam z

chłopakami, bo myślałam, że tak powinno być. Prawda jest dosyć brutalna i wcale nie wiem, czy mam ochotę ją wyjawiać.

- Chciałbym, żebyś miała do mnie zaufanie.

Vesła znowu westchnęła. Broda jej drżała, jakby się miała rozpląkać.

- Czy pamiętasz, co ci opowiadałam o moim potwornym dziadku, którego musiałam pielęgnować jako mała dziewczynka? On miał kompletną demencję, nie bardzo wiedział, co robi, ale próbował się do mnie dobierać, chciał mnie wciągać do łóżka, wygadywał paskudne słowa, obnażał się przede mną i błagał, żebym mu pomogła, no wiesz...

- Tak, pamiętam. Byłem bardzo oburzony na twoją matkę, że mogła na coś takiego pozwolić.

- Ona przymykała oczy, chodziło jej tylko o to, żeby sama nie musiała się nim zajmować. Ale, Antonio, tamten okres wypalił bolesne ślady w mojej duszy. Oczywiście, miałam potem jakichś chłopaków. Tych trzech, o których słyszałeś. Ale chodziłam z nimi tylko dlatego, że wszystkie inne dziewczyny tak robiły. Dlatego, że byłam ciekawa. Dlatego, że... wybac mi szczerą, ale przecież sam o to prosiłeś. No więc dlatego, że lubiłam, kiedy chłopak był we mnie zakochany.

- Przecież to całkiem naturalne.

- Możliwe. Ale czułam się nie najlepiej. Bo widzisz... ten mój straszny obowiązek sprzed lat... Konieczność zajmowania się oblesnym starcem... to wszystko uczyniło mnie zimną w sprawach erotyki. Jestem zimna jak lód, Antonio.

Zauważył, że Vesła płacze, choć jej głos na to nie wskazywał. Wyczuwał to, a gdy wyciągnął rękę, by ją pogłaskać po policzku, stwierdził, że łzy spływają jej do uszu. Leżała bez ruchu.

- Więc nie byłaś zakochana w tych trzech mężczyznach?

- Chłopakach. To byli jeszcze chłopcy. Nie, nie byłam zakochana. Nie byli niesympatyczni, przeciwnie, mili i przystojni. Nigdy bym się nie zadawała z kimś, kogo nie lubię. Ale kiedy Emma odbiła mi Mariusa, nie czułam nic. Co najwyżej ulgę.

Głębokie westchnienie Antonia powiedziało jej, że również on odczuł w tej chwili ulgę. Może nawet radość.

- Więc sądzę... że nie potrafię się... podniecić, Antonio. Nikt nie jest w stanie mnie rozpałcić. Bardzo bym chciała, ale to niemożliwe. Czy rozumiesz, że nienawidzę swojej matki? Nie tego jej starego ojca, on po prostu zatracił wszelki rozsądek. Ale ona mnie w to wepchnęła, żeby sama mogła uniknąć nieprzyjemnej sytuacji.

- Zakochać to byś się chyba mimo wszystko mogła, prawda? - zapytał cicho.

Vesla długo zwlekała z odpowiedzią.

- Pamiętaj, że obiecałaś być szczerą - przypomniał.

- Sama nie wiem. Zresztą ty... dlaczego ty nie mówisz nic o sobie?

- Przyjdzie kolej i na mnie.

- Ja się boję, Antonio.

- Nie powinnaś. Przynajmniej z mojej strony nic ci nie grozi.

- To właśnie najbardziej dotyczy ciebie. To ty skazałeś mnie na samotność.

- Ja?

- Oczywiście! Przecież nigdy się nie ożenisz, nie będziesz miał dzieci, nigdy nie stworzysz żadnego związku.

Antonio milczał. Vesla mówiła przecież prawdę, jeszcze niedawno tak właśnie myślał.

- Kiedy ja... Tak, muszę przyznać, że kiedy cię spotkałam po raz pierwszy, pomyślałam: Tego mężczyznę muszę zdobyć. Dla samego podboju. To brzydkie słowo! Chciałam, żebyś się mną zainteresował, podziwiał mnie, zakochał się we mnie. Chociaż sama nie potrafię takich uczuć żywić. Nic jednak nie ułożyło się po mojej myśli.

- Jesteś tego pewna?

- Mówię tylko o sobie. Chciałam cię zdobyć, tak. Ale w tych uczuciach, które we mnie kiełkowały, nie było samozadowolenia. Pojawiły się inne, dotychczas całkiem mi obce. Szacunek dla ciebie. Podziw. Tęsknota. Pragnienie, by już na zawsze być z tobą, Antonio. Wiedziałam, że nie mogłabym żyć bez ciebie. Czulałam się przy tobie tak wspaniale, że aż ogarniał mnie strach.

- Strach przed czym?

- Że po tym, co ci wyznałam, nie będziesz chciał mieć ze mną do czynienia. I że nie ma we mnie ani odrobiny ciepła, które mogłabym ci ofiarować. Jestem i pozostanę zimna jak lód.

Antonio zapytał raz jeszcze:

- Jesteś tego pewna?

Vesla milczała.

Myślała o swojej wielkiej tęsknocie za Antoniem w tamtych dniach. O pragnieniu, by się z nim kochać. Ale dlaczego marzyła o tym wszystkim? Czy tylko z tego dawnego powodu? Bo chciała zobaczyć mężczyznę ogarniętego namiętnością do niej? Czy też może to jej ciało zareagowało? Pierwszy raz w życiu.

Nie, to niemożliwe. Jeśli chodzi o seks, to Vesla umarła. Dawno temu, i raz na zawsze.



Antonio powiedział cicho:

- Twoje milczenie daje mi odwagę, by powiedzieć, jak się sprawy mają. Otóż myślę, że zacznam naprawdę być w tobie zakochany, Vesla. Mówię: myślę, bo bardzo długo starałem się wystrzegać tego rodzaju uczuć. Ale dzisiaj, kiedy zniknęłaś, nie mogłem sobie dać rady. Chyba nigdy jeszcze nie doświadczyłem takiej rozpacz. Oczywiście, sypiałem z kobietami, był nawet czas, że zmieniałem dziewczyny dosłownie jak rękawiczki, bardzo lubiłem, żeby się mną interesowały. Tak więc pod tym względem jesteśmy do siebie podobni, ty i ja.

Pies uniósł głowę i postawił uszy. Z dołu dochodziło ciche pogwizdywanie, ktoś go wołał.

Antonio wstał i wypuścił gościa.

- Wspaniale - odetchnął, wracając do łóżka. - Już mi nogi zaczęły drętwieć.

- Mnie też - przyznała Vesla. - Ale nie miałam serca go przepędzić.

Zaległa cisza. Vesla desperacko pragnęła, by Antonio podjął przerwany wątek, on jednak długo nic nie mówił. A Vesla nie wiedziała, jak go zmusić do kontynuowania rozmowy, Unni znalazłaby pewnie jakieś dowcipne powiedzenie czy anegdotę, Vesla miała jednak na to zbyt poważne usposobienie. Tak przynajmniej sądziła.

W końcu jednak on się odezwał:

- Leżałem w strasznie niewygodnej pozycji, bo pies zajął miejsce przeznaczone dla moich nóg, a nie miałem odwagi pchać się z kolanami na twoją połowę łóżka.

- Powinieneś był - rzekła z uśmiechem, rada, że rozmowa znowu się zacznie.

Niestety, nie zaczęła się.

- Chyba trzeba trochę pospać - stwierdził Antonio i zgasił nocną lampkę.

Nie, ja chcę rozmawiać, protestowała Vesla w duchu, głośno jednak posłusznie powiedziała dobranoc. Wciąż leżała na plecach, choć przeważnie kładła się na boku. Wkrótce poczuła, że sztywnieje jej kark, ale nie chciała się poruszać, by nie zerwać tego wąskiego kontaktu, jaki jeszcze miała z Antoniem.

Cienki strumień światła ulicznej latarni wpadał do pokoju. Kiedy Vesla lekko odwróciła głowę, mogła zobaczyć profil chłopaka.

Gdybyś ty wiedział, jak bardzo ja cię kocham, to byś się odwrócił na pięcie i uciekł gdzie pieprz rośnie. Uważam, że nikt nie jest w stanie przyjąć aż tyle miłości.

Powiedziałam, że nie mogłabym żyć bez ciebie. I to jest prawda. Zareagowałeś na moje słowa bardzo ładnie. Wydaje mi się, że byłeś też troszkę ze mnie dumny, że tak dzielnie

się zachowałam, kiedy te dwa ponure dranie wrzuciły mnie do kanału. Tak, potrafię działać racjonalnie i jestem silniejsza, niż sądziłam.

Potrafię działać racjonalnie...

Myśli zaczęły niespokojnie krążyć w głowie Vesli. Znowu znajdowała się w kanale. Leżała w bardzo niewygodnej pozycji, żeby jej głowa nie wpadła do wody, która pod nią płynęła, Vesla zaczęła marznąć.

Drżała na całym ciele. O Boże, a gdyby jej nie znaleźli? Gdyby nadal tam leżała? Nie wytrzymałaby tak długo, twarz zniknęłaby pod wodą, Vesla by...

Rany boskie, co się z nią dzieje?

Gwałtownie wciągała powietrze, rzęziła, jakby się zaniosa histerycznym płaczem. Śmiertelnie przerażona i zrozpaczona chwyciła krótki rękaw Antonia.

- Topię się! - wycharczała. - Czuję się, jakbym się topiła, brakuje mi powietrza, pomóż mi!

Błyskawicznie podniósł ją z posłania, przytulił do siebie i mocno trzymał. Vesla była mu wdzięczna, że nie powiedział: „A nie mówiłem?”, natomiast koncentrował się na tym, by czuła się bezpieczna.

Nigdy by nie przypuszczała, że reakcja może być taka gwałtowna. Antonio mówił o traumie, która wymaga terapii. Możliwe, więc teraz on się zajmował terapią, a ona z całych sił starała się odzyskać panowanie nad sobą.

- Nie stawiaj oporu - szeptał tuż przy jej policzku. - Musisz przez *to* przejść, im szybciej, tym lepiej.

I Vesla poddawała się. Pozwalała mu, by ją pocieszał, by obejmował ją mocno i szeptał jej ciepłe słowa.

Trzeba było sporo czasu, by Vesla w ramionach Antonia nareszcie się uspokoiła. Płacz i gwałtowne drżenie ciała w końcu ustały. Leżała teraz bez ruchu, śmiertelnie zmęczona.

Antonio, wsparty na łokciu, z jej głową na swoim ramieniu, spoglądał na nią czule. Światło padające z ulicy było mdłe, ale i tak widział, jaka piękna jest Vesla, mimo łez, spazmów i bolesnych grymasów, które tak długo wykrzywiały jej twarz. Nie spała, oczy miała otwarte, ale te oczy niczego nie widziały.

Zastanawiał się, o czym ona myśli. Prawdopodobnie o niczym. W każdym razie na pewno nie o tym, jak bardzo na Antonia działa ta głęboka, intymna bliskość. I przypominał sobie jej słowa na temat seksualnego chłodu i braku zmysłowych potrzeb. Być może to prawda, w każdym razie teraz Vesla nie reagowała w żaden sposób na jego obecność.

Ale czyż nie pragnął właśnie tego? Żadnych komplikacji, żadnego wplątywania się w miłosne historie, narzucające mu coraz większe wymagania i stawiające go przed nieuniknionym wyborem: decydować się na dziecko czy nie. Już się przecież wyrzekł potomstwa, akurat teraz jednak, choć nie umiałby powiedzieć dlaczego, wydawało mu się to nieważne i pozbawione sensu. Dlaczego nie miałby i on założyć rodziny? Dlaczego nie miałby mieć domu, nie mógł, jak inni, wracać do żony i dzieci? Przecież nie popełnił żadnego przestępstwa, jest zwyczajnym, uczciwym człowiekiem.

Nachodziły go rozmaite myśli, przeważnie bezsensowne.

Nie mógł zrozumieć Vesli. Tamten wczesny poranek przy szałasie, w głębi lasu... Mógłby przysiąc, że wtedy go pragnęła. Cała jej istota na to wskazywała. A teraz wyznaje, że nie ma żadnych potrzeb seksualnych. Że wszystkie tego rodzaju uczucia zostały zniszczone, kiedy była nastolatką. Przeczy sama sobie, czy też tamtego ranka powodowała nią tylko chęć zdobycia go?

Vesla powiedziała coś ochryplym, niewyraźnym głosem.

- Przepraszam, nie chciałam tak całkiem się załamywać.

- Ale to zdrowa reakcja. Czujesz się już lepiej?

- Bardzo dobrze!

Ramię zaczęło mu drętwieć, położył się więc na plecach. Ona ufnie przysunęła się do niego, położyła mu rękę na piersiach.

- Jak dobrze do siebie pasujemy - rzekła z uśmiechem. - Żadne z nas nie pragnie stałego związku. Interesuje nas tylko szczerą przyjaźń.

Antonio nie odważył się nawet dać do zrozumienia, jak bardzo jej ciało na niego działa. Powiedział tylko cichutko:

- Vesla, mała przyjaciółko...

- Dziękuję ci za tę małą - uśmiechnęła się. - Zawsze marzyłam, żeby ktoś tak do mnie mówił.

- Bo ja cię tak właśnie widzę - odpowiedział również z uśmiechem. - Vesla, twoje uczucia nie umarły. One są, choć głęboko ukryte. Tylko że nie powinnaś się z tym zmagać samotnie. To oczywiste, że jest w tobie wiele życia, nie wolno ci myśleć inaczej! Wyrozumiały i cierpliwy mężczyzna potrafiłby cię otworzyć.

- Nie, nie, przestań! - przerwała mu. - Już przez to przechodziłam. Ten kolega z pracy, o którym ci wspominałam, bardzo chciał uwolnić mnie od obojętności. I bardzo się starał, był niewiarygodnie skuteczny i znał wiele uwodzicielskich sztuczek, dawał mi mnóstwo czasu,

poznał wszystkie moje punkty erogenne, pieścił mnie™ Uff, przepraszam, nie powinnam była tego mówić.

- Owszem, nie przerywaj!

- Nie, to na nic! I tak nic nie czułam. Absolutnie nic!

- Kochałaś go?

- Ech - Vesla wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Lubiłam, ale czy kochałam? Nie, nie sądzę. Zresztą skończyłam z nim szybko i nie mogę powiedzieć, żeby mi go bardzo brakowało.

Antonio wsparł się na łokciu.

- Vesla, muszę cię spytać o coś ważnego. Było parę takich okazji, kiedy pomyślałem sobie, że chyba nie jestem ci taki całkiem obojętny, że być może trochę się mną interesujesz.

- No jasne, że się interesuję! Nawet bardzo!

Skinął głową.

- I wiesz, że z wzajemnością. Muszę ci też powiedzieć, że zdawało mi się... no, że to twoje zainteresowanie ma trochę erotyczne zabarwienie. Trudno mi to mówić, ale tak jest.

- Bardzo się cieszę, że jest właśnie ciemno - westchnęła Vesla. - Bo się zaczerwieniłam.

- No, i jak to wszystko razem powiązać? Przecież ty przecyzysz sama sobie!

- Wcale nie - odparła gorączkowo. - Kobieta może kochać mężczyznę, nawet go pożądać, pragnąć jego bliskości, chcieć z nim spać, ale nie to jest najważniejsze. Bo ona sama nic z tego nie ma.

- Ty mówisz o zwyczajnym braku orgazmu?

- Czy musisz być taki dosłowny? Tak, o tym właśnie mówię.

- Czy nie mogłaś powiedzieć tego od razu? Ja przecież nie miałem o tym pojęcia.

- Wybacz, ale są takie wyrażenia, przed którymi się wzdragam. Ale tak, to jest właśnie prawda. Tamten przeklęty starzec odebrał mi zdolność odczuwania tego. Mógł mnie równie dobrze obrzezać, jak to czynią z dziewczynkami w Afryce.

- Nie, nie, to wielka różnica. Ty masz możliwość ułożenia sobie wspaniałego życia seksualnego, a kobiety afrykańskie nie.

- Antonio, istnieją kobiety, które przez całe swoje życie niczego nie czują!

- No, a sama nie mogłabyś sobie pomóc?

- To na nic.

- Czy miewasz czasami erotyczne sny?

- Miewałam w wieku dwunastu lat. Potem się skończyło.

- Jesteś pewna?

Vesla zastanawiała się.

- Myślę, że tak - powiedziała. - Nie potrafię sobie przypomnieć. Ale... Czy mogę być szczerą?

- Czyż właśnie nie rozmawiamy szczerze?

- Oczywiście. No więc śniłam o tobie. Ubiegłej nocy. Byliśmy w jakimś domu, którego nie znałam... Antonio, jak to się dzieje, że człowiekowi śnią się miejsca, których nigdy nie widział? Co się wtedy dzieje w naszym mózgu?

- Nie zmieniaj tematu! Wracaj do swoich snów, i to zaraz!

- Dobrze. Ty byłeś wobec mnie bardzo czuły, ktoś nas ścigał i ty ukryłeś nas w szafasie. Już, już miało się coś wydarzyć, ale ja wyrwałam się i uciekłam. Nie pamiętam, jak to się skończyło.

Antonio przyglądał jej się w mroku.

- Odczuwałaś pożądanie?

- Nie, bałam się tych, którzy nas ścigali. To dlatego uciekłam. Nie, nie zdążyłam niczego poczuć.

- Myślisz, że poczułabyś, gdybyś została?

- Nie, no to są hipotezy i spekulacje, które do niczego nie prowadzą.

Antonio milczał długo. Potem głęboko wciągnął powietrze i zaczął mówić:

- Teraz będę całkiem szczerą. Możesz się na mnie złościć, trudno. Chcę ci jednak powiedzieć, że mam na ciebie wielką ochotę i miałem ją od początku, jak tylko położyliśmy się do łóżka. Przysiągłem sobie, że zachowam powściągliwość, ale nic na to nie poradzę.

- Drogi, kochany Antonio, naprawdę możesz ze mną zrobić, co zechcesz. Pragnę cię uszczęśliwić, jeśli tylko potrafię...

- Ale gdybyś ty miała pozostać obojętna, to nie będzie to samo. Co zwykle robiłaś, kiedy byłaś z jednym z tych... typów? Wybacz mi określenie, ale mimo wszystko jestem o nich trochę zazdrosny.

- Jeśli tylko trochę, to zdrowy objaw.

- Powiedziałem wprawdzie, że nie chcę się grzebać w twojej przeszłości, ale...

- Rozumiem, że to jest niezbędny proces - przerwała mu pospiesznie. - Pytasz, co robiłam? Uff... Eeech... tak trudno o tym mówić. No, czasami grałam. Oszukiwałam. Udawałam, że przeżywam... no wiesz.

- Czy aż tak trudno jest wymówić słowo orgazm?

- Tak. Jak powiedziałam, nie lubię brzydkich słów. Chociaż... czy to akurat takie brzydkie, nie wiem, ale... No cóż, przecież nie mogłam po prostu leżeć jak śnięta ryba. Przynajmniej nie za każdym razem, biedny chłopaczyna mógł się nabawić kompleksów. No więc trochę odgrywałam. Nie wiem, czy oni wierzyli. Chyba tak, bo sprawiali wrażenie zadowolonych.

- Vesla - powiedział Antonio po chwili. - Gdybyśmy się znaleźli w sytuacji, z której nie będzie już odwrotu... Obiecuj mi, że nigdy, ale to absolutnie nigdy nie będziesz niczego udawać! Muszę ci wierzyć!

Vesla zwlekała z odpowiedzią.

- Nie wiem, jak by to było z tobą i ze mną. Bo musisz wiedzieć, że istnieje wielka różnica między tobą a tamtymi.

Antonio wstrzymał oddech.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ponieważ ja jestem... ja jestem... jak mam wyrazić tę myśl? No, tak, jestem na najlepszej drodze, by się w tobie śmiertelnie zakochać! To właściwe określenie. I chyba zacznę pojmować znaczenie słowa „kochać”.

Antonia przepełniła wielka radość.

- Dokładnie to samo dzieje się ze mną. To, co nie miało prawa mi się przytrafić. Dziękuję ci, Vesla. I gdybyś się zgodziła mnie przyjąć, to zaraz do ciebie przyjdę. Mam wrażenie, że minęły wieki od chwili, kiedy po raz ostatni byłem z dziewczyną. I nigdy żadna nie znaczyła dla mnie tyle, ile ty zaczynasz znaczyć. Dostrzegam w mroku jej ciepły, zachęcający uśmiech.

- Można zagadać największe uniesienie - śmiał się Antonio. - Ale to dobrze, że daliśmy sobie czas. Trzeba wiedzieć o sobie więcej, zgadzasz się ze mną?

- Zgadzam się. I cieszę się z tej rozmowy. Oboje wiele sobie wyjaśniliśmy. Teraz czuję się przy tobie bezpieczna. I nie będę niczego odgrywać.

- A ja nie chcę udawać, że wiem wszystko o sztuce kochania. Nie będzie żadnego rutynowego przeglądu miejsc erogennych ani niczego takiego.

- Dziękuję. Ja też tak wolę.

I na tym się rozmowa skończyła.

Vesla trochę się denerwowała. Wiedziała jednak, że on nie chce, żeby była spięta, starała się więc rozluźnić, a w konsekwencji coraz mniej panowała nad swoim ciałem i duszą.

Pomóż mi, Panie Boże, modliła się. Spraw, bym mogła dać mu szczęście i przywrócić mi moją utraconą zmysłową radość.

Zachowała jedynie blade wspomnienie o czymś osobliwie słodkim i rozkosznym, co przeżywała parę razy w snach wówczas, kiedy jej ciało zaczęło się przekształcać, i z dziecka przemieniała się w nastolatkę. Bardzo pragnęła znowu to odczuć, ale sprawa wydawała się całkiem beznadziejna.

Antonio delikatnie, nieskończenie ostrożnie zsunął z niej nocną koszulkę. Vesla znowu zaczęła drzeć, choć przecież otaczało ich ciepłe powietrze hiszpańskiej nocy. Ale jego ręce, dotykające leciutko jej skóry, wytrącały ją z równowagi. Czuła się jak nowicjuszka na pierwszym spotkaniu z kochankiem. Była uczennicą, która wychodzi naprzeciw nauczycielowi.

Nie wolno też zapominać, że Vesla została poobijana i posiniaczona, to był jeszcze jeden problem w i tak już delikatnej sytuacji. W jej przypadku nie mogło być mowy o żadnej burzy zmysłów czy innych szaleństwach. Tu należało działać bardzo ostrożnie.

Dla Vesli równie trudną kwestią było rozstrzygnięcie, czy to ona powinna pamiętać o prewencji. Wierzyła jednak, że skoro Antonio się tak śmiertelnie boi spłodzenia potomstwa, to już ona nie musi wspominać o prezerwatywach. Zaczęłyby się pewnie zastanawiać, dlaczego to Vesla wybiera się za granicę z czymś takim w torebce. Tak wielkimi przyjaciółmi jeszcze nie byli, by mogła mu to wyjaśnić. Poza tym wiedziała, że Antonio wyznaje raczej dość staroświeckie zasady.

Czuła się nietego. Dlaczego jest taka tchórzliwa? Przede wszystkim jednak chciała zrobić na nim jak najlepsze wrażenie.

Ostatecznie więc w jego ręce złożyła całą odpowiedzialność. Jemu by na pewno nigdy nawet do głowy nie przyszło, żeby lekkomyślnie sprowadzać na świat dziecko, już w chwili poczęcia skazane na przedwczesną śmierć. Tego była pewna.

Rozstrzygnąwszy tę kwestię, poczuła się znacznie lepiej.

Antonio zdjął koszulkę i szorty. Vesłę nagle znowu przeniknął strach. Nie była w stanie opanować drżenia. Zdała sobie sprawę, że to dla niej coś całkiem innego, bo Antonio znaczy dla niej tak wiele.

Ujął jej twarz w dłonie, w te dłonie, które tak kochała - silne, szczupłe i czułe. On będzie kiedyś wspaniałym lekarzem, przemknęło jej przez głowę.

Boże, co się ze mną dzieje, myślała lekko zirytowana. Przecież bywałam już z mężczyznami. Tylko że tamci pod żadnym względem nie mogli się równać z Antoniem.

Antonio widział, że Vesla dygocze. Delikatnie ucałował jej czoło. Zesztywniała. Nic z tego nie będzie, myślała zrozpaczona. Może powinnam była jeszcze zaczekać?

Nie, on jest już taki podniecony, że z trudem nad sobą panuje. Vesla była dla niego niczym piękny, kruchy motyl. Stworzenie, które potrzebowało jego największej czułości i uwagi. Ledwo był w stanie jej dotykać w obawie, że ją przestraszy, albo że urazi któreś obolałe miejsce.

I nagle poczuł jej ręce na swoich barkach. Obejmowała go bardzo ostrożnie, leciutko dotykała skóry, ale to dało mu odwagę, by zacząć ją całować. Najpierw delikatnie muskał jej wargi, a kiedy mu równie delikatnie odpowiedziała, wpił się w jej usta tak mocno, że już nie mogła mieć najmniejszych wątpliwości, iż nie jest to żaden koleżeński pocałunek.

Antonio czuł, że kręci mu się w głowie. Żeby tylko wszystko nie rozegrało się zbyt szybko, myślał gorączkowo. I nie powinienem się też zachowywać tak, jak ten idiota, który postanowił ją „zbawić”, skupić się na technice, działać mechanicznie czy według jakichś książkowych wskazówek. Muszę być sobą, ale boję się, że wtedy zanadto się pospieszę...

Jeśli ja to teraz zniszczę, to...

Ale czy cokolwiek może być jeszcze bardziej zniszczone?

Przeklęty starzec, który tak okrutnie zrujnował jej życie!

I Antonio zapomniał o bożym świecie, porzucił wszelkie zastrzeżenia, wszelkie obawy, prawie nie pamiętał o jej urazach. Całował szyję i ramiona Vesli półprzytomny z pożądania. Opamiętał się, gdy ona głośno jęknęła.



Ach, te siniaki! Miała je na całym ciele, gdziekolwiek dotknął, mógł ją urazić.

- To chyba nie jest najbardziej odpowiedni dzień - szeptął spłoszony. - Może powinniśmy poczekać?

- Nie - odparła Vesla tak zdecydowanie, że aż się zdziwił. - Nie przejmuj się moimi siniakami. Zniosę to. Tylko ty jesteś dla mnie ważny.

Tak oto Vesla porzuciła obronną postawę i czekała na niego z uległością.

- Tak strasznie chcę cię mieć - mówiła żałośnie. - Niczego na świecie tak nie pragnę!

Przygarnął ją do siebie. Vesla nie zdawała sobie sprawy z tego, jak kurczowo zaciska ręce na jego plecach.

Boże, spraw, żebym coś czuła, błagała w duchu. Daj mi tę jedną jedyną chwilę, a już nigdy więcej o nic nie będę prosić. Spraw, bym przeżyła to, co się określa owym słowem, wiesz, którego ja nie mogę wymówić. Pragnę tego, pragnę tego, ze względu na Antonia, bo myślę, że bardzo by go to uszczęśliwiło. A symulować nie chcę, to ma być uczciwa gra. Boże, ten jeden raz o coś cię proszę, dotychczas nigdy specjalnie ci się nie naprzykrzałam, ale teraz masz szansę dowiedzieć, że istniejesz.

Nie, tak nie można! Nie wolno się targować z siłami niebieskimi, to jest jej chwila, jej i Antonia, i niech się nikt do tego nie miesza.

Antonio w jej ramionach? Czy to może być prawda?

Tak, to jest Antonio, jej piękny sen, wykształcony, sympatyczny i urodziwy młody mężczyzna, ukochany przyjaciel, wszystko, o co mogłaby prosić los.

Po raz pierwszy w życiu Vesla przeczuwała, czym może być miłość.

To nie tylko sytuacje intymne, myślała w oszołomieniu, gdy on „rozgrzewał” ją pocałunkami i pieszczotami. Znamy się tak krótko, że można by pomyśleć, iż to właśnie seks, ale nic bardziej mylnego.

Jak długo ja go znam, zaczęła się zastanawiać, kiedy on zbliżał się do centrum, w którym skupiała się cała jego tęsknota. Parę krótkich miesięcy? Ale na początku myślałam, że jest chłopakiem Unni, było mi z tego powodu przykro, zazdrościłam jej. A w ostatnich dniach sprawy potoczyły się gwałtownie... Oj, on... nie, jeszcze nie jestem gotowa! Zaczekaj!

On jednak czekać nie mógł. Vesla przymknęła oczy i przyjęła go.

Antonio jest we mnie i to go uszczęśliwia, wypełnia mnie całą i ja jestem szczęśliwa w jego imieniu, teraz posiadam cały świat, należę do niego, a on należy do mnie, należymy do siebie nawzajem, nasza miłość jest wolna i dlatego silniejsza niż wszystko inne.

Antonio jest taki czuły, z takim szacunkiem się do mnie odnosi, nie może mnie już bardziej uszczęśliwić, to jest szczyt wszystkiego. Czuję jego ruchy, staram się za nim

podążać, ale nie wolno mi niczego udawać, czuj, Vesla, czuj, to jest cudowne, niebo niech się schowa w porównaniu z tym, nic się z tym nie może równać!

Mój ukochany Antonio!

Vesla mocno trzymała jego głowę, nie pozwalała mu oderwać ust od swoich warg, chciała, by ją nadal całował, a on był niczym wulkan tuż przed wybuchem, przestał myśleć o czymkolwiek innym, ogarniał świadomością tylko to, co działo się z nimi. I wtedy przyszło spełnienie.

Antonio opadł bez sil. Vesla czuła jego gorący oddech na szyi, nigdy wobec nikogo nie odczuwała takiej bliskości.

Leżała jednak bez ruchu, była w niej pustka i żal.

Nie potrafiła go uszczęśliwić, choć tak strasznie tego pragnęła. Nie umiała towarzyszyć mu do szczytu ekstazy.

Cieszyła się z tej wielkiej miłości, z tego, że on przeżył dobre chwile...

Ale poza tym nic.

Po prostu nic.

- Tak mi przykro - jęknął Antonio, leżąc z rękami na twarzy.

- Nie! - zaprotestowała Vesla głucho. - Było mi dobrze! Cudownie!

- Ale czegoś zabrakło.

Jej milczenie było potwierdzeniem.

- Byłem taki podniecony, Vesla. Jak nigdy przedtem. Ciało nie chciało się podporządkować woli, wszystko stało się tak prędko. Powiniennem był na ciebie czekać.

- W takim razie czekałbyś długo - powiedziała cicho.

- To nie musiało tak być. Myślałem, że moja miłość jest wystarczająco mocna, by cię obudzić.

- Moja miłość jest co najmniej tak samo wielka, ale i to nie pomogło.

Milczeli przez chwilę. Oboje zasmuceni. Żadne nie stanęło na wysokości zadania. Każde chciało siebie obarczyć winą za to, że im się nie udało. A przecież tak naprawdę całą odpowiedzialność za to spadała na dwoje zupełnie innych ludzi: na dotkniętego demencją dziadka, a przede wszystkim na matkę Vesli.

- Uważam, że mimo wszystko to i tak był bardzo dobry start. To znaczy, jeśli nadal będziesz chciał ze mną zostać.

Antonio pragnął ją objąć, żeby zaświadczyć, jaką wielką wspólnotę z nią odczuwa, ale trafił w guz na jej czole.

Vesla nie była w stanie powstrzymać krzyku:

- Au!

Antonio się przestraszył i zaraz potem oboje wybuchnęli śmiechem.

Przytulił ją mocno.

- Vesla, kocham cię - powiedział czule.

Ona pieściła końcem języka jego spocone piersi. Czują smak soli.

- I ja ciebie kocham. Tak bardzo, aż mi to sprawia ból.

- Czy nie dość ci obolałego ciała?

Znowu wybuchnęli śmiechem.

Po piętnastu minutach spali oboje głęboko.

Leon i Emma przyjechali do Hiszpanii. Sami, bo na co by im tu byli potrzebni ich norwescy pomocnicy?

- Pozwoliliście jej odejść? - ryczał teraz Leon do dwóch Hiszpanów, którzy uprowadzili Vesłę. - Ona była przecież naszym najlepszym na świecie środkiem nacisku!

- Ona... tam pewnie jeszcze jest - wyjąkał starszy. - Tamtędy nikt nie chodzi.

- I chyba już nie żyje - uzupełnił młodszy. - Wpadła do wody.

- Nie żyje? - ryknął Leon jeszcze głośniejszym głosem. - Nie żyje?

- Tak. Ale ona nic nie wiedziała - przekonywali obaj pospiesznie. - Nie było sensu jej trzymać.

Leon zrobił się czerwony.

- Żywa czy umarła była wspaniałą zakładniczką, wy osły głupie! Środkiem nacisku! Ruszać mi zaraz i sprowadzić ją do mnie. Tutaj!

Obaj napastnicy byli zbici z tropu.

- No, ale tego właśnie nie możemy - jękali się. - Ona jest za wielka i za ciężka. A poza tym, jak ją przeniesiemy przez bramę, żeby strażnicy nie widzieli?

Leon jęknął wściekły.

- Czy ja wszystko muszę robić sam? Zatelefonował do swojego kompana i przyjaciela, szczerze mówiąc także konkurenta, ale o tym nie wspominał, który również przybył do Granady.

- Alonzo! Znajdź no jakiś odpowiedni samochód dostawczy, którym można by niepostrzeżenie dostać się do Alhambry! Musimy przeszmygłować stamtąd cennego zakładnika.

Ustalili czas i miejsce spotkania.

Bez kłopotów weszli na teren Alhambry. Młodszy z mężczyzn, którzy napadli na Vesłę, pokazał im boczną drogę do kanału. Kiedy jednak stanęli w miejscu, gdzie powinna była znajdować się Vesła, żadnej zakładniczki tam nie było.

Rozegrała się wielka kłótnia, padło mnóstwo strasznych oskarżeń i pogroźek. Co się teraz może stać? Jeśli ofiara przeżyła i opowiedziała władzom, co ją spotkało, Leon i jego ludzie mogą się znaleźć w kłopotach. A nie mogli przecież pytać strażników, czy nie znaleziono tu martwej dziewczyny, to by się dla nich mogło skończyć tak samo źle.

- Wyłapać mi ich wszystkich w hotelu - wrzeszczał Leon wciąż purpurowo czerwony z gniewu. - Wyśpiwają, gdzie się znajduje Elio, żeby im miał zachłostać na śmierć.

Nasz dobry Leon był trochę niekonsekwentny, ale przecież w chwilach takiej frustracji mało kto zachowałby przytomność umysłu.

Właściciel hotelu bezradnie rozkładał ręce. Nie, niestety, czwórka gości z Norwegii uregulowała już rachunek. Co się z nimi stało? O ile dobrze zrozumiał, wrócili do domu, do Norwegii.

Tym sposobem Leon i Alonzo (który ku oburzeniu Leona zalecał się do Emmy) oraz ich współpracownicy znaleźli się znowu w punkcie wyjścia.

- A przycisnęliście rodzinę Elia, jak trzeba? - spytał Leon, kiedy już byli na ulicy.

- Możemy przecież spróbować jeszcze raz - odparł Alonzo. - Ale wygląda na to, że te baby nic nie wiedzą.

- A może jakieś tortury?

Alonzo zastanawiał się.

- W ich domu tego zrobić nie można. Zbyt wielu sąsiadów.

- Żadnych dzieci, które można by wykorzystać jako środek nacisku?

- Nie. Był jeden chłopiec, ale ostatnio zniknął i nie wiemy, gdzie jest.

Zastanawiali się wszyscy przez jakiś czas.

- Coś wymyślimy - burknął w końcu Leon. - Teraz muszę się napić piwa. A potem być może zwrócę się o pomoc do naszych ogolonych przyjaciół.

Alonzo drgnął. On by mnichów przyjaciółmi raczej nie nazywał. Tego rodzaju makabryczne istoty nie miewają przyjaciół, one wykorzystują żywych ludzi do własnych celów.

Jedenastu mnichów nieznosiło przenoszenia się na tak wielką odległość. Skoro jednak czworo znienawidzonych młodych ludzi oraz ich przekłeci rycerze wybrali się do Hiszpanii, to i mnisi zmuszeni byli tam pojechać.

„Ten piąty smarkacz znowu się pokazał - powiedział jeden z mnichów. - On jest niegroźny. Młody. Głupi. Nie może też spłodzić dziecka. Tamci są gorsi. Natrafili na trop. Trzeba ich powstrzymać”.

„W porządku. Przynajmniej jedziemy do swojego kraju”.

„Jakie spustoszenia. Jaka demoralizacja! Żadnego respektu dla świętości. Nawet tortury nie są już dozwolone!”

„Wszyscy współcześni ludzie to słabeusze! Musimy trochę przyspieszyć rozwój. Straszyc piekielnymi mękami, jeśli oni się już Boga nie boją”.

„Tak jest. Trzeba ich trochę poprzypiekać, żeby się nawrócili! Musimy ich zbawić!”

Pięciu dumnych rycerzy obserwowało rozwój wydarzeń z troską.

„Czy myślicie, że pięcioro naszych młodych przyjaciół sobie poradzi? Tamci mają wielką przewagę. Żywi wrogowie gromadzą się w Granadzie” - rzekł don Ramiro de Navarra.

„Obawiam się, że również nasi umarli wrogowie się tam pokażą - wtrącił don Federico. - Oni zawsze potrafią wywęszyć, gdzie się znajdujemy”.

„Musimy obserwować, co się dzieje! Młodzi są teraz tak blisko celu. Żebyśmy tylko mogli im pomóc!”

„Gdyby ta moja młoda kuzyneczka mogła jeszcze raz zasnąć ze skórzaną mapą pod głową - westchnął Sebastian de Vasconia. - Wtedy zrobiliby ważny krok na drodze do odkrycia prawdy”.

„Obiecali, że spróbują ją przekonać - skinął głową Federico de Galicia. - Żeby tylko ten potwór Leon nas nie uprzedził swoimi starymi sztuczkami!”

„Musimy obserwować, co się dzieje!” - powtórzył don Ramiro.

Dreńczył ich nieznośny lęk. Chodziło bowiem nie tylko o bezpieczeństwo ich młodych przyjaciół. Teraz miała się rozstrzygnąć ich przyszłość. I wiele innych spraw.

**CZEŚĆ TRZECIA**  
**POŚCIG ZA ELIEM**

Pedro przyleciał porannym samolotem i spotkał wyspanych Unni i Jordiego oraz nie całkiem tak dobrze wyspanych Vesłę i Antonia. Wkrótce jednak i oni ożyli.

Vesła nie miała żadnych objawów wstrząśnienia mózgu, włączyła się więc w walkę o wyrwanie małego Pepe z rąk ojca, króla gangsterów. Czowała się teraz silna z miłością Antonia jako bezpieczną kotwicą.

Niebawem mieli się przekonać, że Pedro jest naprawdę wpływową figurą. Sam komisarz policji zjawił się osobiście i z uprzejmymi ukłonami stawiał się do dyspozycji. Ponieważ jednak Hiszpan nigdy nie zachowuje się serwilistycznie, komisarz czynił to z klasą. Ku swemu wielkiemu zaskoczeniu czworo przyjaciół dowiedziało się, że Pedro pochodzi z wysokiego arystokratycznego rodu. Zresztą mogli się tego spodziewać, jego pełne nazwisko brzmiało bowiem don Pedro de Verin y Galicia y Aragón.

Teraz otrzymali wyjaśnienia.

Verin to prastara twierdza w Galicji, Aragón zaś to stare królestwo dalej na wschód, teraz prowincja Hiszpanii. Ród Pedra dorobił się swego miana w wyniku zawieranych w przeszłości małżeństw. Wszystko to brzmiało niebywale wytwornie i przybyszom z Norwegii naprawdę zaimponowało.

Niewielka grupa zaproszonych gości zebrała się w małej salce konferencyjnej położonego na uboczu hotelu. Personel był nieliczny i chodził dosłownie na palcach, by nie przeszkadzać prominentnym gościom.

Pierwsze zadanie należało do Jordiego. Miał po temu najlepsze warunki.

Komisarz policji pochylił się do Pedra i zapytał dyskretnie:

- Proszę mi powiedzieć, kim jest ten człowiek? Jego oczy... kiedy się w nie patrzy to tak, jakby zanurzyć się w morskiej otchłani, na której dnie znajdują się tysiące grobów.

Pocziwy *comisario de policia* miał poetyckie usposobienie.

Pedro nie mógł mu nic powiedzieć. Wiedział, oczywiście, kim jest Jordi, ale wyjaśnienia na nic by się tu nie zdały. Wywołałyby jedynie nowe pytania.

Mercedes, matka małego Pepe, uczestniczyła również w tej bojowej naradzie i przekazała Jordiemu niezbędne informacje na temat rezydencji swego męża i panujących tam zwyczajów. Tak, ta ogromna, leżąca na granicy miasta posiadłość naprawdę zasługiwała na miano rezydencji.

- Masz tam jakichś godnych zaufania przyjaciół? - spytał Jordi.



Mercedes musiała się zastanowić. Była olśniewająco piękna, nic dziwnego, że José chciał ją zachować jako swoją własność, którą mógłby się chwalić.

- Nie mam nikogo - wyznała w końcu. - Wszyscy są absolutnie uzależnieni od Joségo. On im bardzo dobrze płaci za lojalność i milczenie. Nie, nikomu bym nie zaufała.

Jordi skinął głową na znak, że rozumie.

On i Mercedes konferowali długo, w końcu jednak znaleźli rozwiązanie. Jeśli Mercedes w pełni na nim polega, wszystko powinno się udać.

Mercedes patrzyła w niezwykle oczy Jordiego, widziała w nich dobroć, więc bez wahania złożyła los swego synka w jego ręce.

Wyjaśniła, że malec sypia w południe. I wtedy właśnie jest najmniej strzeżony, zostaje z nim tylko jedna opiekunka. Siedzi ona w pokoju obok sypialni dziecka, często jednak wymyka się, by flirtować ze strażnikiem tego skrzydła. Tak, czterolatek jest nieduży i lekki.

Policjanci przynieśli dla Jordiego kombinezon z wydrukowaną na plecach nazwą pralni, obsługującej rezydencję, sprowadzili też samochód dostawczy tej samej firmy. Firma co prawda nic o tym nie wiedziała, policjanci mieli jednak nadzieję, że nie ma ona w rezydencji swoich ludzi. Potrzebne rzeczy po prostu ukradli.

Jeśli chodzi o Jordiego, to ani kombinezon, ani samochód nie były niezbędne, ale obecność chłopca komplikowała sytuację.

Wkrótce Jordi odjechał z hotelu samochodem pralni w towarzystwie ubranego po cywilnemu policjanta.

- Moim zdaniem on jest szalony - rzekł komisarz policji. - On naprawdę wyobraża sobie, że zdoła wejść niezauważony do tego gniazda żmij? Zostanie złapany jeszcze przed bramą, nie ma przecież żadnych papierów świadczących, że jest tym, za kogo się podaje. I samochód nie ma odpowiednich dokumentów.

- Samochód nie przejedzie przez bramę - wyjaśnił Pedro spokojnie. - Pozwólmy Jordiemu działać, on sobie poradzi.

Spostrzegli, że Mercedes składa ręce jak do modlitwy. Była blada i nie przestawała drżeć. Wszyscy współczuli jej z całego serca.

Samochód z pralni zatrzymał się w odpowiedniej odległości od bramy. Stał na terenie publicznym, nie zwracał niczyjej uwagi.

Policjant - szofer patrzył, jak Jordi przechodzi przez ulicę, a potem idzie kawałek chodnikiem w stronę znakomicie strzeżonej bramy Joségo. Tam stanął, jakby na kogoś czekał. Policjant nie posiadał się ze zdziwienia.

W chwilę potem na ulicy ukazało się kilku mężczyzn i wolno szło ku bramie. Minęli Jordiego i nagle ten zniknął policjantowi z oczu. Po prostu przepadł.

Mężczyźni podeszli do wejścia, pokazali karty identyfikacyjne i oni również zniknęli policjantowi z oczu. Koniec!

- Wielkie nieba, co to się dzieje? - szeptał sam do siebie i na wszelki wypadek dotknął krzyża przymocowanego do tablicy rozdzielczej samochodu.

Co się stało z tym sympatycznym, ale w najwyższym stopniu dziwnym Jordim Vargasem? Przecież obok bramy nie ma żadnych drzwi, żadnej niszy, w której mógłby zniknąć.

A po nim po prostu przepadł wszelki ślad.

To straszne!

No cóż, nie pozostawało nic więcej, jak tylko siedzieć i czekać.

Jordi wszedł razem z pracownikami na teren posiadłości i nikt go nie zauważył. Pospiesznie udał się do skrzydła domu, w którym więziono Pepe. Tak, malec tak to musiał odczuwać, choć przecież José był jego ojcem. Widywał go zresztą nadzwyczaj rzadko i zawsze ojciec traktował go bardzo surowo. Mercedes powiedziała Jordiemu, przez które boczne drzwi powinien wejść. Główne prowadziły do pomieszczeń strażników. Dała mu też klucz do bocznych drzwi, udało jej się go zabrać, kiedy uciekała z synem od męża tyrana.

O ile Jordi bez przeszkód przeszedł przez bramę, to teraz musiał bardzo uważać. Tutaj nie było ludzi, do których mógłby się przyłączyć. A kiedy zostawał sam, trudniej mu było stać się niewidzialnym. Specjalnością Jordiego bowiem było znikanie w grupie.

Teraz trzeba działać ostrożniej.

Jordi wiedział, że wokół całej posiadłości Joségo znajduje się w tej chwili mnóstwo policjantów. Są ukryci, ubrani jak zwyczajni ludzie, którzy znaleźli się tutaj najzupełniej przypadkowo. Wszyscy czekali tylko na sygnał od Pedra i komisarza.

To jednak Jordiemu w niczym nie pomagało, kiedy stał w kącie rozległego hallu i studiował plan tej części domu, naszkicowany przez Mercedes.

Właśnie Mercedes wpadła na pomysł, że najlepszych pretekstem będą firanki. Kilka razy w roku firanki odsyłano do pralni i wieszano nowe. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że nie były zmieniane na przykład przed tygodniem.

Drabina i kosz, których ludzie z pralni zwykle używali, znajdowały się w piwnicy. Gdzie jest wejście...?

Tam! Szkic był poprawny. Jordi słyszał głosy strażników w pokoju, który tak uważnie ominął. Od czasu do czasu docierał też do niego kokieteryjny szczebiot kobiecy, domyślił się więc, że piastunka zostawiła śpiącego chłopca, żeby sobie poflirtować.

Trzeba się spieszyć, los daje mu szansę. Za parę minut może być za późno.

Zresztą w każdej chwili ktoś może wejść do hallu.

Pospiesznie odszukał drabinę i kosz, po czym pobiegł schodami na górę, przez cały czas trzymając się instrukcji Mercedes.

Drzwi do pokoju, piastunki zastał otwarte. Nikt Jordiego nie widział. Najszybciej jak mógł zdjął firanki, musiał mocno szarpać, bo coś się zacięło, nie miał czasu do stracenia. Firanki były dość gęste, w każdym razie nieprzezroczyste, Jordi uznał, że te jedne wystarczą. Włożył je do kosza i wślizgnął się do sąsiedniego pokoju.

Na łóżku leżał drobniutki chłopczyk i spał. Czterolatek... Starsze dziecko mógłby obudzić i wytłumaczyć mu, co się dzieje, na przykład zaprosić do podniecającej ucieczki. Czterolatek jednak był na to za mały. Mógł się przestraszyć i zacząć krzyczeć. Albo za bardzo się przejąć czekającą go przygodą i zachowywać się zbyt głośno.

Jordi wiedział, że jego chłód w tej sytuacji się nie ujawni. Chłopiec nie stanowił najmniejszego zagrożenia dla jego koncentracji na zagadce rycerzy. Dlatego uniósł dłonie nad czołem Pepe i wyszeptał:

- Śpij, śpij, moje dziecko. Twoja mama na ciebie czeka. Widzisz ją? Tam stoi. A teraz wyciąga do ciebie rękę...

Na małej buzi pojawił się uśmiech, ale dziecko się nie obudziło. Przeciwnie, zdawało się spać jeszcze głębiej, niemal jak w letargu.

Jordi szeptał dalej:

- Teraz mama zabierze cię na przejażdżkę w kołyszącym się pojeździe. Pojedziecie razem daleko stąd. O, tak... teraz mama bierze cię na rękę. Śpij, śpij, śpij...

Cichy głos podnosił się i opadał jak fale. Pepe nie zareagował, gdy Jordi układał go w koszyku, niemal wystarczająco dużym. Tylko jedno kolanko dziecka sterczało w górę i Jordi musiał starannie udrapować firanki, by je ukryć.

Nagle zamarł. Na zewnątrz dały się słyszeć głosy. Ktoś wchodził po schodach.

Nie miał czasu na ukrycie się. Jeśli to piastunka dziecka, to wejdzie do jego pokoju i narobi krzyku, stwierdziwszy, że chłopiec zniknął. Jordi pospiesznie ułożył kołdrę na łóżku tak, jakby Pepe wciąż tam leżał. Natychmiast wbiegł znowu do pokoju dziewczyny. Kosz trzymał pod pachą z taką nonszalancją i swobodą, jakby były w nim tylko firanki.

To była dziewczyna, znacznie starsza, niż oczekiwał, ale nie sprawiała dobrego wrażenia. Uśmiechnął się do niej, szarmancko przepuścił ją w drzwiach, ona w odpowiedzi zachichotała kokieteryjnie, widocznie nie przywykła do eleganckich manier.

Jordi szybko zbiegł po schodach.

Zawahał się jedynie na ułamek sekundy, kiedy zobaczył w hallu strażnika, stojącego tam samotnie i palącego papierosa. To pewnie ten, który odprowadzał dziewczynę.

Na górze nikt nie wołał, nie zauważono zniknięcia chłopca.

Strażnik odwrócił się do Jordiego, który ze względu na chłopca i na to, że brak było w pobliżu innych ludzi, nie mógł się posłużyć swoją zdolnością do znikania. Mógł jedynie po przyjacielsku pozdrowić stojącego i obojętnie iść dalej.

Strażnik jednak nie był z tego zadowolony.

- Hej, ty! - zawołał tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Czy nie mieliście przyjść w piątek?

Jordi zatrzymał się. Spij spokojnie, Pepe, nie ruszaj się!

- Mieliśmy, ale wezwano nas dzisiaj, bo te firanki trzeba było wymienić natychmiast. Ktoś przypadkiem je zabrudził.

Strażnik zrobił coś, co wielu ludzi automatycznie robi w takiej sytuacji: Chciał osobiście sprawdzić, jak się rzeczy mają. Pociągnął firankę i jego oczom ukazało się kolano Pepe.

Wszystko dokonało się bardzo szybko, dla Jordiego jednak sceny następowały po sobie jak na zwolnionym filmie. Oczy strażnika zrobiły się czarne ze złości, otworzył usta, by wzywać pomocy, ręka sięgała po rewolwer... Jordi w ogóle nie zdążył nic pomyśleć, zamachnął się, wymierzył potężnego sierpowego i tamten padł nieprzytomny na ziemię.

Jordi musiał na chwilę odstawić kosz, złapał strażnika za nogi i przeciągnął go pod drzwi piwnicy. Zepchnął go z całej siły, po czym zamknął drzwi. Miał nadzieję, że nikt nie usłyszy tajemniczego łoskotu z dołu.

- Niech ci szczęście towarzyszy do samego końca schodów - mruknął, chwycił kosz i wyszedł bocznymi drzwiami.

Teraz czekała go największa trudność: musiał niezauważony przekroczyć bramę. Potrzebował do tego wszystkich paranormalnych zdolności, jakie otrzymał od rycerzy. Nie miał bowiem ani chwili do stracenia. Strażnik w piwnicy może się ocknąć w każdej chwili, piastunka może odkryć zniknięcie dziecka. Jordi nie mógł więc czekać, aż pojawi się na przykład większa grupa pracowników, opuszczających rezydencję. Samotnie, z żywym bagażem pod pachą, nie był w stanie stworzyć iluzji, że go nie ma. Strażnicy wedle

wszelkiego prawdopodobieństwa natychmiast by go zobaczyli. A przecież nie widzieli, by do posiadłości wchodził jakiś pracownik pralni.

Stał ukryty za rogiem domu i przeklinał pusty dziedziniec. Nikt akurat nie zamierzał stąd wychodzić. A czas uciekał.

- Don Ramiro, mój dobry przodku, i wszyscy wy, moi przyjaciele rycerze, poradźcie mi, co robić. Czas nagli - szeptał. - Jak się mam zachować? Mój mózg jest kompletnie pusty.

Słońce zalewało zarem dziedziniec i wypiełgnowane klomby na jego obrzeżach.

Jordi czekał jeszcze jakieś pół minuty, w jego głowie nie pojawiła się odpowiedź, jak do tego przywykł w kontaktach z rycerzami. Dostrzegł natomiast jakieś zamieszanie przy bramie. Strażnicy wybiegli ze swojej bućki i podnieceni rozprawiali o czymś, co się działo na głównym dziedzińcu.

Jordi odwrócił się w tamtą stronę. Zobaczył pięć wspaniałych czarnych koni wolno krocących z tak samo jak one czarnymi rycerzami w siodłach. Wysocy, wyprostowani, siedzieli, odporni na kule i w ogóle na wszelką broń.

Jordi zareagował szybciej niż kompletnie sparaliżowani strażnicy, którzy, rzecz jasna, nie byli w stanie pojąć, w jaki sposób rycerze znaleźli się w obrębie posiadłości. Gdyby wjechali tu z zewnątrz, z ulicy, strażnicy uznaliby, że to jacyś karnawałowi przebierańcy i zatrzymali ich. Poza tym nie wiedzieli, czy ich pracodawca, pan José, nie stoi za tą grosteskową maskaradą. Jordi dostrzegał ich niepewność: czy powinni zatrzymać orszak? Może powinni grozić, że zaczną strzelać? A może strzelać bez ostrzeżenia?

Jordi już się tymczasem znalazł pomiędzy końmi, i już wiedział, że „zniknął” w tłumie. Strażnicy nie mogli zobaczyć nawet jego stóp, bo z całych sił koncentrował się na tym, by być niewidzialnym. A chłopiec? Nie, on znajdował się na wysokości końskich ciał, potężne zwierzęta ukrywały go niezależnie od tego czy był widoczny, czy nie.

- Dziękuję - mruknął Jordi do don Sebastiana, który jechał najbliżej niego. - Pomogliście mi bardzo.

„Uratowanie chłopca służy naszemu celowi” - odparły myśli don Sebastiana de Vasconia lakonicznie.

W posiadłości wybuchło wielkie zamieszanie, ochroniarze biegali tam i z powrotem, ktoś krzyczał: „Strzelać!”

Jeden ze strażników złożył się do strzału. Wtedy stary don Federico de Galicia uniósł ostrzegawczo dłoń władczym gestem, zwracając dłoń ku niemu. Było to takie złowieszcze, a stary człowiek tak upiornie blady, że strażnik po prostu otworzył gębę i zmarł w bezruchu. Karabin wypadł mu z rąk.

Zamieszanie na placu przycichało, a pięciu rycerzy wolno opuszczało posiadłość. Otaczając niczym mur Jordiego z chłopcem, przekroczyli bramę.

Eskortowali go aż do miejsca, gdzie parkował samochód z pralni, a policjant gorączkowo szukał uspokajającego papierosa. Najpierw myślał, że to jakaś maskarada, ale rycerze wydali mu się dziwni. Widział ich, a jakby nie mógł im się dobrze przyjrzeć.

Kiedy zaś Jordi Vargas nieoczekiwanie otworzył tylne drzwi samochodu i wskoczył do środka, wciągając za sobą wielki kosz, to już naprawdę niczego nie mógł pojąć. Skąd się Jordi wziął i w ogóle co się tu dzieje?

Jeszcze gorzej się poczuł, kiedy ponownie się obejrzał, by popatrzeć na rycerzy, i stwierdził, że ulica jest pusta. Żadnych rycerzy, żadnych koni, nic!

- Jedź! - rozkazał Jordi. - Jedź najszybciej, jak możesz!

Z nerwowym szarpnięciem samochód ruszył w drogę.

Mały Pepe był bezpieczny. Teraz może się rozpocząć prawdziwe polowanie na Joségo. A kiedy go już schwytają, prawdopodobnie będzie się można dowiedzieć, gdzie przebywa Elio.

Jordi niósł śpiącego Pepe na rękach, głowa chłopca spoczywała na jego ramieniu. Tak zbliżyli się do małego hoteliku.

Mercedes wybuchnęła płaczem, natychmiast wyciągnęła ramiona po syna, Jordi jednak prosił ją, by jeszcze chwilę zaczekała. Dotknął dłonią buzi chłopca i wypowiedział kilka słów, których nikt nie zrozumiał. Malec budził się wolno i rozglądał wokół z ciekawością. Nagle dostrzegł matkę i krzyknął radośnie. Teraz Mercedes mogła go nareszcie odebrać.

Do domu jednak nie pozwolono jej wrócić. Ona i jej matka musiały zostać ukryte w bezpiecznym miejscu. Było oczywiste, że dom Elio jest obserwowany, toteż jego żonę wyprowadzono stamtąd po kryjomu, bocznymi uliczkami tak, jak przedtem wyprowadzono Mercedes.

„Operacja Pepe” dobiegła końca, na razie szczęśliwego, nikt jednak nie miał wątpliwości, że José tak łatwo się nie podda.

- No to teraz nasza kolej - powiedział Pedro.

Rozkazy zostały wydane, wokół wielkiej posiadłości Joségo zaczynała się zaciskać policyjna sieć.

Komisarz policji zlecił zarządzanie akcją swemu zastępcy. On sam wraz z Pedrem i Antoniem udali się do paszczy lwa, czyli na rozmowę z Josém.

Za wszelką cenę należało wydobyć z niego informacje na temat miejsca pobytu Elio. Starali się zachowywać spokój. Przed nimi znajdowała się brama do siedziby króla gangsterów. Trzej panowie popatrzyli po sobie i westchnęli cicho i głęboko.

Wielka mobilizacja policji dawała im poczucie bezpieczeństwa, ale teraz musieli wejść do środka bez żadnej ochrony.

Komisarz policji cieszył się, że wysoko postawiony don Pedro jest z nim. Pedro, człowiek słabego zdrowia, cieszył się natomiast z obecności lekarza Antonia, Antonio zaś był zadowolony z towarzystwa ich obu.

- No to co, panowie - rzekł komisarz. - Wchodzimy?

W małym hoteliku Jordi wyjaśnił Unni, że wielki wysiłek bardzo go zmęczył, przeprosił ją więc i poszedł do siebie, żeby odpocząć.

Wszystkie cztery kobiety zebrały się w pokoju Unni, największym i najbezpieczniejszym, w którym znajdowały się dwie kanapy. Dla wszelkiej pewności

zamknęły drzwi na klucz i zaciągnęły zasłony, choć przecież wiedziały, że przed hotelem stoi policjant, a drugi dyżuruje w recepcji.

Mały Pepe leżał na wielkim łóżku i spał, trzymając matkę za rękę. Radość ze spotkania z nią i skutki hipnotycznego oddziaływania Jordiego bardzo go zmęczyły.

Teraz, kiedy oszołomienie radością z odzyskania dziecka ustąpiło, Mercedes i jej matka pełne były złych przeczuć. Jak się to wszystko ułoży? José musi być wściekły i z pewnością postawi wszystko na jedną kartę, byleby tylko odzyskać syna. Nic im nie grozi, dopóki znajdują się pod opieką policji, ale jaka przyszłość czeka je i dziecko? Czy nigdy nie zazną spokoju? Czy jeszcze kiedyś będą mogli zamieszkać w rodzinnym domu Elia, w domu, w którym Mercedes przyszła na świat, w którym urodził się i Elio, i jego ojciec. Co cała trójka: Mercedes, jej matka i syn, ma ze sobą zrobić? Do końca życia uciekać przed pościgiem?

- Przyjmujcie to na razie ze spokojem - powiedziała Vesla. - Poczekajmy, zobaczymy, jak się skończy dzisiejsza akcja. Policja już na pewno schwytła José i wsadzą go na długie lata do więzienia za handel bronią.

- W końcu jednak kiedyś stamtąd wyjdzie - jęknęła señora Navarro.

Unni miała inne pocieszenie:

- A może go wydalą z kraju, odeślą do ojczyzny?

- On i tak wróci - prychnęła Mercedes. - Tutaj ma syna, a w jego kraju to najwyższy honor i prestiż. Przeszedł poważną operację i nie może mieć więcej dzieci, zrobi więc wszystko, by posiadać Pepe. Właśnie posiadać, takie uczucia José żywi do swojego dziecka.

Vesla zwróciła się do niej:

- Więc wolałabyś, żeby się to wszystko nie stało, żeby Pepe został u ojca?

- Nigdy w życiu! Tylko bardzo się boję.

- To najzupełniej zrozumiałe. Ale nasz przyjaciel, Pedro, z pewnością znajdzie jakieś wyjście.

Umilkły. Myślały o tych, którzy teraz znajdują się już w rezydencji. Vesla lękała się o Antonia. Tyle dla niej znaczył.

Unni przeprosiła i wymknęła się z pokoju. Chciała się upewnić, czy Jordiemu niczego nie brakuje. Czuł się zmęczony, a to do niego niepodobne.

Zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Odczekała chwilę i ujęła klamkę. Drzwi były otwarte.

Uznała, że to w jakimś sensie zaproszenie, i wślizgnęła się do środka.



Jordi spał głęboko. Teraz, kiedy patrzyła na jego twarz, uświadomiła sobie, jak bardzo musiał być utrudzony. Co prawda spędził kilka dni u Gudrun, ale nie był to przecież żaden porządny odpoczynek. Od pierwszego dnia przeżywał lęki i niepokoje, a kiedy się lepiej zastanowiła, to musiała stwierdzić, że przecież nie tak znowu wiele dni minęło od tamtej pory, kiedy się spotkali po raz pierwszy w Stryn, na zachodnim wybrzeżu Norwegii. Teraz są w Granadzie, a kłopotom i troskom jak nie było, tak nie ma końca. Współpracownicy Leona dosłownie depczą im po piętach. Najpierw trzeba zrobić porządek z handlarzami broni, zanim będą mogli zacząć szukać Elia, podjąć walkę z Leonem i jego bandą oraz zabrać się za rozwiązywanie problemu czarnych rycerzy...

Największa odpowiedzialność spoczywa na Jordim. Czy więc można się dziwić, że jest zmęczony?

Unni poczuła, że przepelnia ją czułość tak wielka, że bała się, iż serce jej pęknie. Ostrożnie usiadła na łóżku i ujęła spoczywającą na kołdrze rękę.

Natychmiast pojawił się chłód. Lodowaty ziąb przenikał do szpiku kości od palców Unni aż do ramienia.

Ale ona się tym nie przejmowała. Długo by tak siedzieć nie mogła, ale chociaż krótką chwilę. Może zdoła go chociaż trochę ogrzać własnym ciepłem? Nie, niestety, to niemożliwe.

Nagle odczuła lekkie drgnięcie jego dłoni, a na twarzy śpiącego pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

Czyżby nie spał? Nie, nie wygląda na to. On śni. Śni o czymś przyjemnym. Może o mnie, zastanawiała się Unni z nadzieją.

Wstała, puściła rękę Jordiego, a potem pochyliła się i pocałowała go w czoło pod ciemną grzywą. Antonio obciął zbyt długie włosy Jordiego i teraz kręciły się lekko. Jego zwracająca uwagę, o mało klasycznych rysach twarz wciąż była bardzo szczupła i tak udręczona, że aż to budziło lęk. Ale Unni widziała go w znacznie gorszym stanie. Tego dnia, kiedy spotkali go po raz pierwszy, wyglądał jak w ostatnim stadium śmiertelnej choroby. Teraz przynajmniej było w nim życie, choć znajdował się w głębokim i bardzo zasłużonym śnie.

Cicho opuściła pokój i poszła poszukać sobie jakiejś cieplejszej bluzki z długimi rękawami.

José był dumny z tego, co posiadał, z rezydencji, z pozycji i z syna. Zdobył w życiu wszystko. No, prawie wszystko. Rozglądał się teraz za nową, reprezentacyjną kobietą,

mogącą zastąpić niewdzięczną Mercedes, która uciekła akurat w momencie, kiedy już ją prawie wychował.

Jego imperium było większe, niż władze przypuszczały. W swojej ojczyźnie czuł się niczym król. Król podziemia, dodajmy. Tam jednak świat „naziemny” zaczął być dla niego niezbyt sympatyczny, tutaj żyje mu się spokojniej i wszystko jest znacznie bardziej nowoczesne. To prawda, że i tutaj policja próbuje wścibiać nos w jego interesy, ale u niego na pozór wszystko jest w porządku, więc nikt niczego nie może mu zarzucić.

Kiedy mu zameldowano, że przy bramie znajduje się trzech mężczyzn, którzy chcą się z nim widzieć, udzielił bardzo ostrej odpowiedzi. Audiencję - tak to określił - należy wcześniej umówić. Poza tym to sekretarz zajmuje się takimi sprawami.

Głos strażnika czuwającego przy bramie brzmiał niepewnie. Tyle się już wydarzyło tego dnia. Ubrani na czarno konni rycerze wyjechali z głębi rezydencji, a teraz...

Pełen lęku, że jako przynoszący złe wiadomości może zostać ukarany, starał się wyjaśnić dokładniej, kim są goście.

José wpadł we wściekłość i zaczął strasznie kłać. Długie i nader barwne wiązanki przekleństw w obu językach nie docierały jednak do strażnika.

- Wpuść ich! - ryknął w końcu do słuchawki pan José.

Co ta hołota tutaj robi? Komisarz policji? I ten zarozumiały, wpływowy Pedro de Venn, znany powszechnie jako nieprzejednany tropiciel afer kryminalnych. Jak się nazywa trzeci? Antonio Vargas? Nigdy o takim nie słyszał.

I musieli się tu zjawić akurat dzisiaj! Kiedy niewinnie wyglądające ciężarówki, załadowane bronią miały właśnie wyruszyć do jego ojczyzny! Stały teraz w dolnej części posiadłości, skąd był wyjazd na boczne ulice, daleko od centrum jego „twierdzy”. Transport czekał tylko na właściwy moment tak, by zdążyć do portu na umówiony statek.

José wydał przez telefon krótki rozkaz:

- Niech ciężarówki ruszają! Natychmiast! Poczekają na statek nad morzem!

Rozkaz przyjęto.

I José mógł powitać swoich gości z uprzejmym uśmiechem.

Poprosił, by usiedli, wskazując szerokim gestem luksusowe kanapy w ekskluzywnie urządzonej sypialni. Piękne biurko, skórzane, ciemnobrązowe obicia mebli.

- To tylko mój domowy gabinet. Tutaj przyjmuję klientów z niecierpiącymi zwłoki problemami.

Prawie zapomnieli, że José jest adwokatem. Antonio nigdy by się w żadnej sprawie nie zwrócił o poradę do takiego adwokata. Zbyt gładki w obejściu, zbyt wypolerowany, jeśli

tak można powiedzieć, od czarnych włosów przez oliwkową skórę, po lśniące buty. Zbyt wiele złota mieniło się na nim, i w ogóle nie zachwycał dobrym gustem. Antonio tylko przez chwilę widział małego Pepe, ale rad był, że chłopiec jest taki podobny do matki, i z wyglądu, i z zachowania. To jednak pewna pociecha.

- I czemuż to zawdzięczam tę miłą i zaszczytną wizytę w moim skromnym domu?

Skromnym? No tak, to zwykle, banalne powiedzenie w jego rodzinnym kraju. Komisarz bez ogródek przystąpił do rzeczy:

- Zamierzamy przeszukać pańską posiadłość. Ma pan coś przeciwko temu?

José uniósł brwi.

- Naturalnie, że nie! Zresztą to przecież nie po raz pierwszy i zawsze byłem do dyspozycji, pan o tym wie, panie *comisario de policia*. Gzy znowu zawistni sąsiedzi rozpuszczają o mnie bezpodstawne plotki? O co tym razem chodzi?

José mówił z poczuciem wyższości, w jego głosie słychać było niechęć.

Spieszcie się, chłopaki! Wynoście się z tym transportem, myślał gorączkowo.

Nie obawiał się inspekcji w posiadłości. Magazyn broni był dobrze ukryty, problem stanowiły jedynie załadowane ciężarówki.

José musiał grać na zwłokę, choć pewnie transport jest już w drodze. Nigdy jednak dość ostrożności.

- Czy mogę panów czymś poczęstować, zanim zaczniemy przeszukania? - zapytał jowialnie.

- Dziękujemy, ale czasu mamy niewiele. Proszę wybaczyć.

Cholerne zarozumialce!

- To może chociaż cygaro?

- Także nie, dziękujemy.

- No to w takim razie zaczynajmy. Może najpierw na pierwszym piętrze?

- Nie! - odparł komisarz ostro. - Najbardziej interesuje nas... Proszę wybaczyć!

Dzwonił telefon komórkowy komisarza. Wszyscy czekali. Ale twarz komisarza nie wyrażała niczego, jego odpowiedzi były krótkie, mogły znaczyć wszystko i nic.

- Teraz!... Tak, tak zróbcie!... Znakomicie!... Tak... Tak... Dziękuję!

W zachowaniu komisarza zaszła wyraźna zmiana. Pojawiło się zadowolenie, może nawet triumf, kiedy odkładał aparat.

- To był mój zastępca - wyjaśnił. - Na czym to skończyliśmy? Aha, zanim pójdziemy dalej, to nasz przyjaciel, pan Antonio Vargas, chciałby zadać panu pytanie. Mianowicie, gdzie się znajduje Elio Navarro?

- Elio Navarro? A skąd ja miałbym to wiedzieć? - odparł José podejrzliwie. O co im znowu chodzi?

- Mamy powody sądzić, że pan jest jedynym człowiekiem, który to wie.

- Nonsens. Ja wiem, że to mój teść i że zniknął z jakiegoś powodu, którego nie rozumiem. To wszystko. Nic więcej nie wiem.

Elio Navarro? Co on ma z tym wspólnego? Czy policji tylko o niego chodzi? Ale José przysiągł, że nikomu nic o Eliu nie powie, a dla niego słowo honoru jest na wagę złota.

Przynajmniej on tak o sobie myślał.

Ten przekłety, zadzierający nosa komisarz policji! Teraz znowu zaczyna gadać o przeszukaniu domu. Chce najpierw obejrzeć hall. Interesują go drzwi do piwnicy!

José poczuł, że drętwieje mu skóra na karku. Ile tamci właściwie wiedzą? To Mercedes stoi za tym wszystkim, mógłby przysiąc. I policjant się pyta, gdzie się podziewa jej ojciec, Elio.

Rozważał, czy nie wezwać pracowników rezydencji, swojego sekretarza i paru goryli, uznał jednak, że to by było dla niego poniekąd upokarzające, a poza tym owi okropni goście mogliby nabrać podejrzeń, że nie wszystko jest tak, jak powinno. Najchętniej wystrzelaliby ich na miejscu, byli jednak ludźmi zbyt wysoko postawionymi, no i to w końcu jego posiadłość!

Żadnych prominentnych zwłok w tym domu!

Nie, nie mógł wezwać na pomoc strażników. Mógłby jednak...

No właśnie, gdyby miał przy sobie Pepe, mógłby się postawić w razie czego. Jeśli sprawy zaszyłyby tak daleko. Nie żeby sądził, iż policja znajdzie magazyny broni, ale człowiek powinien się zabezpieczyć na wszelki wypadek.

Kiedy uprzejmie wyprowadził swoich gości do hallu, wezwał przez telefon komórkowy opiekunkę dziecka. Chłopiec nadal śpi, wyjaśniła dziewczyna. To prawda, że dzisiaj śpi dłużej niż zwykle. Chwileczkę, zaraz go przyniesie na dół do ojca.

Ponieważ Pepe mieszkał w innym skrzydle, nie w głównej części domu, to goście Joségo oglądali inny hall niż ten, przez który niedawno przechodził Jordi.

Różne aparaty zaczęły wydawać ostre sygnały. Służba w różnych częściach domu podnosiła słuchawki, odpowiadała.

Do Joségo zaczęły napływać przerażające raporty, twarz coraz bardziej mu ciemniała, po policzkach spływał pot, ocierał go niecierpliwie, ale pot spływał i spływał. On zaś w coraz większym napięciu odpowiadał swoim gościom.

W końcu zwrócił się do nich ciemnoczerwony na twarzy, z wściekłością w oczach. W tym samym momencie gdzieś niedaleko rozległ się huk strzału.

- Co to za afera? - ryknął. - Wasi ludzie wdarli się do mojej posiadłości. Jakim prawem?

- Nasi ludzie zdążyli zatrzymać transport broni, który właśnie opuszczał pańską posiadłość - odpowiedział komisarz policji cierpko.

José był bliski paniki. Ale ma jeszcze Pepe. Z chłopcem jako tarczą zdoła bezpiecznie ujść i znaleźć schronienie.

Przybiegł jakiś służący. Opiekunka do dziecka znalazła łóżko puste, chłopiec zniknął, nigdzie go nie ma.

Serce Joségo zaczęło bić niepokojąco prędko i mocno.

- Znaleźć go! Natychmiast! Muszę go mieć przy sobie!

- Szukaliśmy. Jego nie ma na terenie posiadłości. - To oczywiste, że tutaj jest! A może chcecie mi wmówić, że te duchy, które przyjechały tutaj konno, uprowadziły mojego syna?

Służący dygotał:

- My w to wierzymy, señor!

- Nonsens! Już powiedziałem, że strażnicy mieli przywidzenia.

Oparł się o ścianę, starając się w ten sposób opanować gwałtowne wzburzenie. Wszystko zwracało się przeciwko niemu, ale jeszcze nikt nie pokonał Joségo! Kto unikał „więzienia przez te wszystkie lata? Tylko on potrafił tego dokonać, nikt inny.

Wściekłości jednak opanować nie był w stanie.

- Mój syn zniknął? Jak do tego doszło? Co się tutaj dzieje? Kto stoi za tymi niezrozumiałymi wydarzeniami? Mercedes?

Pedro powiedział z wielkim spokojem:

- Pański syn znajduje się w bezpiecznym miejscu. Człowiekiem, który pana wydał, jest właśnie Elio Navarro. Ale i do niego też się dobierzemy, bo ma na sumieniu co najmniej kilka kolizji z prawem. Więc się pewnie spotkacie w więzieniu. Czy możemy teraz zajrzeć za te tajemnicze drzwi?

Jakieś wyjście z tej sytuacji, jakieś wyjście, prędko, myślał José gorączkowo. Czerwona mgła przesłaniała mu wzrok, nie był w stanie ocenić zagrożenia. Nie dotarły do niego nawet chłodne słowa komisarza policji: „W imieniu prawa aresztuję pana pod zarzutem nielegalnego handlu bronią. Przynajmniej na początek. Pełną listę zarzutów sformułujemy później”.

José uczeplił się jednej z tych spraw, która go wzburzyła najbardziej, choć teraz była akurat mniej ważna.

- Elio Navarro, ta zdradziecka świnia! - ryknął. - A ja jeszcze pomagałem mu uciec! O, nie uniknie odpowiedzialności, żeby nie wiem jak głęboko się chował w tych grotach! On się ukrywa koło tego miasta, nie wiem, jak się ono nazywa. Na skrzyżowaniu dróg, gdzie ludzie przejeżdżają jak szaleni, bo w grotach się pali. Złapcie go, tylko go złapcie!

- My wiemy, gdzie to jest - wtrącił komisarz krótko. Przez telefon komórkowy rozkazał, by wszyscy policjanci czekali w pogotowiu, on niedługo wyprowadzi Joségo.

Nie! Nie, myślał José. Co ja mam zrobić?

Myśli krążyły w głowie jak szalone. Szukały jakiegoś wyjścia. Przecież José nie może dać się bez oporu zaprowadzić do więzienia!

Komisarz policji zwrócił się do dwóch swoich towarzyszy:

- Drodzy przyjaciele, teraz możecie się już stąd wycofać. Wiecie, gdzie szukać Elia Navarro, który przez policję poszukiwany nie jest.

- Ale czy nie narażamy jego życia na niebezpieczeństwo? - zapytał Antonio.

- Nie. Nielegalny handel bronią jest w naszym kraju karany bardzo surowo.

José zadrżał. Nie! Nie wolno do tego dopuścić. Władczy Pedro zwrócił się ku niemu:

- No, słyszał pan, co mówi komisarz? Teraz mogę więc cofnąć to, co powiedziałem na temat Elia Navarro. Musieliśmy tylko wiedzieć, gdzie on się znajduje. To nie on pana wydał i jemu w żadnym razie więzienie nie grozi. Pańska była żona też nie miała z tym nic wspólnego.

- Ona wciąż jest moją żoną.

- Nie będziemy o tym dyskutować. To działania policji doprowadziły do ujawnienia pańskich sprawek. Teraz pozostaje tylko czekać na przyjazd policyjnego samochodu. Może wyjdziemy na dziedziniec?

José nie zamierzał im jednak towarzyszyć. Nie wiedział, jak wygląda sytuacja na zewnątrz, zakładał jednak, że jego ludzie wciąż są na służbie. Strzałów nie było już słychać, udało im się z pewnością odeprzeć atak niewielkich sił policyjnych.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, José wybiegł z pokoju, słyszeli tylko, jak pędzi po wykładanym terakotą korytarzu.

Komisarz policji rzucił się w pogoń, a pozostali za nim.

Nikt nie miał pojęcia, gdzie się znajduje służba, nikogo nie było widać.

Komisarz policji i jego przyjaciele biegli bardzo szybko. Już prawie schwytali uciekiniera. Kiedy znaleźli się na dziedzińcu, on był zaledwie kilka metrów przed nimi, kierował się do bocznego skrzydła domu.

- Zatrzymajcie go! - krzyknął komisarz do swoich ludzi. - Ale nie... - z różnych stron rozległy się salwy wystrzałów. - ...strzelajcie - zakończył matowym głosem.

Niezdolni do działania wolno szli ku martwemu ciału Joségo. Zewsząd szli ku nim policjanci z dymiącą bronią.

- Cholera! - zaklął komisarz cicho. - Powinniśmy byli wziąć go żywcem, by ujawnić również odbiorców broni.

- Jego ludzie z pewnością nam pomogą.

- No, ale przynajmniej Mercedes jest wolna - powiedział Antonio. - I mamy adres Elia.

Tyle tylko że Elio nigdy nie był ścigany przez Joségo i jego ludzi. Więc Elio jeszcze wolny nie był, na jego życie bowiem nastaje banda Leona.

Ale to już całkiem inna historia.

Nikt jeszcze nie odnalazł ich kryjówki w małym hoteliku. Teraz jednak musieli pożyczyć samochód, a to już gorsza sprawa.

Zorganizował im to w końcu komisarz policji w podziękowaniu za pomoc w ujęciu wielkiego przemytnika broni. Przynajmniej lidera szajki i paru jego pomocników. Komisarz posłał jednego ze swoich ludzi, by wynajęli samochód, duży, żeby było w nim miejsce dla wszystkich: czworga Norwegów, Pedra oraz señory Navarro. A później jeszcze ewentualnie dla Elia.

Mercedes natomiast miała zostać w Granadzie pod opieką policji. Jeszcze nie wyłapali wszystkich ludzi Josého, kiedy jednak znajdą się już oni za kratkami, co, zdaniem komisarza, nastąpi bardzo prędko, Mercedes i jej mały synek będą się mogli poruszać swobodnie. I mieszkać w starym rodzinnym domu.

Sytuacja Elia rysowała się gorzej.

Teraz muszą koniecznie z nim porozmawiać. Jeśli on w ogóle cokolwiek wie. A jeśli jest tak, że gonią za mydlaną bańką?

Wszystko, co było można, zapakowali do samochodu jeszcze poprzedniego wieczoru, mogli zatem wyruszyć bardzo wcześnie rano.

Hotelowy pies ani na krok nie odstępował Vesli i Antonia. Najwyraźniej nie zapomniał ich serdecznej gościnności i tego, że poprzedniej nocy pozwolili mu leżeć w nogach łóżka. Vesla wciąż z nim rozmawiała, mieli oczywiście pewne problemy językowe, ale wzajemnego oddania to nie osłabiało.

Jakiś człowiek kręcił się na bocznej uliczce w pobliżu hotelu i raz po raz zaglądał na tylne podwórko, gdzie parkował samochód Norwegów. Vesla nie zwracała na niego uwagi, wkładała właśnie dwie duże plastikowe torby do bagażnika. Dlaczego człowiek w podróży gromadzi tyle różnych rzeczy, które musi potem taszczyć za sobą w paskudnych torbach? zastanawiała się, zatrzasnąjąc bagażnik.

Omal się nie zakrztusiła, kiedy nieoczekiwanie czyjaś ręka zasłoniła jej usta. O Boże, znowu, pomyślała zrozpaczona.

- Teraz mi wszystko wyśpiewasz - syknął jej męski głos po angielsku prosto do ucha. - I gęba na kłódkę, bo będzie z tobą źle! Dokąd się wybieracie?



Nie mogę jednocześnie trzymać gęby na kłódkę i odpowiadać, ty durniu, pomyślała ze złością, próbując się wyrwać napastnikowi. Teraz uświadomiła sobie, że to ten facet, który się tu od dłuższego czasu kręcił, ale nie był to żaden z tych, którzy ją uprowadzili w Alhambrze.

Chciała krzyknąć, ale zdołała tylko wycharzczyć coś stłumionym głosem.

I nagle wrzasnął napastnik. Darł się jak szalony, a rozwścieczony pies z całej siły szarpał nogawkę jego spodni i chyba nie tylko nogawkę, na to przynajmniej wyglądało. Zaraz też nadeszła odsiecz, z hotelu wybiegli policjanci z Antoniem, a za nimi portier. Nikt nie krzychał na psa, wprost przeciwnie, a policjanci zajęli się napastnikiem, który przestał już krzyknąć.

- Nie ma przy sobie telefonu komórkowego - zauważył jeden z policjantów. - Pewnie więc sam was wywęszył. Teraz zabiorę go z sobą i zamknę do czasu, dopóki wy nie znajdziecie się w bezpiecznym miejscu. Może też uda mi się wydobyć z niego jakieś informacje. Nie byłoby to takie głupie, prawda?

Pedro szczerze sobie tego życzył. Przede wszystkim chciał znać liczbę tych drani i ich nazwiska. To by bardzo ułatwiło ustalenie działań przestępczej organizacji hiszpańskiej.

Vesla siedziała w kucki i rozmawiała z psem. Dziękowała mu za ratunek i dziękowała, mówiła, że bardzo chętnie zabrałaby go ze sobą do Norwegii, gdyby nie te wszystkie procedury graniczne, długa kwarantanna i w ogóle. A poza tym tłumaczyła mu, że tu jest jego dom i że pewnie nie najlepiej by się czuł w zimnej Norwegii, tęskniłby za Hiszpanią...

Oczka psa świadczyły, że on to wszystko rozumie. Tak przynajmniej uważała Vesla.

Pedro koniecznie chciał im towarzyszyć do cygańskich siedzib, by tam próbować odszukać Elia.

Unni spytała go cicho:

- Czy pan sądzi, że Elio wie coś, o czym my nie mamy pojęcia?

- Absolutnie tak! W przeciwnym razie Alonzo nie ścigałby go tak zaciekle.

- Kim jest Alonzo?

- To wielki drań. Taki, co to nie przepuści żadnej okazji, która, jego zdaniem, mogłaby mu przynieść jakieś korzyści. Jest taki sam jak Leon. Tylko że ja nie wiem, czego oni teraz szukają. Dlatego myślę, że Elio zna prawdę.

- Ale to nie musi mieć nic wspólnego ze sprawą rycerzy. Może chcą się po prostu zemścić za coś na Eliu? - Pedro miał jednak bardzo sceptyczną minę.

Wyjechali z Granady wczesnym rankiem następnego dnia. Zapłacili rachunek w hotelu i cały bagaż zabrali ze sobą. Przyszłość, a już zwłaszcza najbliższe dni rysowały się przed nimi mgliście.

- Oj, jak tu pięknie - westchnęła Unni. - Spójrzcie tam! Czy to Sierra Nevada?

- Śnieżne Góry, tak - odparł Jordi, który był już zdrowy i wypoczęty po wczorajszym wysiłku. „Sierra” to znaczy „łańcuch górski”, a „nevada” to pokryty śniegiem.

Unni wiedziała o tym, ale i tak patrzyła na Jordiego z podziwem. Nie powinno się nikomu odbierać radości z tego, że coś wie i może o tym opowiedzieć.

- Dziwne, że śnieg wciąż jeszcze leży tak daleko na południe - rzekła Vesla.

- Ten potężny łańcuch górski osłania Costa del Sol przed wiatrami z północy - wyjaśnił Antonio, który prowadził samochód. Policjanci pożegnali się z nimi w Granadzie. To zadanie będą musieli wypełnić sami.

Señora Navarro była wyraźnie zdenerwowana. Przyznawała, że Elio powinien im okazać zaufanie i, oczywiście, bardzo chciała spotkać się z mężem. Nikt nie wiedział, jak się sprawy potoczą, trzeba będzie przyjmować wydarzenia w miarę, jak będą następować, i starać się im sprostać.

Zatrzymali się, by zjeść śniadanie, bo w Granadzie nie mieli na to czasu.

Widok na spalone słońcem równiny Andaluzji i białe wioski na zboczach wzgórz był po prostu fantastyczny. Pedro poprowadził Antonia w bok od głównej drogi, do małej wioski, gdzie mogli zjeść taki posiłek, jaki tu codziennie jadają pracujący ludzie. To najlepsze jedzenie, wyjaśniał. Turyści zwykle żądają dań międzynarodowych i różnych dziwactw. Szwedzi domagają się chrupkiego chleba, Norwegowie koziego sera, teraz oni zjedzą posiłek hiszpański.

Smakowało wybornie. Ponieważ jednak Pedro nie znał tej okolicy, przestrzegął swoich towarzyszy przed tapas, maleńkimi daniami najrozmaitszego rodzaju, które podaje się w dużych ilościach. W Hiszpanii jedzenie tapas należy do powszechnych zwyczajów stołu, tworzy uroczysty nastrój, czasami jednak istnieje niebezpieczeństwo, że dostanie się resztki z wczorajszego dnia lub nawet sprzed kilku dni.

- A za wszelką cenę musimy unikać chorób - tłumaczył Pedro, wobec czego wszyscy zamówili danie dnia. Bardzo smakowite. Podczas jedzenia Unni studiowała dłonie Pedra. Szczupłe, niebieskawe żyłki pod skórą, białe paznokcie i opuszki palców.

Niewiele mu już zostało, myślała zatroskana. Mój Boże, taki wspaniały człowiek! Różne ponure typy dożywają dziewięćdziesięciu siedmiu lat, natomiast tacy ludzie, obdarzeni szlachetnym sercem, umierają przed czasem.

Obudziło się w niej nieoczekiwane pragnienie. Pomysł. Czy mogłaby się odważyć?

Musi się poradzić z Jordim.

Vesla wyrwała ją z zamyślenia.

- Najgorsze, że nie wiemy, jak te dranie tu, w Hiszpanii, wyglądają. Nie będziemy mieć pewności, czy nas nie śledzą.

- Ja znam sporo z nich - uspokoił ją Pedro. - Wiem, jak wygląda Alonzo i większość jego pomocników. Żaden się jeszcze nie pokazał, nie wiedzą, że wyjechaliśmy. A to dzięki wiernemu psu. Mało brakowało, a mogli się o nas dowiedzieć czegoś więcej. Myślę, że ten, który na ciebie napadł, Vesla, był po prostu głupi, bo chciał cały honor zagarnąć dla siebie, zamiast najpierw powiadomić kompanów, gdzie jesteśmy.

- Niech żyje głupota - skwitowała Unni cierpko.

Wyszła z restauracji w towarzystwie Pedra. Na dworze, mimo słonecznej pogody, było dość zimno. Od zaśnieżonych szczytów Sierra Nevada wiał ostry wiatr.

- Najwyższy szczyt ma 3481 metrów, prawda? - zapytała Unni. Tysiąc metrów więcej niż Galdhøping - gen. Cóż to za obyczaj! Żeby pobić Norwegię? I to góra, o której w Norwegii mało kto słyszał. Cerro de Mulhacén, tak się nazywa, o ile dobrze pamiętam.

Pedro roześmiał się. Zabrzmiało to tak, jakby wiatr szarpał obluzowaną drewnianą okiennicą.

- Tęsknię za Flavią - powiedziała Unni. - To wspaniała kobieta.

- Masz rację - uśmiechnął się Pedro łagodnie. - Flavia jest na wakacjach w swojej ojczyźnie, we Włoszech; rozmawiałem z nią wczoraj rano. Gdy tylko usłyszała o waszych eskapadach, natychmiast chciała tu przyjechać, ale jej odradziłem. Tu może być niebezpiecznie.

Unni była mu wdzięczna, że może z nim rozmawiać po angielsku i nie musi się zastanawiać, czy zwracać się do niego per ty, czy pan. Mimo woli to swoje angielskie „you” wymawiała tak, żeby brzmiało raczej jak „wy” niż „ty”. Budził w niej szacunek z wielu powodów.

- Jesteście dobrymi przyjaciółmi? - spytała.

- Bardzo dobrymi. Gdyby wszystko było inaczej, to... - Pedro umilkł.

Gdybyś ty nie był śmiertelnie chory, to byś się jej oświadczył, dopowiedziała sobie Unni w duchu.

- Chciałabym, żeby pan był z nami do końca - wyznała spontanicznie. - Czujemy się bezpieczniej. I jest tak miło.

Otworzył jej drzwi do samochodu.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Unni. Powinniście z Jordim być razem. Mieć do tego prawo...

Ile on właściwie wie, zastanawiała się Unni i zarumieniła się lekko. Nikt jednak tego nie zauważył, towarzystwo wsiadało do samochodu i można było kontynuować podróż.

Gaje oliwne, gaje pomarańczowe, gaje cytrynowe przesuwały się za oknami. Tu i tam grupy drzew, których nazw Unni nie znała. Bielejące w oddali wioski, rozpadające się murowane domy, samotne na tle krajobrazu, w którym główny element stanowią rozrzucone krzewy i zarośla. Skały wapienne, skały z piaskowca, rzeczki...

Fantastyczne widoki.

- Jediną wadą Norwegii jest to, że mamy za dużo lasów iglastych - pomyślała Unni i w tej samej chwili odkryła, że myśli głośno. Uznała więc, że powinna pogłębić temat. - Chodzi mi o to, że cudzoziemcy, którzy wylądają na lotnisku Gardermoen i potem jadą w głąb kraju dolinami, muszą mieć przykre wrażenia, nie widzą tej osławionej urody norweskich pejzaży, tylko ciągnące się dziesiątki kilometrów ciężkie, przygnębiające, deprymujące lasy iglaste, które zamykają wszelki widok i mogą zdławić największy entuzjazm.

- Ale radość ich jest tym większa, kiedy już otworzą się szersze krajobrazy - odparł Pedro de Verin.

- Oczywiście! Ogarnęło mnie jakieś czarnowidztwo, to niewybaczalne!

- Większe grzechy zostały wybaczone. - Jak na przykład inkwizycja?

- No nie, inkwizycja to chyba nigdy nie uzyskała wybaczenia. Co najwyżej tylko ze strony własnych funkcjonariuszy. Oni bowiem torturowali ludzi, mordowali i dręczyli, a potem odpuszczali sobie nawzajem grzechy.

Unni mówiła teraz cichym głosem pełnym żalu:

- Nasza sprawa ma również związek z inkwizycją, prawda?

- Owszem. I jeśli jest coś, co może rzucać naprawdę długie, ponure cienie na przyszłość, to przede wszystkim grzechy i niegodziwości popełnione w imieniu Boga. Mimo wszystko jednak sądzę, że jeśli chodzi o naszą zagadkę, to inkwizycja i jej rola lokuje się gdzieś na peryferiach. Nie dotarliśmy jeszcze do jądra tajemnicy. Ale ty byłaś blisko, moja droga. W owej przerażającej wizji, którą miałas we śnie.

- Wiem. Wiem też, że muszę powtórzyć eksperyment i zrobię to, choć nie jestem jeszcze gotowa.

- My to rozumiemy. Najpierw trzeba wyjaśnić tajemnicę Elia.

Unni nie pozwolono usiąść obok Jordiego. Ulokowała się więc na przednim siedzeniu między Antoniem i Pedrem, który pełnił rolę przewodnika. To najlepsze rozwiązanie, Unni bowiem była najmniejsza, zresztą w samochodzie po prostu brakowało dla niej innego miejsca, chyba że w bagażniku, a i to z trudem.

Odczuwała na plecach chłód płynący od strony Jordiego, wiedziała, że on o niej myśli i żywi dla niej gorące uczucia. Nie przejmowała się więc tym chłodem.

Akurat tego mogliście nam oszczędzić, zwracała się z goryczą w myślach do czarnych rycerzy. Co by to komu szkodziło, gdybyśmy mogli ze sobą być? Czy to by osłabiło siły Jordiego? Nie sadzę. Przeciwnie, razem moglibyśmy wam lepiej pomóc.

Wiedziała jednak, że rycerze nie brali jej w rachubę, nie spodziewali się, że wkroczy w życie Jordiego, ona, która nieoczekiwanie okazała się potomkinią rodu i sama obciążona jest złym dziedzictwem. Rycerze nie zdawali też sobie sprawy z jej paranormalnych zdolności które okazały się tak wielką pomocą dla ich sprawy.

Czy wobec tego nie mogliby cofnąć lodowatych rąk znad Jordiego? Czy nie mogliby cofnąć zakazu, zgodnie z którym Jordi nie może się interesować nikim ani niczym innym, jak tylko uwolnieniem rycerzy i ich rodu od ciężkiej klątwy sprzed wieków? Czyż oni nie rozumieją, jak Jordi i Unni cierpią? I dlaczego nie mogliby zostać chociaż przyjaciółmi? No tak, ale przyjaźń przekształca się w oddanie, a potem w miłość. I ze strony Unni była to prawdziwa, najszczerza miłość, ze wszystkim, co miłość za sobą pociąga - tęsknotą, pożądaniem, niecierpliwością, bezradnością i nie mającym granic bólem.

„AMOR ILIMITADO SOLAMENTE”.

Tylko bezgraniczna miłość...

Żeby nie wiem jak bardzo tego unikała, zawsze jednak wracała do tych słów.

Nie musiała sobie niczego wmawiać ani fantazjować, bo wiedziała, że Jordi żywi dla niej równie silne uczucia.

Dlaczego więc nie mogliby... Nie, no znowu daje się wciągnąć tej beznadziejnej spirali.

Krajobraz stawał się coraz bardziej płaski, wzniesienia zostawiali za sobą. Właściwie to ta podróż sprawiała Unni przyjemność. I rozkoszowała się tym, że siedzi na przedzie, gdzie nic nie przesłania jej pięknego widoku.

Mieli teraz przed sobą rzekę z kamienistymi brzegami, a w oddali widać było jakąś wieś.

- Oj, spójrzcie na te drzwi! Wysoko na skalnej ścianie! - krzyknęła Unni. W dalszym ciągu najczęściej używała słowa „oj”. - Oj, tam było rozstaje dróg, nie zauważyłam. Dokąd teraz?

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Pedro. - Nic dziwnego, że ludzie nie zauważają tych rozstai, tyle innych interesujących rzeczy jest dookoła. Antonio, skręć tam. Teraz najważniejsze, to odszukać Elia.

Wysiedli z samochodu u stóp żółtej skały, Unni nie potrafiłaby powiedzieć, czy to wapień, piaskowiec czy jeszcze co innego. Trochę spłoszeni spoglądali na liczne mieszkania mieszczące się w skalnych niszach.

Pedro tłumaczył:

- Wiele z tych mieszkań w grotach zyskało status domostw artystów i innych ludzi, którzy chcą mieć coś wyjątkowego. Często są bardzo luksusowe, wyposażone w najnowocześniejsze urządzenia. Takie mieszkania w grotach znajdowały się w wielu miejscach w naszym kraju. Ale ich popularność minęła, kiedy Cyganie musieli w nich szukać schronienia, byli bowiem prześladowani przez Kościół i inne nietolerancyjne środowiska. Chodźcie, zapukamy do najbliższego domu.

Tam rzeczywiście mieli okazję zobaczyć, jakie to mogą być mieszkania. Światło dzienne wpadało przez wykute w skałach okna w pięknych ramach, w kuchni była lodówka, w salonie aparat telewizyjny, obok garaż urządzony w przyległej grocie.

Elio Navarro? Nie, mieszkańcy skalnego domu wytrzeszczali swoje wielkie oczy i zapewniali, że nigdy nie słyszeli o takiej osobie.

Pedro przedstawił się całym swoim pompatycznie brzmiącym nazwiskiem, następnie oznajmił, że señoira Navarro jest małżonką Elia, zaś Jordi i Antonio wnukami jego siostry Margarity, podkreślił, że wszyscy oni koniecznie muszą rozmawiać z Eliem. Wszyscy też są do niego bardzo przyjaźnie usposobieni. Wiedzą, że Elio jest ścigany przez złych ludzi, ale nikt nie ma pojęcia, że oni tu przyjechali.

- Ale przecież powiedzieliśmy wam... - zaczął jeden z mężczyzn w pokoju. Starsza kobieta rozmawiała jednak z señoira Navarro, trwało to dobrych kilka minut, panie wymieniały poglądy z coraz większym podnieceniem, ale Unni nie rozumiała ani słowa. Domyślała się tylko, że gospodarze zaczynają zmieniać nastawienie, w końcu ów najstarszy mężczyzna zawołał:

- Zaczekajcie tutaj!

Poproszono gości, by usiedli, podano słodkie ciasteczka i zimne napoje. Unni już jakiś czas temu zauważyła, że Hiszpanie bardzo lubią słodkie ciasto. Ona podzielała ich gusty i dzięki temu łatwiej było im się porozumieć.

W jakiś czas potem starszy mężczyzna wrócił.

- Możecie iść.

Wszyscy ruszyli za nim. Unni i Vesla czuły się trochę niepotrzebne, bo też oficjalnie nie miały tu żadnej roli do odegrania, Unni postanowiła jednak się tym nie przejmować. Nadarzała się oto okazja, by mogła opowiedzieć Elio, jeśli ten istnieje, że ona także jest potomkinią czarnych rycerzy. Serdecznie podziękowała za gościnność.

Musieli przejść do innej skały po drugiej stronie drogi. Tam wspięli się po schodach do małych, prawie niewidocznych drzwi, które naprawdę łatwo było przegapić.

Wewnątrz na pewno zaraz zrobi się ciasno, pomyślała Unni. Może ona i Vesla powinny zostać na dworze?

Mowy nie ma, Unni wejdzie do środka, nawet gdyby musiała siedzieć pod stołem w salonie.

Pod stołem w salonie? Jakich to luksusów się spodziewa?

Znaleźli się w ciemnej, bardzo małej komórce. Miejsca było tu naprawdę niewiele, za to w pomieszczeniu znajdował się Elio Navarro, o czym świadczyła wzruszająca scena, jaka się rozegrała między señorą Navarro a silnie zbudowanym, pomarszczonym mężczyzną, który ją serdecznie obejmował. Señora Navarro opowiadała mu, kim są ci wszyscy ludzie, Unni słyszała, że słowo „amigos” - przyjaciele - powtarzane było wielokrotnie. Na szczęście Elio mówił też po angielsku. Były marynarz.

Nareszcie w izbie zapanował spokój.

Elio posadził Pedra na najlepszym krześle, szczerze mówiąc jedynym w pomieszczeniu, inni znaleźli sobie miejsca na łóżku lub po prostu na podłodze.

Wszystko to przypominało Unni mały rybacki domek Gudrun. Tam też siedzieli tak bezceremonialnie pod ścianami.

Kiedy Elio uświadomił już sobie dokładnie, kto jest kim wśród przybyłych, wskazał na Jordiego i Antonia swoją zniszczoną ręką.

- Wnukowie Margarity! No, tak, wprowadzie ja nigdy jej nie spotkałem, bo i ona, i Ana umarły ponad dwadzieścia lat przed moim urodzeniem. Widzę w was jednak podobieństwo do mojego ojca, Enrico Navarro. Te lekko skośne oczy...

Antonio słuchał nieco skrepowany.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie mówiliśmy tak do końca prawdy, przedstawiając się jako wnukowie Margarity. W rzeczywistości jesteśmy wnukami jej wnuka. Jak dobrze wiesz, wuju Elio, pokolenia w naszym rodzie następują tak szybko po sobie... proszę bardzo, to jest nasze drzewo genealogiczne. Zatrzymaj je i w wolnych chwilach postuduj, to jest kopia.

Elio musiał znaleźć okulary, ale nawet przez nie dobrze nie widział, był bowiem bardzo wzruszony nieoczekiwaną wizytą. Tym, że małżonka przywiozła mu znakomite



wiadomości na temat małego Pepe, widokiem własnego imienia w rodzinnym drzewie genealogicznym, zawierającym mnóstwo znanych i mniej znanych nazwisk,

- Emilia - powiedział ochryple. - Raz ją spotkałem. To była zła kobieta!

- Tak, łagodnie mówiąc - potwierdził Pedro.

- Myślę, że to ona rozsiewała pogłoski, jakoby ja coś wiedział.

- A wiesz? - wtrącił Jordi błyskawicznie.

Elio długo mu się przyglądał.

- Nie wiem - odparł w końcu. - Szczerze mówiąc, myślę, że rycerze źle cię potraktowali, chłopcze.

- Widziałeś rycerzy? - spytał Antonio.

Elio przeniósł wzrok na niego.

- Nie widziałem - wycedził z wolna. - Ale Estéban widział. Nie, przepraszam! Estéban widział tylko mnichów. Tuż przed tym, jak ta przeklęta Emilia odebrała mu życie. Ich nieszczęsna córeczka, Teresa, natomiast przeciwnie, widywała rycerzy parokrotnie. Próbowali nawiązać z nią kontakt. Próbowali jej pomóc tak, by ona mogła pomóc im. Ale Teresa była na to zbyt słaba, biedne dziecko. Wiecie, ja właściwie nie ucierpiałem z powodu tej makabrycznej klątwy ciąży nad rodem. Ucierpiały natomiast moje o wiele ode mnie starsze przyrodnie siostry, Margarita i Ana. Ja jestem synem ojca z trzeciego małżeństwa, urodziłem się, kiedy skończył już sześćdziesiąt dziewięć lat. Miał facet energię, można powiedzieć! Ale mieszkałem niedaleko od potomków mojego przyrodniego rodzeństwa, tych, którzy zostali w Hiszpanii. Miałem osiemnaście lat, kiedy piętnastoletnia Teresa została wyrzucona przez matkę z domu, bo jakiś pozbawiony sumienia facet zrobił biednej dziewczynie dziecko. Mój ojciec zawsze starał się pomagać Teresie, ale umarł, zanim doszło do tych pożałowania godnych wydarzeń. Potem ja próbowałem utrzymywać z nią kontakt i wiem, że robiła wszystko, by zapewnić jakie takie warunki swemu synowi, Nicolasowi...

- To był nasz ojciec - wtrącił Antonio.

- Tak, oczywiście. Ale wiecie, że Teresa podlegała ciąży na rodzinie przekleństwu i umarła w wieku dwudziestu pięciu lat, zostawiając dziewięcioletniego syna. Ja zaś wyprowadziłem się na jakiś czas do mojej ukochanej żony, do innego miasta.

Poklepał małżonkę po kolanie i mówił dalej:

- Niebawem zmarł jeden z moich starszych, przyrodnich braci, z drugiego małżeństwa ojca, i dom w Granadzie, dom mojego dzieciństwa, był wolny. Wobec tego przeprowadziliśmy się do Granady i nasza córka, Mercedes, tam właśnie przyszła na świat.

Powodziło nam się dobrze, dopóki, parę miesięcy temu, nie rozpoczęło się polowanie na mnie i nie musiałem zejść do podziemia.

- Przepraszam, że przerwę na moment - powiedział Jordi. - Odnoszę jednak wrażenie, że twój ojciec był nie tylko mężczyzną obdarzonym wielką życiową energią, ale był też dobrym człowiekiem, prawda? Przed chwilą dowiedzieliśmy się, że opiekował się córką Any, Anną, a teraz widzimy go w roli pater familias również w stosunku do nieszczęsnego Estébana i Teresy, choć przecież nie mógł wiele poradzić na postępowanie złej Emilii.

Elio skinął głową.

- Tak, to był człowiek niepospolity. Jak wiecie, to nie on był obciążony przekleństwem, lecz jego starszy brat, Santiago, który umarł bezdzietnie. W tej sytuacji przekleństwo przeszło na córki mego ojca, bliźniaczki, moje przyrodnie siostry, Anę i Margaritę.

- Tajemniczy Santiago - powiedział Antonio rozmarzonym głosem. - Jak to właściwie z nim jest?

We wzroku Elia nie było rozmarzenia.

- Ojciec mówił zawsze, że Santiago wiedział.

Pedro rozejrzał się po pokoju uważnie. I szybko.

- Jak to będzie, Elio? Pozwolisz się zaprosić na obiad do dobrej restauracji? Tam byśmy mogli porozmawiać o Santiago.

Elio przestraszył się.

- Ja nie mogę stąd wyjść! Jeszcze by mnie kto zobaczył.

- Drogi Elio - uspokajał go Pedro. - My wszyscy znajdujemy się w niebezpiecznej strefie i, szczerze mówiąc, nie wiemy dlaczego. To właśnie z tego powodu przyjechaliśmy do ciebie. Wyjedźmy więc z tej osady i znajźmy jakąś ustronną, dobrą restauracyjkę, niezbyt ekskluzywną, wszyscy bowiem jesteśmy ubrani jak do podróży, a nie do luksusowych lokali. Nie, ty też nie musisz się przebierać, wyglądasz bardzo dobrze.

Elio mimo wszystko chciał się trochę ogarnąć, więc mu pozwolono. Unni bardzo chciała wyjść z dusznego pomieszczenia i już szła ku drzwiom, gdy Elio zawołał:

- Tak! Rzeczywiście mam fotografię ojca i jego braci. Co prawda najmłodszy z nich był przybranym dzieckiem, ale Santiago jest na zdjęciu.

- Znakomicie! - zawołano chórem.

Stary, ale niezwykle witalny Elio grzebał w swoich rzeczach.

- Tylko pamiętajcie, że to było w dziewiętnastym wieku i sztuka fotografii tkwiła jeszcze w powijkach, a poza tym zdjęcie jest cokolwiek zniszczone. O, proszę!

Elio wyjął spory pęk fotografii i zaczął je przeglądać.

- Oto oni. Trzej piękni bracia, wystrojeni do fotografii. Mój ojciec pośrodku. Santiago jest najstarszy.

Wszyscy próbowali oglądać zdjęcie równocześnie. I wszyscy jęknęli zdumieni.

Santiago mógłby być Jordim.

- Toteż od początku myślałem, że już widziałem cię gdzieś - rzekł Elio. - Tyle się mówi o rodzinnym podobieństwie, ale coś takiego...!

Fotografia było zrobiona na sztywnym pośliskim papierze i miała kolor sepii. Najstarszy z chłopców na zdjęciu był młodszy niż Jordi. Mógł mieć jakieś osiemnaście lat, bracia jeszcze mniej. Twarz miał nieruchomą, naznaczoną powagą chwili, strój uroczysty. Włosy uczesane na mokro, z przedziałkiem pośrodku, gładko przylegały do głowy.

Ale rysy były Jordiego.

- Powiedz mi - uśmiechnęła się Vesla. - Chyba nie jesteś duchem?

- Nie, dziękuję! Wystarczy mi tego, co jest - odparł Jordi. - O tym podobieństwie porozmawiam jednak z rycerzami.

W jego głosie brzmiała gorycz.

W samochodzie było teraz naprawdę ciasno, Unni stwierdziła, że chyba naruszają prawo i poprosiła, by pozwolono jej siedzieć na kolanach Jordiego.

- Nie zgadzam się - zaprotestował Antonio. - Nie możemy dopuszczać do kolejnego zamrożenia!

Chyba dobrze, że señora Navarro nie rozumie po norwesku.

Znaleźli odpowiednią restaurację tak daleko od głównych szlaków, że nikt tam by w Eliu nie rozpoznał mieszkańca skalnej osady.

- Gdzie się podział Jordi? - spytała Vesla, kiedy już wchodzili do sali jadalnej.

Odpowiedziała jej Unni.

- Chciał się skontaktować z rycerzami. Za wzgórzami na tyłach domu znajduje się las. Tani się z nimi spotka.

- Sam?

- Tak. Za dużo już postronnych osób.

Vesla mogłaby wskazać jedynie señorę Navarro jako osobę naprawdę postronną, rozumiała jednak, że Jordi chce uniknąć szczegółowych wyjaśnień.

- Jordi powiedział, że mamy zaczynać sami. Prosił, bym zamówiła coś dla niego - dodała Unni z niejaką dumą.

Restauracja przypominała, jak to często bywa w Hiszpanii, betonowy garaż trochę tylko zaadaptowany i przystrojony. Na każdy dźwięk ściany odpowiadały głośnym echem, radio darło się na cały regulator, mężczyźni przy barze usiłowali przekrzykiwać muzykę i

siebie nawzajem, a przy kilku stolikach goście grali w domino, uderzając raz po raz głośno w blat. Krzesło przesuwane po podłodze wydawało łoskot przypominający grzmot. W kącie wrzeszczała papuga.

Posadzono ich na oddzielnej, przewiewnej werandzie, gdzie panowała cisza, i młody chłopak zaczął przyjmować zamówienia. Pedro wyjął swoją imponującą kartę.

Na zewnątrz w piniowym lesie czekał Jordi. Wezwał rycerzy wciąż jeszcze wzburzony.

Odczuwał niechęć pomieszaną z lękiem.

I oto pomiędzy pniami drzew ukazali się goście z zaświatów. Pełni godności i wyprostowani jak zawsze. Jordi nienawidził takiej sytuacji, że rycerze siedzą w siodłach i patrzą na niego z góry. Wiedział, że kiedy stoją na ziemi, to on jest od nich o głowę wyższy, rycerze bowiem pochodzą ze średniowiecza, kiedy ludzie generalnie byli niżsi od współcześnie żyjących, on sam zaś miał wzrost znacznie ponadprzeciętny.

Rycerze też o tym wiedzieli. Dlatego woleli pozostać w siodłach.

Jordi powitał ich uprzejmie, jak to zwykle robił, choć może nieco szybciej niż normalnie.

- Dlaczego mi nie opowiedzieliście o Santiago Navarro? Jak to się stało, że jesteśmy tacy do siebie podobni? Czy to jakaś forma reinkarnacji, czy też ja jestem Santiago?

Don Federico de Galicia uniósł swoją starczą rękę. Jego myśli dotarły do Jordiego:

„Fakt, że jesteście do siebie podobni, to czysty przypadek. Zresztą pochodzicie z tej samej rodziny. Musimy jednak przyznać, że posłużyliśmy się tym podobieństwem, kiedy wybieraliśmy ciebie”.

- W jaki sposób? Jak?

„Młody człowieku, trzeba ci wiedzieć, że Santiago był bardzo inteligentny”.

Czyżby próbowali mu pochlebiać? Jordi nadal był zły.

Jego bezpośredni przodek, don Ramiro de Navarra, wtrącił:

„Pamiętaj, że staraliśmy się już wcześniej szukać pomocy u naszych krewnych! Ty nie jesteś pierwszy!”

- Wiem. Słyszałem, że próbowaliście się posłużyć Teresą.

„Owszem, ale się nie udało. Santiago zaszedł najdalej w swoich poszukiwaniach. Przed wami”.

- To my posunęliśmy się dalej?

„I tak, i nie. Wy zaszliście dalej w pewnych obszarach, ale Santiago dowiedział się rzeczy, na które wy nawet nie wpadliście”.

- Powiedzcie nam, co wiedział!

Wszyscy rycerze potrząsali głowami.

„Dobrze wiesz, że jesteśmy zobowiązani do milczenia. Żebyśmy nie wiem jak bardzo chcieli, nie możemy powiedzieć ani słowa” - przekazał mu w myślach don Galindo de Asturias.

Myśli dona Garcii de Cantabria były gniewne:

„Ale zmuscie tego imbecyla, Elia, żeby zrobił porządek w swojej głowie, to sobie przypomni, co mówiono na temat Santiago! Dokonaliście wielkiego wyczynu i odszukaliście Elia Navarro, nie pozwólcie teraz, żeby jego wiedza pozostała niewykorzystana. Popędźcie go trochę!”

- Nie uważam, żeby Elio był imbecylem - starał się łagodzić Jordi. - Człowiek łatwo zapomina, co niegdyś słyszał. Może dacie mi jakąś podpowiedź.

„Nie wolno nam”.

Jordi zaklął w duchu. Niestety przekleństwo dotarło do rycerzy i wszyscy popatrzyli na niego z wyrzutem, ale temu i owemu zadrżały kąciki warg.

Zaraz jednak znowu rycerze wyprostowali się w siodłach, a ich twarze spoważniały. Don Sebastian de Vasconia wyraził to, co wszyscy myśleli:

„Miejcie się na baczności! Bądźcie ostrożni. Sępy szykują się do strasznego ataku na was”.

- Sępy? Macie na myśli mnichów?

„Oczywiście!”

- Więc oni tutaj są?

„Są tutaj tak samo przepelnieni złą żądzą zniszczenia jak zawsze. Tymczasem jeszcze was nie znaleźli, szukają, węszą gdzie się da, ale jeśli was znajdą, to niech was Bóg ma w swojej opiece!”

Jordi nie uważał, że należy Pana Boga wciągać w te makabryczne rozgrywki, ludzie Kościoła w przeszłości czynili to nader często, a konsekwencje były straszne, ale głośno tego nie powiedział.

- Jak mamy się wystrzegać? - zapytał.

„Ukrywajcie się, jak dotychczas! Don Pedro de Verin y Galicia y Aragón to potężny sojusznik - przekazał mu don Federico de Galicia. My długo mieliśmy z nim powiązania”.

- Czy zostanieie tutaj?

„Będziemy próbowali was chronić”.

- Ale mnisi nas nie dopadną?

„Nie. Oni nie”.

Po tych złowieszczych słowach rycerze pożegnali się i zniknęli.

Jordi stał jeszcze przez chwilę w piniowym gaju. Wiał lekki wiatr, ciepły, czuć było zbliżające się lato.

On jednak słyszał coś w szumie wiatru, jakąś cichą skargę, zawodzenie, jakby wiatr przeczuwał, co się ma stać, i drżał z tego powodu.

A może skarga wiatru odnosi się do tego, co się niegdyś w tym kraju zdarzyło? Do tego, co sprawiło, że rycerze i mnisi błakają się po czasach i przestrzeni w bezskutecznym pościgu za tymi, którzy mogliby przeniknąć całą historię i dotrzeć do źródeł? Rycerze dlatego, że pragną raz na zawsze uwolnić się od klątwy. A mnisi dlatego, że bardzo chcą zapobiec takiemu wyzwajającemu zakończeniu.

Jordi przypomniał sobie nagle, że Unni powiedziała tego dnia coś dziwnego. Czego on nie zrozumiał.

Powiedziała mianowicie, że chciałyby porozmawiać z rycerzami. Ale o czym? Ona nie może się z nimi skomunikować. To potrafi tylko Jordi.

Czego Unni może od nich chcieć? Miała taką tajemniczą minę. Tyleż uszczęśliwioną, co pełną oczekiwania, można by powiedzieć samarytanką, która zamierza zrobić dobry uczynek.

Jordi miał wrażenie, że skarga wiatru przybiera na sile aż do bolesnego krzyku jakby ze strachu. Odwrócił się szybko i poszedł w stronę restauracji. Chciał znowu zobaczyć Unni. Musiał ją zobaczyć. Z jego piersi wyrwał się głuchy szloch, jak echo skargi wiatru. Unni... Dlaczego nie może jej mieć?

Jordi wszedł do restauracji. Jakiś młody człowiek, otworzywszy usta ze zdumienia, poprowadził go dalej. Jordi nigdy się naprawdę nie dowiedział, jakie wrażenie robi na ludziach. A po spotkaniu z rycerzami jego oczy miały osobliwy blask. Była w nich jakaś dzika, szalona głębia.

- Hej, Jordi! - powitał go Pedro. - Ledwo zdążyliśmy zamówić. Wszyscy to samo, bo Vesla aż się paliła, żeby spróbować paelli.

- Znakomicie - powiedział Jordi.

Unni popatrzyła na niego wzrokiem pytającym i zarazem pełnym podziwu. Przeniknął go gorący dreszcz na widok jej oczu. Uśmiechnął się do niej ciepło i uspokajająco - wszystko poszło dobrze.

Nie była to tak całkiem prawda. Jordi nie chciał jednak nikomu powtarzać ostatnich, ostrzegawczych słów rycerzy. Nie teraz.

Jak zwykle musiał usiąść z dala od Unni, choć tęsknił za tym, by być jak najbliżej niej. Tym razem siedzieli po tej samej stronie stołu, więc nawet nie mógł spoglądać jej w oczy.

Przyniesiono zamówione dania i przez jakiś czas wszyscy jedli w milczeniu.

Señora Navarro zachowywała się tak elegancko jak to tylko możliwe, skoro znalazła się w tak ekskluzywnym towarzystwie. Była jednak w ogóle kobietą elegancką i nie musiała podejmować dodatkowych wysiłków. Elio nie miał może aż takich manier, siedział pochylony nad talerzem, pogrążony w głębokiej zadumie. Powinni byli pewnie wybrać nieco bardziej wyszukane dania dla znajdujących się w towarzystwie Hiszpanów, ale wszyscy chcieli zadowolić Vesłę.

W pewnym momencie Pedro odłożył sztućce.

- Może czas już podjąć nasz główny problem... Elio! Dlaczego oni cię ścigają? Teraz nie myślę już o Josém, jego mamy z głowy. Chodzi mi o Leona i Alonza oraz wszystkich ich sługusów. Co takiego ty •wiesz, na czym im tak zależy?

Elio popatrzył na swoją małżonkę, potem znowu na Pedro i wzruszył ramionami.

Ponieważ długo nie odpowiadał, wtrącił się Antonio:

- Musiałeś mieć jakieś podejrzenia. W przeciwnym razie nie zaszyłybyś się tak głęboko.

Jordi zaś dodał:

- To ma coś wspólnego z twoim wujem Santiago, prawda?



- Chyba tak - pisnął Elio cienkim głosem.

- Rycerze powiedzieli mi, bym kazał ci przypomnieć sobie wszystko, co wiesz o Santiago.

Elio patrzył na niego całkiem ogłupiały.

- Dobrze, ale co by to mogło być?

- Zastanów się!

- Santiago wiedział. Mój ojciec powtarzał to zawsze. Ale ja nie wiem, co on wiedział.

- Czy on nic po sobie nie zostawił?

- Nic oprócz tej fotografii.

- A może o czymś ci opowiadał? - spytała Vesla.

Elio podniósł na nią wzrok.

- Santiago rozstał się z życiem czterdzieści pięć lat przed moim urodzeniem.

- Och, naturalnie, przepraszam!

- No, a twój ojciec? - spytał Pedro. - Czy on nigdy nie wspominał o Santiago?

Dosłownie było widać, że mózg Elio pracuje z wielkim wysiłkiem. Bardzo chciał pomóc tym ludziom, którzy usunęli Joségo z drogi jego ukochanej córki Mercedes i którzy chyba potrafią usunąć najgorsze zagrożenie jego rodziny, czyli Alonza i Leona. Spoglądał w górę na piękny żyrandol, jakby tam szukał natchnienia.

Gdzieś dyskretnie dzwonił telefon komórkowy. Pedro oznajmił, że to u niego, przeprosił i odszedł na bok.

Kiedy wrócił, powiedział:

- Elio! Señora Navarro, mam dla państwa wiadomość. Wkrótce przyjedzie tutaj cywilny samochód. Przyjedzie nim Mercedes i mały Pepe, przywiozą też wszystko, co może wam być potrzebne, żeby wyjechać na jakiś czas za granicę.

- Co? - wykrzyknęła señora wzburzona. - Ale...

Pedro jej przerwał:

- Dowiedzieliśmy się, że wasz dom w Granadzie jest obserwowany przez jednego z ludzi Alonza, mieszkającego w pobliżu. Oni z pewnością zaczną was znowu prześladować, żeby się dowiedzieć, gdzie jest Elio. A komisarz policji nie ma dość personelu, żeby was dzień i noc ochraniać. My zaś musimy być pewni, że jesteście bezpieczni, by skoncentrować się na sprawie.

- Ale... - zdążyła jeszcze wykrztusić señora Navarro.

Pedro udał, że tego nie słyszy.

- Policjanci, którzy tu przyjadą, są przekonani, że nikt ich nie widział, kiedy zabierali z domu Mercedes i Pepe razem ze wszystkimi bagażami. Przyjadą tu po was, a potem udacie się na lotnisko. Tam będzie na was czekać moja przyjaciółka, Flavia Cleve, która ulokuje was w swoim domu.

- W Norwegii? - spytała Unni.

- Nie. Norwegia to dla nas niebezpieczny kraj. Leon wszystko tam kontroluje. Nie, rodzina Elia pojedzie do Włoch, gdzie będzie mieszkać w naprawdę komfortowych warunkach.

Elio i jego żona słuchali tego przygnębieni, choć chyba też z wyraźną ulgą. Antonio powiedział:

- W takim razie Elio ma godzinę na myślenie.

- Muszę przynieść swoje rzeczy - zaprotestował Elio.

- Załatwimy to, kiedy samochód już tu będzie.

Unni egoistycznie z radością pomyślała, że teraz będzie znacznie więcej miejsca w samochodzie. Było jej przykro, że wszyscy zawsze siadają, a ona jest jakby ponad miarę, zbędna.

- Podsumujmy zatem, do czego doszliśmy - ponaglał Antonio. - Chodziło o to, czy twój ojciec nie powiedział czegoś ważnego na temat Santiago.

- Próbowałem sobie przypomnieć - zaczął Elio z wahaniem. - Ale jedyne, co mi przychodzi do głowy, jest tak śmieszne, że chyba niegodne uwagi.

- Wszystko, co dotyczy Santiago, warte jest uwagi - rzekł Pedro cierpko. - Zapamiętamy, że uznałeś sprawę za głupią. A zatem, zaczynaj!

- Ale ja muszę pomyśleć.

Pedro nalał mu do kieliszka czerwonego wina.

- Czy tak będzie ci się lepiej myślało?

Unni zwróciła uwagę na pewną starszą kobietę, która przyszła do restauracji z dużym szklanym dzbankiem, co najmniej trzylitrowym. Podała dzbanek restauratorowi, ten zaś spokojnie ustawił naczynie pod kranem sporej, stojącej za nim beczki. Działo się to wszystko przy barze, jeszcze zanim Unni i jej przyjaciele znaleźli się na werandzie. Kobieta wzięła swoje wino i zapłaciła. Unni doznała szoku, widząc, że wino, licząc w norweskiej walucie, kosztuje trzy korony. Zastanowię się, czy by nie zamieszkać w Hiszpanii, pomyślała.

Znowu zaczęła słuchać tego, co mówi Elio.

Słowa padały z wolna.

- Kiedy byłem mały, mój ojciec, Enrico, zawsze wieczorami siadywał na brzegu mojego łóżka i opowiadał bajki. Jego ojciec też tak czynił. Siadywał na brzegu łóżka Santiago, a mój ojciec i najmłodszy brat, który miał na imię Emile, słuchali z wytrzeszczonymi oczyma. Od czasu do czasu dziadek mówił bardzo cicho, jakby tylko Santiago miał to słyszeć...

- Oj! - krzyknęła Unni, poprawiając się na krześle. - Zaczynają się chyba imiona jeszcze jednego pokolenia. Jak miał na imię twój dziadek, Elio?

Elio wyprostował się, popatrzył na nią jasnym wzrokiem.

- Mój dziadek nazywał się Felipe Navarro. Ale to on sam określił formę tego nazwiska. W wyniku bowiem jakichś konfliktów w okolicy gdzie mieszkał, zrezygnował z pełnego jego brzmienia. Urodził się jako don Felipe de Escobar y Navarra.

- A więc tu go mamy! - zawołał Antonio uradowany. - Słyszeliśmy już przedtem, że pochodzimy z wysokiego rodu.

Elio potakiwał zarumieniony z zadowolenia.

- Wiele razy zastanawiałem się, czy by nie wrócić do starego nazwiska. Ale mieszkam tak skromnie...

- Mieszkasz wystarczająco elegancko, ale takie nazwisko mogłoby narobić złej krwi, wiesz.

- No tak, wiadomo. Ale jak słyszycie, nie mam za wiele do opowiedzenia o Santiago. Bo to już wszystko.

- Pozostało jeszcze sporo - rzekł Pedro łagodnie. - Masz nam wiele do przekazania. Bajki, które dziadek opowiadał swoim synom.

- Hee? - zapytał Elio z bardzo głupią miną.

- Chcemy usłyszeć bajki twojego dziadka.

- Co? Nie, to przecież zwyczajne opowiadki.

- Nie szkodzi, my chcemy słyszeć to, co ojciec twojego ojca opowiadał swoim trzem synom. Zwłaszcza to, co szeptał Santiago.

Elio sprawiał wrażenie kompletnie zbitego z tropu.

- Ale przecież ja nie mogę tego pamiętać! Muszę pomyśleć.

- To myśl szybko! Samochód przyjedzie już niedługo.

- Czy mógłbym wyjść na dwór? Będzie mi łatwiej.

- Naturalnie! Zresztą my też już właściwie skończyliśmy. Poczekaj na nas na zewnątrz. Uważaj tylko, żeby cię nikt z drogi nie zobaczył. Zaraz przyjdziemy.

Elio wyszedł przygarbiony. Żona patrzyła w ślad za nim zatroskana.

W jakiś czas potem wszyscy siedzieli w cieniu drzewa przy ogrodowym stole. Gęste liście nie dopuszczały do nich upału.

- Staralem się to wszystko jakoś precedzić - powiedział Elio. - Usunalem rzeczy, które prawdopodobnie nie mają znaczenia, jak Kopciuszek, Czerwony Kapturek, Sinobrody i tak dalej.

- Znakomicie!

- Ojciec mi mówił, że dziadek miał swoje własne bajki. I to właśnie te staram się sobie przypomnieć.

- Wspaniale!

- No tak, ale to wszystko jest dosyć skomplikowane. Miesza się wiele różnych...

Nikt nie zwrócił uwagi, że Unni usiadła na ławce obok Jordiego. Nikt, prócz Jordiego. Unni zdawała sobie sprawę, że Jordi ma ochotę ją objąć, ale oboje wiedzieli, jakie będą konsekwencje, więc zachowali jednak parucentymetrową odległość między sobą.

Najwyraźniej za małą. Unni marzła, nie chciała się jednak do tego przyznać. Vesla sama to zauważyła i podała jej swoją bluzę.

- Za wiele to ja nie pamiętam - tłumaczył się Elio. - Ale wryły mi się głęboko w pamięć fragmenty pewnej opowieści. To jedna z tych, których Emile i jego brat mieli nie słyszeć, tylko że oni weszli pod łóżko z drugiej strony i podsłuchiwali.

- No i to właśnie chcielibyśmy usłyszeć - ponaglał Pedro.

Unni zamachała ręką.

- Przepraszam, że wciąż przerywam, ale koniecznie muszę zadać ci, Elio, jedno pytanie.

- Proszę bardzo - zgodził się Pedro. - Dotychczas twoje pytania były na ogół inteligentne, a zatem, pytaj!

Unni zawahała się.

- No więc tak, chodzi mi o twego dziadka, Elio. Tego, który się nazywał Felipe i tak dalej, bardzo pięknie. Czy on naprawdę mógł umrzeć w wieku dwudziestu pięciu lat, skoro miał trzech synów na tyle dużych, że mogli słuchać bajek, na dodatek wpełzać potajemnie pod łóżko i podsłuchiwać?

- Rozsądne pytanie - poparł ją Pedro.

Elio uśmiechnął się trochę smutnie.

- Nie, Unni, nie mógł. Bo on był, podobnie jak mój ojciec, i jak obecny tu Antonio, synem numer dwa. To jego starszy brat musiał umrzeć młodo w wyniku złego dziedzictwa. Teraz nie pamiętam, jak się ten brat nazywał, ale wiedziałem.

- Dziękuję, tylko to chciałam sobie wyjaśnić. - Unni znowu usiadła wygodnie.

- Bajka, Elio - nalegał Jordi. - Czekamy na tę bajkę, która najmocniej ci się wryła w pamięć.

- Dobrze. Będę chyba różne rzeczy powtarzał w kółko, ale tak to jest w tej historii. Było tam coś o wielkim, niebezpiecznym lesie. I w tym lesie znajdowała się wysoka góra. A we wnętrzu góry ukryty był skarb. Bardzo, bardzo, bardzo wielki skarb, którego nikt nie mógł odnaleźć i nikt nie mógł zdobyć. I było też coś o kościelnych dzwonach i o mieczu, ale wtedy dziadek odkrył, że malcy podsłuchują, i nie pozwolił im na więcej.

- Ciekawe dlaczego? - zdziwiła się Vesla. - To brzmi jak całkiem zwyczajna bajka. Sądzisz, że twój dziadek ją wymyślił?

- O ile wiem, to tak. Ale...

Spojrzał w górę, na gęste liście, jakby jego wspomnienia tam się właśnie znajdowały. Unni zauważyła jakieś ptaki wielkości drozda, fantastycznie piękne ptaki, podskakujące w trawie, prowadzące swoje wiosenne gry z takim zapałem, że barwne pióropusze lśniły w słońcu. Koncentrowała się jednak wyłącznie na tym, co mówił i robił Elio.

Długo panowała kompletna cisza.

W końcu Elio się ożywił.

- Wybaczcie mi, ale kiedy mówiłem o baśniowym skarbie, przypomniało mi się coś innego, o czym przez te wszystkie lata nie pamiętałem. O czymś, co opowiadał mój ojciec, ale to nie była baśń.

Czekali. Nikt nie odważył się go ponaglać, nikt nie spoglądał na zegarek, choć wszyscy byli trochę niespokojni. Czas szybko uciekał, ale oni musieli dowiedzieć się czegoś więcej.

- Jak wiecie, dom w Granadzie przez wiele pokoleń należał do naszej rodziny. Ale tak naprawdę dom nie pochodzi od linii Navarry, jeden z moich pradziadków wzenił się w tę posiadłość. To on pochodził z Navarry.

No oczywiście, pomyślała Unni.

- Kiedy mój dziadek, Felipe, został głową rodziny, po tym jak jego brat zmarł tak młodo, ojciec chciał przenieść siedzibę rodu z powrotem do Navarry. Santiago i mój ojciec, Enrico, byli już wtedy na świecie, ojciec jednak zwlekał do czasu, gdy chłopcy mieli po kilkanaście lat. Wtedy się tam z nimi przeprowadził.

Elio westchnął.

- Miały tam wówczas mieć miejsce straszne zamieszki, posiadłość była opuszczona i dziadek ją zajął. Jednak ktoś spoza rodziny, kto zdobył majątek przed paroma laty w lokalnej

wojnie, uznał go za intruza i rozpoczęła się awantura. Dziadek miał ze sobą swoich ludzi, tamten swoich. Niestety, przeciwnik dziadka został zamordowany. Dziadek, który był człowiekiem szlachetnym, tak się tym przejął, że postanowił się zaopiekować synem swojego wroga, pozbawionym teraz ojca. Ów syn, Emile, już wcześniej stracił matkę. Po tym wszystkim dziadek wrócił do Granady i skrócił swoje wspaniałe nazwisko. Od tej pory nazywał się Navarro.

- Do kogo teraz należy rodzinna posiadłość? - spytał Antonio.

- Nie wiem.

- A co to ma wspólnego z baśniowym skarbem? - chciał wiedzieć Jordi.

- Poczekajcie, jeszcze nie skończyłem. W czasie tych kilku tygodni, kiedy dziadek mieszkał z synami w posiadłości, którejś nocy mojego ojca, Enrica, obudziły jakieś stłumione głosy z zewnątrz. Ukradkiem wyjrzał przez okno do ogrodu. W blasku latarki zobaczył swego ojca, to znaczy mojego dziadka, Felipe, i brata Santiago pochylających się nad jakąś dziurą w ziemi. Nie mógł dostrzec jednak, jaka duża i głęboka jest ta dziura, bo widok przesłaniały mu krzaki. Zobaczył natomiast, że dziadek włożył do dziury coś ciężkiego, a potem obaj z Santiago starannie zasypali dziurę i wrócili do domu.

- Czy twój ojciec zbadał kiedyś dokładniej to miejsce? - spytał Jordi.

- No właśnie, ja też pytałem o to samo. I ojciec mi powiedział... Zaczekajcie, to było tak dawno temu! No tak, powiedział mi, że przycisnął kiedyś Santiago do muru, chciał wydobyć z niego prawdę. Santiago mówił, że... że... Co to było? Och, tak, że zakopali tam owcę, która od wielu dni chorowała i w końcu zdechła. Ale to nie była prawda. Bo po kilku dniach ojciec zobaczył tę owcę, żywą i dużo zdrowszą. To na pewno nie była tamta owca!

- A twój ojciec nie próbował wykopać tego czegoś, co tamci ukryli?

- Nie, nie zdobył się na taką odwagę. Bał się, co mógłby tam zobaczyć. Miał wtedy zaledwie jedenaście lat... O, chyba samochód już przyjechał?

Rzeczywiście, przyjechał. Mercedes i Pepe ściskali odnalezionego ojca i dziadka, witali się z señorą Navarra i przez chwilę trwało kompletne zamieszanie. Barwne ptaki odleciały.

W końcu Pedro zdołał zapanować nad sytuacją:

- Elio, gdzie leży ta rodowa posiadłość?

- We wschodniej części Nawarry, w górzystej okolicy, jak sądzę. Dlaczego pytasz?

- Musimy tam pojechać, i to natychmiast!

- Ja nie mogę - oznajmił Antonio. - Muszę wracać do szpitala. Mam samolot jutro rano.

Przez moment wszyscy stali bez słowa. Co teraz robić?

Señora Navarro próbowała szukać jakiegoś wyjścia. Poglaskała męża po policzku.

- Elio, mój drogi! Czy nie widzisz, że oni cię potrzebują? My pojedziemy teraz do Włoch, Mercedes, Pepe i ja, a ty dołączysz do nas później.

Nikt nie miał wątpliwości, że to z jej strony wielka ofiara, dopiero co przecież odzyskała męża i znowu musi się z nim rozstawać. On też poświęcał wiele.

- Chętnie pomogę - zgodził się mimo to. - Ale ja sam nigdy tam nie byłem.

- Antonio, ty wiesz dużo więcej niż my! Powinieneś zaraz powrócić z dziewczętami do domu. Elio, Jordi i ja jedziemy do Nawarry - postanowił Pedro.

Unni westchnęła boleśnie. Kąciki ust jej opadły, jakby się zaraz miała rozplakać, przedstawiała sobą obraz smutku i rozpacz. Vesla natomiast nie miała chyba nic przeciwko temu, by wrócić z Antoniem do domu.

- Bardzo już zaniedbałam mego pacjenta, Mortena - rzekła.

Jordi też był bezgranicznie rozczarowany. Wiedział, oczywiście, że najlepiej dla Unni będzie znaleźć się znowu w Norwegii. Ale rozstać się tak...?

- A zresztą nie - poprawił się Pedro, nie zwracając uwagi na rozgrywającą się obok niemą tragedię. - Nie, Unni musi z nami zostać. Nie doprowadziła jeszcze do końca sprawy z tą koszmarną mapą na skórze. Poza tym może się dla nas okazać nieoceniona z tą swoją zdolnością zagładania do tamtego świata.

Promienny wzrok Unni, kiedy spojrzał jej w oczy, trafił prosto do serca starego i udręczonego życiem Pedra. Był zdumiony jej jawną radością. Również doświadczona twarz Jordiego jaśniała niczym słońce.

- Zniesiesz to jakoś, Pedro? - spytał Antonio zatroskany.

- Muszę. Pamiętaj, że ja również wiele rozmyślałem nad zagadką mojej rodziny. Przez całe swoje życie. Utraciłem starszego brata, w końcu zostałem całkiem sam i na dodatek nie mogę mieć dzieci. Tak więc ród wymrze wraz ze mną. Tym bardziej chciałbym poznać odpowiedź. Prawdę!

- O mój Boże, lodowaty dreszcz przebiegł mi po plecach! - wykrzyknął nagle Elio i wszyscy zwrócili się w jego stronę.

- Emile - powiedział. - Emile też słyszał opowieść o skarbie.

- No właśnie, a co się stało z tym chłopcem? - zastanawiał się Jordi.

- Podobno zniknął. Miał jakoby uciec z domu mojego dziadka, zanim skończył dwadzieścia lat. Później nikt go już nie widział.

- Emile, Emilia, Emma - wyliczała głośnym szeptem Unni. - Jeśli moja teoria jest prawdziwa, to to mi wyjaśnia, dlaczego oni nas ścigają tak zaciekle. Ci ludzie polują na skarb!

- No i to brzmi jako coś w duchu Leona i Emmy - przytaknął Antonio. - Całkiem banalny pościg za skarbem. Żadna wojna mnichów z rycerzami, ich to nie dotyczy.

- Kim w takim razie jest Leon? I Alonzo?

- Alonzo to zwyczajny poszukiwacz szczęścia, jak większość członków obu band - wyjaśnił Pedro. - Podobno jest krewnym Emmy, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wszedł do tego złego rodu już wcześniej. A oto zgadywanka: Wiecie, że Emilia po zamordowaniu swojego męża, Estébana, i pozbyciu się córki, Teresy, ponownie wyszła za mąż za bardzo bogatego człowieka. Jak tylko wrócę do Madrytu, natychmiast sprawdzę w dokumentach, czy nie urodziła temu drugiemu mężowi syna, Leona, czy też może on już wcześniej był na świecie. Jako syn jej nowego męża, powiedzmy z pierwszego małżeństwa. Inaczej mówiąc, byłby jej pasierbem.

- I to jest chyba najbardziej prawdopodobne - przyznał Antonio w zamyślenia - Leon jest zaledwie dwadzieścia lat młodszy od Emilii. A nie wolno nam zapominać, że Emma i Leon prawdopodobnie są kochankami. Chyba więc nie łączy ich aż tak bliskie pokrewieństwo.

- Jeśli chodzi o Emmę, to nigdy nic nie wiadomo - mruknęła Vesla, na szczęście jednak najwyraźniej nikt jej nie słyszał.

Gorące promienie słońca przedzierały się przez koronę drzewa. Z restauracji nikt nie mógł zobaczyć grupy stojącej na tyłach domu, ukrytej przed ciekawskimi spojrzeniami. Elio wybrał naprawdę dobre miejsce.

Nagle Pedro uderzył się w czoło.

- To jasne, że wiedziałem o tym drzewie genealogicznym, zanim obaj z Jordim je narysowaliśmy - powiedział przeproszającym tonem. - Powinienem być jednak dowiedzieć się więcej o rodzinie Emmy, a ja prześledziłem tylko główne linie. Nigdy nie myślałem o złej gałęzi rodu. Taka krótkowzroczność!

- Nie znałeś ani Emilii, ani Emmy - powiedział Jordi na pociechę. - Emilia również i dla nas była kimś całkiem nowym. Ale o Leonie chyba słyszałeś?

- Tak, niestety, o nim mieliśmy okazję usłyszeć.

Unni przestała uczestniczyć w rozmowie, jej myśli krążyły wokół najbliższej przyszłości.



Będzie z Jordim, ale za to musi znowu przejść przez ten senny koszmar, przez budzące grozę wizje, jakie wywołuje skórzana mapa, jeszcze raz...

No ale sprawa jest tego warta.

Wciąż stała, pogrążona w myślach, gdy reszta towarzystwa ruszyła już do samochodów. Jordi zauważył, że Unni się spóźnia, i wrócił do niej.

- Co się dzieje, Unni?

Otrząsała się powoli i patrzyła na niego. W jego cudownie ciepłe, ciemne oczy, na rysy twarzy, które tak bardzo kochała, na silne, a mimo to takie wrażliwe wargi i impulsywnie, najzupełniej nieoczekiwanie również dla samej siebie, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta. Pospiesznie, można powiedzieć przelotnie, ale kiedy próbował ją zatrzymać, wyrwała mu się i pobiegła za innymi.

Czuła na wargach piekący lód, ale z oczu płynęły łzy niepohamowanej radości.

Kiedy już wsiadali do samochodu, napotkała spojrzenie Jordiego. Wyrażało ono bezgraniczny smutek i tęsknotę.

## JEDNOCZEŚNIE

Jedenaście czarnych postaci zebrało się na rozpalonym *meseta*., płaskowyżu La Manchy.

„Gdzie oni są, gdzie oni są? Ukrywają się!”

„Nasi beznadziejni niewolnicy stracili ich z oczu”.

„Oni wyjechali z Granady”.

„Odnaleźli jedyne go, który wie”.

„On nic nie wie. Jest głupi jak stary osioł”.

Mnisi posługiwali się w rozmowie ostrymi, gniewnymi sformułowaniami. Byli potwornie zdenerwowani.

„Przemieszczają się tymi okropnymi, poruszającymi się bez koni powozami, a my nie możemy za nimi nadążyć. Niech śmierć pochłonie ich i te ich przeklęte powozy!”

„Żebyśmy ich tylko znaleźli... to zaraz wprowadzimy w życie nasz plan”.

Zadowolone z siebie, złe uśmiechy błąkały się po ich zimnych twarzach. Czarne, głęboko zapadnięte oczy płonęły.

„Nasz plan, nasz plan! Nasza najlepsza broń. Ich nieunikniona śmierć!”

„Kiedy tylko ich znajdziemy” - zaskrzeczał jeden, zadowolony.

Najbardziej wrażliwy z całej jedenastki zmienił wyraz twarzy. Stał czujny, przebiegły. Reszta patrzyła nań uważnie.

„Nie wiem, co się dzieje - mruknął tamten. - Zdaje mi się jednak, że oni się rozdzielają na grupy. Tak, wyraźnie czuję, że rozchodzą się w różne strony”.

Inny mnich prychnął.

„Jakby nie dość tego, że przerwali więź między Hiszpanią a rym przeklętym, lodowatym krajem na północy, to jeszcze teraz jeden jedzie tu, drugi tam. Co to będzie, bracia?”

Ten wrażliwy na sygnały z zewnątrz nasłuchiwał. Rozkoszował się tym, że inni patrzą na niego z taką uwagą. Triumfował. Reszta nie bardzo miała po temu powody.

W końcu powiedział:

„Najbardziej niebezpieczny jest w jednej grupie. Pozostałymi nie ma się co przejmować”.

„No to zapomnijmy o nich! A ci niebezpieczni? Dokąd się wybierają?”

Ten, który wiedział, zwlekał z odpowiedzią, delektował się nią.

„Na północ”.

„Na północ? - zawyli wszyscy, a wiatr poniósł ich jęk ponad płaskowyżem. - Niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo!”

„Na północ? Szybko, szybko! Nasz plan! Jedyne, co może ich powstrzymać!”

Grupa rozproszyła się, by pomknąć na północ. Unieśli się z ziemi i gnali przed siebie w swoich czarnych habitach, rozpostartych na wietrze niczym groźne, złowieszcze skrzydła.

**CZEŚĆ CZWARTA**  
**KOSZMAR WE ŚNIE I NA JAWIE**

W końcu również Unni miała wygodne miejsce w samochodzie. Umościła się w swoim narożniku na tylnym siedzeniu.

Brakowało jej, oczywiście, Antonia i Vesli! Bardzo.

Drugą część tylnego siedzenia zajmował Pedro. Jordi prowadził, a Elio siedział obok niego, pełen mieszanych uczuć. Miło było tak sobie jechać w wygodnym, wielkim, pięknym samochodzie i wyrwać się nareszcie z ponurej skalnej groty, w której próbował żyć w ostatnich miesiącach. Przerażała go jednak myśl o sprawie, dla której wyruszyli w tę podróż. Muszą mianowicie odszukać posiadłość rodzinną przodków, wiedząc, że Leon i Alonzo oraz wielu członków obu band depcze im po piętach. Było mu też żal, że musiał się ponownie rozstać z rodziną, choć odczuwał ulgę na myśl, że jego bliscy będą bezpieczni we Włoszech. Martwił się tylko, jak przeżyją długą podróż.

Co do tej ostatniej troski, Pedro mógł go pocieszyć, że żadna z podróżujących osób nie interesuje specjalnie Leona i spółki. Może w jakiejś mierze Antonio, ale on jedzie przecież do Norwegii. Vesla w ogóle ich nie obchodzi, mówił Pedro, twoja rodzina też nie. Flavia spotka się z nimi na lotnisku i wszystko zorganizuje. To my jesteśmy najbardziej zagrożeni, mój kuzynie i przyjacielu.

Elio mimo woli się obejrzał. Ale nie wyglądało na to, żeby ich ktoś ścigał.

Unni odezwała się cicho:

- Pedro, czy mogę zapytać, ile ty masz lat?

- Pytać zawsze możesz - uśmiechnął się. - Ale dobrze, odpowiem. Skończyłem sześćdziesiąt.

O mój Boże, ja sądziłam, że co najmniej siedemdziesiąt pięć, pomyślała wstrząśnięta.

To sprawiło, że jeszcze bardziej pragnęła coś dla niego zrobić. Nie miała jednak okazji, wciąż tak wiele się działo.

Jechali długo. Bardzo długo. Zrobiło się ciemno. Nagle, jak to bywa na Południu. Unni zauważyła, że Pedro raz po raz zażywa lekarstwa, i głęboko mu współczuła. Mijali kilometr za kilometrem, krajobraz się zmieniał. Zatrzymywali się tylko kilka razy, i to na krótko. Nie mieli czasu do stracenia.

Ale Unni nie była zmęczona. Zachowywała przytomność umysłu, czekając w napięciu, co ich niebawem spotka.

Nocowali w dużym domu Pedra na przedmieściu Madrytu.

To chyba naprawdę ktoś bardzo ważny, myślała Unni, wkraczając do wykładanego marmurem hallu, w którym służący przyjmował polecenia od swego pana. Jordi już kiedyś w tym domu był, mężowi Mercedes siedziba imponowała tak samo jak Unni.

Ona dostała sypialnię na piętrze, miała stąd widok na miasto.

Po lekkiej kolacji Unni zdobyła się na odwagę i zapytała, czy mogłaby porozmawiać z Jordim sam na sam w bardzo ważnej sprawie. Pedro udzielił jej, oczywiście, pozwolenia i zaprosił Elia na koniak i cygaro do gabinetu, urządzonego obijanymi skórą meblami i w ogóle z wielkim przepychem.

- Przyjdźcie potem do nas - zawołał Pedro za dwójgim młodych, którzy za jego radą schodzili w dół, nad rzekę, płynącą na krańcach jego ogrodu. Tam mogli spokojnie porozmawiać, przez nikogo nie niepokojeni.

Unni uważała, że miejsce jest znakomite. Z domu nie mogli być widziani, a na drugim brzegu rzeki rozciągał się park. Wielkie tuje dochodziły aż do wody.

Naprawdę nikt nie mógłby ich tu zobaczyć.

Niskie, dyskretnie rozmieszczone latarnie oświetlały ogród. Rzeka płynęła bezszelestnie, od strony wody nie dochodził żaden dźwięk.

- Co się stało, kochanie? - spytał Jordi z łagodnym uśmiechem. Ten jego ciepły, głęboki głos sprawił, jak zawsze, że pod Unni ugięły się kolana.

Wciągnęła powietrze i wyrzuciła z siebie:

- Ja muszę porozmawiać z rycerzami.

- No właśnie, mówiłaś już o tym. Ale wiesz, że tylko ja mogę nawiązać z nimi kontakt.

- Toteż dlatego teraz z tobą rozmawiam, głuptasie - rzekła trochę żartobliwie, ale też z odrobiną zniecierpliwienia. - Rycerze dali ci pięć lat. W jakimś sensie uratowali cię od śmierci, prawda? Przywrócili cię do życia.

- Masz rację, tak jest.

- Czy nie mógłbyś się do nich zwrócić, żeby przywrócili zdrowie Pedrowi? - poprosiła gorączkowo. - Bóg wie, że i my, i rycerze go potrzebują.

Jordi był poruszony.

- To prawda, potrzebujemy go, ale... Czy oni są władni coś takiego uczynić?

- A poza tym to wspaniały człowiek. On i Flavia bardzo się kochają. Czy nie mógłbyś porozmawiać szczerze z don Federico, przodkiem Pedra? Tak strasznie bym chciała!

Jordi patrzył na nią z czułością we wzroku. Hiszpańska noc była czarowna z tą swoją miękką, łagodną ciemnością.

- Nie sędzę, byśmy mogli nalegać na rycerzy zbyt mocno. Ale oczywiście, masz rację. A przy okazji, czy pomyślałaś, że gdyby Pedro ożenił się z Flavią, to byłby ojczymem Mortena?

Zastanawiała się przez chwilę. Ojciec Mortena ożenił się po raz drugi z Flavią. A po jego śmierci Flavia... być może wyjdzie za Pedra. No cóż.

Unni poczuła ból w sercu. Mała Sigrid, nieszczęsna, samotna matka Mortena, została jak zawsze poza wszelkim zainteresowaniem.

- Zaniosę kwiaty na jej grób - oznajmiła Unni spontanicznie.

Jordi bez trudu podążał za tokiem jej myśli.

- Tak, oboje to zrobimy. Po powrocie z Hiszpanii pojedziemy do Selje.

Lewa ręka Unni dotknęła mimo woli jego prawej dłoni

- Dziękuję.

Jordi spoglądał na nią. Długo. Z prawdziwym wysiłkiem puścił w końcu jej dość już zmarzniętą rękę.

- Chyba spróbuję wezwać rycerzy.

- Teraz?

- Teraz. Czy nie tego chciałaś?

Unni głośno przełknęła ślinę.

- Chciałam, oczywiście. Dziękuję!

Czuła, że blednie. Wszystko stało się tak szybko, ale chwila była cudowna.

- Zostań tutaj - poprosił Jordi cicho.

Patrzyła, jak jego sylwetka znika na ścieżce nad rzeką.

Unni czekała. Chyba rycerze nie przybędą, sprawa jest przecież taka nieistotna.

Dlaczego mieliby się przejmować jej wzruszeniami? A może ona oczekuje zbyt wiele?

Nagle Unni drgnęła gwałtownie, jakieś cienie przesłoniły jej widok. Konie. Pojawiły się bezszelestnie, przerażająco wielkie, z połyskującymi w ciemnościach, jarzącymi się oczyma. Takie dzikie oczy miewają zwierzęta przestraszone.

Rycerze zsiadli z koni. Unni ukloniła się głęboko. Jordi znajdował się po tej samej stronie co ona. Zimny jak Śmierć, ale obdarzony najgorętszym sercem, co do tego nie miała wątpliwości.

Witała rycerzy, każdego z osobna:

- Don Federico. Don Galindo. Don Ramiro. Don Sebastianie, mój przodku, dziękuję, że mogłam się urodzić. Don Garcia...

- Bardzo dobrze to przyjęli - mruknął Jordi. - Ze pamiętasz ich imiona. Przedstawiłem im twoją prośbę, a oni chcieli cię spotkać.

Stary jak świat rycerz don Federico wystąpił naprzód. Unni znowu dygnęła. Oczy miała wielkie ze strachu. Rany boskie, nie tak blisko! Uff!

Jordi przetłumaczył:

- Don Federico mówi, że twoja prośba została przyjęta łaskawie. Teraz rycerze dyskutują, co zrobić.

Unni starała się możliwie jak najbardziej skulić, stać się mniejsza. Bo chociaż ona sama była ledwie średniego wzrostu, to don Federico jej nie przewyższał. Unni nie chciała zaś, żeby poczuł, iż ktoś nad nim góruje. To ostatnia rzecz, jakiej mógłby sobie życzyć średniowieczny hiszpański rycerz.

Miała szczerą nadzieję, że jej myśli nie docierają do niezwykłych gości.

Drżącym głosem poprosiła:

- Powiedz im, że żywię dla nich wielki szacunek a także, żeby mi wybaczyli, jeśli zwracam się o niemożliwe.

Jordi „przetłumaczył” bezgłośnie.

Martwe oczy don Federica rozbłysły.

- Oj! - zaniepokoił się Jordi. - To dopiero...!

I wytłumaczył Unni:

- Oni mówią, że nic nie jest dla nich niemożliwe.

Zrozumiała, że uraziła ich dumę. A może... Może ich pychę? Albo może to, co powiedziała, wcale nie było takie głupie? Czy potraktowali jej słowa jako wyzwanie? Mężczyźni wszech czasów z trudem się czemuś takiemu przeciwstawiają. Czyżby i ci także?

Chyba tak, bo wszyscy kręcili się niespokojnie.

Unni czekała przestraszona. Jeśli to jeszcze potrwa, to gotowa jestem całkiem stracić panowanie nad sobą. Zacznę płakać albo co. Pomocy!

W końcu rycerze zwrócili się do niej. Tym razem przemówił „jej” rycerz, don Sebastian de Vasconia; spojrzenie miał surowe.

Jordi przetłumaczył jego myśli:

„Ponieważ don Pedro de Verin y Galicia y Aragón poświęcił dla naszej sprawy znaczną część swego życia i ponieważ posunęliście się już bardzo daleko, gotowi jesteśmy okazać łaskę i poprawić jego słabowite zdrowie”.



Unni stłumiła podejrzenia, czy rycerze naprawdę są w stanie tego dokonać. Są! Na pewno! To ludzie honoru, a poza tym chcą pomagać!

- Dziękuję! - wykrzyknęła. Już chciała uściskać swego przodka, ale zdążyła się w porę opanować, choć stało się to dosłownie w ostatniej chwili. Podziękowała bardzo pięknie, podeszła tak blisko rycerza, że mogła spojrzeć w jego straszną, przypominającą śmierć twarz.

- Dziękuję, don Sebastianie! I wszystkim pozostałym rycerzom także dziękuję ze szczerego serca. To wielka łaska z waszej strony!

Rycerze uśmiechali się cierpko. I wtedy Unni o mało nie zepsuła wszystkiego.

- Ale ja mam jeszcze jedną małą prośbę! - zawołała.

- Unni! - jęknął Jordi przerażony.

Rycerze, którzy już mieli dosiadać koni, spojrzeli na niego z twarzami pociemniałymi z gniewu niczym burzowe chmury. Jak ona śmie?

- Mów szybko - prosił Jordi. Był wstrząśnięty jej zachowaniem i całkiem po prostu się bał.

Unni odchrząknęła, nogi nie chciały jej dźwigać:

- Czy Jordi musi nadal być taki strasznie zimny? Wiecie dobrze, jakie głębokie uczucia dla niego żywię, i oboje bardzo cierpimy z tego powodu, że nie możemy być razem. A przecież współpracujemy oboje nad rozwiązaniem zagadki.

Przodek Jordiego, don Ramiro de Navarra, rzekł krótko:

„Jordi dostaje pół godziny. Sam określi, kiedy to będzie”.

Potem wskoczyli na siodła, zawrócili konie i odjechali bezszelestnie.

Jordi odetchnął głośno.

- No, mało brakowało! Ale dziękuję ci, że się odważyłaś! Tę chwilę musimy wybrać bardzo starannie.

Ruszyli wolno w stronę domu.

- Czy w tamtych czasach ludzie naprawdę się znali na zegarach? - spytała Unni sceptycznie.

- Oczywiście! Mieli nie tylko klepsydry i zegary słoneczne. Pierwsze próby skonstruowania mechanicznego zegara podjęto już około roku tysięcznego, a w wieku czternastym ludzie posługiwali się wspaniałymi, wielkimi zegarami z ciężarkami i zębatymi kółkami. Znano dobrze podział na godziny, dni, miesiące i lata, a nawet fazy księżyca. Nie mieli tylko wskazówek sekundowych, te wynaleziono dopiero w siedemnastym wieku.

- Ach, tak? - dziwiła się Unni. Potem pomyślała chwilę i powtórzyła słowa Jordiego:

- Tę chwilę musimy wybrać bardzo starannie.

## JEDNOCZEŚNIE

Unni leżała w swoim bardzo wygodnym łóżku i myślała o czymś, co się wydarzyło po drodze, na południe od Madrytu, między Tembleque i Ocaña. Było to coś przerażającego, Unni doznała szoku.

Ale nie znała dokładnie przebiegu wypadków, nie mogła przecież wiedzieć, co przeżyła druga strona. Jeśli można w tej sytuacji używać słowa „przeżyła”...

„Dalej, czarni bracia, dalej. Oni są bardzo blisko. Nadciągają z szybkością wiatru!”

„Na dół! Na dół, na tę białą, szeroką drogę! Zatrzymajmy ich! Zamordujmy!”

„Oto ich mamy!”

Jedenastu oddanych sług inkwizycji ustawiło się w poprzek autostrady. O tak późnej porze ruch był niewielki.

Odbierający sygnały ze świata mnich zwietrzył zbliżanie się wrogów. Wszyscy widzieli błyszczące ślepie powozu, który poruszał się bez koni, a teraz zbliżał się do nich bardzo szybko.

„Zaraz ich będziemy mieć, bracia! - powiedział, zaciskając wargi. - Tym razem już nam nie umkną!”

Z ponurymi twarzami, zdecydowani i pewni zwycięstwa mnisi stali w świetle latarni niczym czarny mur, tylko twarze mieli białe i głowy ogolone. Zastępowali drogę nadjeżdżającemu samochodowi.

Tylko dwoje z pasażerów, Unni i Jordi, oboje skazani na śmierć przez złe dziedzictwo, widzieli, co się dzieje. Jordi jednak kompletnie ich zlekceważył, po prostu mocniej przycisnął gaz.

Mnisi czekali z triumfującymi minami.

FLUMMM - zaszumiał samochód i już był za nimi.

„Oni przez nas przejechali” - zawołał jeden z mnichów oburzony.

Inni nie znajdowali słów.

Żaden nie zdołał ruszyć w szaleńczy pościg.

W samochodzie natomiast siedziała Unni i rozcierała ręce, żeby je rozgrzać. Dygotała po nieprzyjemnym przeżyciu. Elio i Pedro również.

- Co to było? - dopytywał się Elio, który niczego nie widział. - Nagle miałem takie uczucie, jakby mnie dusiła czyjaś niewidzialna ręka.

- Ja odczuwałem dokładnie to samo - potwierdził Pedro. - Jakby samo zło weszło do samochodu. Na szczęście to bardzo szybko minęło.

Elio był niezmiernie dumny, że on i Pedro doznali takich samych przeżyć, a on potrafił to właściwie wyrazić. W sposób, który Pedro potwierdził.

- To byli mnisi - oznajmił Jordi sucho. - Próbowali nas złapać. Dzięki samochodowi uniknęliśmy najgorszego, ale nie podoba mi się, że oni tutaj są, że nas znaleźli.

Unni leżała w łóżu z baldachimem, jedwabne falbanki zdobiły jego brzegi. Wspomnienie spotkania z mnichami budziło w niej wstręt.

Ci mnisi wszystko dodatkowo komplikują. Czy nie dość już tego, że Alonzo i jego banda depczą nam po piętach?

Ani ona, ani jej przyjaciele nie wiedzieli, że Leon i Emma przyjechali do Hiszpanii, i że również oni ich szukają coraz bardziej zdenerwowani, w coraz większym stresie.

Unni myślała o tym, co powiedział Jordi. Że rycerze ostrzegali go przed mnichami, którzy podobno szykują coś okropnego.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz, w piersi narastało rozbawienie:

Ciekawe, jak się czuli mnisi, kiedy nowoczesny samochód ich tak zlekceważył? Czy pootwierali usta ze zdumienia i oburzeni przestępowali z nogi na nogę?

Miała nadzieję, że tak właśnie było.

Następnego ranka spali do późna. Uważali, że zasłużyli sobie na to. Zresztą zmęczenie też dawało im się we znaki, dzień wczorajszy był bardzo długi, wymagający i bogaty w wydarzenia. A na dodatek odbyli meczącą podróż.

Poza tym rozkosznie było spać w takich luksusowych warunkach.

Wyruszyli w dalszą drogę dopiero, gdy słońce osiągnęło najwyższą pozycję na niebie, a samochód w ogóle nie rzucał cienia. Skierowali się na północny wschód, ku Saragossie. Wykąpani, wyświeżeni, najedzeni i gotowi na spotkanie nowych przygód.

- Czuję się dzisiaj niezwykle dziarski - powiedział Pedro ze zdumieniem w głosie. - Niemal jak w dawnych czasach.

Unni przyjrzała się ukradkiem jego dłoniom. No i patrzcie! Paznokcie nie są już takie sine, a opuszki palców chorobliwie białe. W oczach Pedra było życie, a twarz wyglądała znacznie zdrowiej niż kiedykolwiek przedtem.

Unni popatrzyła jeszcze na jego uszy. Lekki obrzęk wskazujący na kłopoty z krążeniem i złą pracę serca ustąpił. Unni westchnęła cicho, z wielką ulgą.

Wciąż jeszcze nie miała odwagi w to wierzyć, ale jeśli dalej też tak będzie, to musi podziękować rycerzom.

No i, jeśli Pedro zostanie uzdrowiony, to może ona spędzi z Jordim te darowane pół godziny i nie nabawi się odmrożeń. Będą mogli się obejmować i przytulać, może nawet całować jak należy, szeptać te wszystkie miłosne wyznania, które w obojgu płoną... Chodzi tylko o to, by owe pół godziny dobrze zaplanować.

Ale potem?

Głęboki smutek ogarnął Unni.

Z pełnych gorczy rozmyślań wyrwał ją głos Elia.

- Ja myślałem - oznajmił i Unni ledwo się powstrzymała, żeby nie zawołać „Gratuluję!”. - Ja myślałem długo o tym imieniu. To znaczy o imieniu starszego brata mego dziadka. Tego dotkniętego przekleństwem.

- No i co? - zapytał Jordi. - Gdybyś sobie przypomniał, to by to było dla nas bardzo ważne. Staramy się wypełnić nasze drzewo genealogiczne najlepiej jak można. Wyjaśnić wszystkie pokrewieństwa z przeszłości.

- Nie sędę, żeby to było absolutnie konieczne - wtrącił Pedro. - Ty, Jordi, masz przecież kontakt z rycerzami. Może jednak mimo wszystko? Może ktoś, w jakimś pokoleniu wiedział coś więcej? No i co, Elio? Przypomniałeś sobie to imię?

- Prawie. To się zaczynało jakoś tak jak Crist... Cristóbal, Cristófol albo podobnie. Przez cały czas jednak nie opuszcza mnie poczucie, że coś jest nie tak.

- Ale dlaczego? - spytał Pedro. - Czy twój dziadek nie był bratem numer dwa?

- Był, ale... Że też człowiek może mieć taką marną pamięć.

- Moim zdaniem nie jest z tobą tak źle - pocieszał go Jordi.

Unni próbowała mu pomagać.

- Może Christoffer? Jak Kolumb?

Elio odwrócił się ku niej.

- Po hiszpańsku on się nazywa Cristóbal Colón. Nie, to jest coś innego...

Elio znowu pogрузzył się w rozmyślaniach.

- Ty czegoś nie wiesz na temat ojca twojego dziadka, prawda? - spytała Unni, próbując jakoś sobie zająć czas podróży. To było jej ulubione zajęcie podczas wszystkich podróży, które ostatnio odbywali - starała się wiązać terażniejszość z przeszłością, by łatwiej znaleźć odpowiedź na wszystkie aktualne problemy.

Elio potrząsnął głową. Prawie słyszeli, jak natęży umysł i stara się uruchomić swoją pamięć.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu. Jordi był dobrym kierowcą, trzeba też przyznać, że hiszpańskie drogi są znakomite, momentami zdawało się, że samochód płynie ponad ziemią.

- Ze też ja muszę być ostatnim, który został przy życiu - poskarżył się nagle Elio.

- Nie masz już ani braci, ani sióstr? - spytał Jordi.

- Nie, ja...

Zamilkł.

- Co takiego, Elio?

- Powiedziałaś sióstr... Siostra, *Madre de Diós*, do jakiego stopnia głupim można być?

- No teraz będziesz musiał wytłumaczyć dokładniej.

- Starszy brat dziadka Felipe nie był żadnym bratem. Ona miała na imię Cristina!

- No, w końcu jakaś nieszczęsna kobieta, która musiała umrzeć młodo - zauważyła Unni. - Mam nadzieję, że nie cierpiała. Nie, wiecie co? Naprawdę musimy przełamać to przekleństwo!

Jordi się uśmiechnął.

- Czy właśnie nie o to się staramy ze wszystkich sił?

- Tak jest, ale teraz odczuwam jeszcze większą wolę walki. Musimy to nareszcie doprowadzić do końca! Zarówno ze względu na ciebie, jak i ewentualne dzieci Antonia, nie mówiąc już o mnie samej...

Przed nimi ukazała się długo wypatrywana stacja benzynowa. Jordi skrzyknął, żeby zatankować. Unni wysiadła rozprostować nogi. Podeszła do Jordiego i powiedziała cicho:

- Czy też widzisz, że Pedro jest zdrowy?

- Zwróciłem na to uwagę - mruknął w odpowiedzi. - Żeby tylko to było trwałe! Mam nadzieję, że w jego przypadku nie będzie to też tylko pół godziny.

Jego słowa przeraziły Unni. Postanowiła uważnie obserwować Pedra przez cały dzień. O Boże, nie zniosłaby nawrotu choroby!

- Cudownie jest tak podróżować - stwierdził Jordi. - Latając samolotami nigdy byśmy nie zobaczyli takiej wspaniałej Hiszpanii.

- No właśnie - odrzekła nie bardzo przytomnie, bo oto wpadła jej do głowy pewna myśl. Przypomniało jej się mianowicie, co kiedyś powiedziała Emma: „Czy mężczyzna wkładający końcówkę węża od dystrybutora benzyny do baku nie wygląda szalenie seksownie?” I oczy jej się wtedy zaszklily jakoś tak wstrętnie.

Wtedy Unni nie widziała w tym nic seksownego, a uwaga była typowa dla Emmy. Teraz jednak, kiedy patrzyła na Jordiego, nabierającego benzynę, przypomniała sobie te słowa, przeniknął ją rozkoszny dreszcz. Nie z powodu tego, co widziała, tylko ze względu na skojarzenia, jakie w niej wywołały słowa Emmy.

Ta myśl prześladowała ją w dalszej podróży.

Była wstrząśnięta, uświadomiła sobie, jaka jest niewinna w swoim stosunku do swojego bohatera Jordiego. Oczywiście w różnych marzeniach i fantazjach zastanawiała się czasami, jak on jest zbudowany pod tym swoim prostym ubraniem, ale był dla niej kimś tak niezwykłym, tak niezmiernym bohaterem właśnie, raczej aniołem stróżem i rycerzem na białym koniu niż normalnym człowiekiem.

Teraz dotarło do niej z całą mocą, że Jordi jest też mężczyzną. I to bardzo przystojnym mężczyzną.

Jestem szalona, szalona, myślała. Kochać lodowato zimnego, naznaczonego śmiercią raczej cienia niż człowieka, to jedna sprawa. Ale marzyć o tym, żeby przeżywać z nim coś więcej, to naprawdę szaleństwo!

Na szczęście jej zmysłowe napięcie zostało przerwane przez Pedra. Powoli się uspokajała, słuchając, jak on mówi do Elia:

- Czas już chyba, żebyś nam wyjaśnił bliżej, gdzie się znajduje owa posiadłość rodu.
- Otóż to - bąknął Elio z przedniego siedzenia. - Tak właśnie myślę przez cały czas.

Próbuję coś odtworzyć w pamięci.

W samochodzie zrobiło się cicho. Wszyscy chcieli, by Elio mógł się zastanawiać w spokoju.

Unni i Jordi ustalili, że nic na razie nie powiedzą Pedrowi o pomocy rycerzy. Chcieli się przekonać, czy poprawa jego stanu zdrowia się utrzyma. Na szczęście on wciąż był zadowolony, ożywiony i poczucie humoru mu dopisywało. Zmiana była taka wyraźna, że nawet Elio dostrzegł różnicę.

Zauważali teraz, że zbliżają się do Pirenejów. Pojawiały się pierwsze górskie masywy, wznosili się nieustannie w górę, choć oczywiście raz pokonywali stromizny, a po chwili zjeżdżali w doliny, w sumie jednak byli coraz wyżej i krajobraz się zmieniał. Pedro postanowił, że nie powinno się tracić czasu na podróżowanie do Saragossy w Aragonii, ale trzeba pojechać na skróty, prosto ku granicom Nawarry. Drogi były tu wprawdzie gorsze, ale mogli jechać przez wsie i miasteczka, a to wszystkim odpowiadało.

Unni zwróciła uwagę, jak bardzo zmienia się styl architektury w miarę, jak się posuwają ku północy. Niemal niezauważalne białe wioski Południa były zastępowane przez skupiska starszych, szarobrunatnych domostw, zawsze ze strzelającą w niebo kościelną wieżą. Albo z zamczyskiem na szczytach wzgórz. Domy budowano w nieco solidniejszym stylu niż w Andaluzji. Były cięższe i jakby trochę ponure. Ale też piękne. Unni rozkoszowała się widokami.

Kiedy znaleźli się znowu na głównej drodze państwowej, tuż przed miejscowością Tudelo, Elio doznał rozjaśnienia pamięci.

- Teraz, kiedy patrzę na te zamki, przypominam sobie coś, o czym opowiadał ojciec. Że mijali po drodze jakiś upiorny widok. Wioskę z kościołem i ruinami starego zamczyska, wznoszącymi się wysoko na skałach i wyglądającymi, jakby wszystko pochodziło z innego świata... no, jakby z bajki o czarownikach. Wieś miała dziwną nazwę. Coś jakby akk i ve, oi i... uff, sam już nie wiem.

- Aha! - zawołał Pedro. - Ujnë (wymawia się Ohoe). - Tak, z daleka może to przypominać miasteczko duchów. Unni, poproszę twoją wspaniałą mapę.

Unni z wielką dumą podała mapę, jakiej nikt nie miał. Pedro przeglądał ją dosyć długo, a potem rozłożył stosowny arkusz.

- Tutaj mamy tę miejscowość - oznajmił zadowolony. - Jordi, musimy przed Tudelo skrócić na Pampelunę, dzięki temu znajdziemy się na bocznej drodze.

- Czy teraz już jesteśmy na terytorium Nawarry? - spytała Unni.
- Tak jest. I to od jakiegoś czasu.
- No i jak, Jordi? - spytała Unni odrobinę zaczepnie. - Czujesz, że jesteś w domu?
- Bezsprzecznie - odparł ze śmiechem.

Popatrzyła na jego ręce, trzymające kierownicę. Były silne, pocięte żyłami. Znowu przeniknął ją ten dotychczas nieznaną słodki dreszcz.

- Przypominasz sobie coś więcej, Elio? - chciał wiedzieć Pedro.

- Nic ponadto, że krajobraz był tam raczej dziki oraz że posiadłość leżała dość wysoko, przed nią zaś rozciągała się równina. Tak mówił ojciec. On mówił jeszcze, że... Ech, jak to było? Że domostwo było nieco samotne. Można bowiem przypuszczać, że taka wielka posiadłość będzie otoczona mnóstwem mniejszych domów i gospodarstw, ale ojciec mówił, że nic podobnego. I las coraz bardziej zbliżał się do siedziby. No ale od tamtej pory minęło mnóstwo czasu.

- Były to lata siedemdziesiąte dziewiętnastego wieku - wtrącił Jordi. - To rzeczywiście trochę czasu. I mówiłeś, że mieszkał tam przedtem ktoś inny, prawda?

- Tak, ten który później na nas napadł, bo chciał majątek odzyskać siłą. On zginął, jak mówiłem, a jego syn, Emile, był wychowywany przez dziadka Felipe i później uciekł. Nikt nie wiedział dokąd.

- To znaczy, że po tych wszystkich wydarzeniach posiadłość była pozbawiona właściciela?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Ojciec jej nie chciał, ponieważ zabił tam ojca Emile. Nie, nic więcej nie wiem.

- A nie wiesz przypadkiem, jakie nazwisko nosił Emile?

- Pojęcia nie mam. To się przecież działo na długo przed moim urodzeniem.

- Oczywiście! No, cóż, i tak sporo nam pomogłeś - powiedział Pedro i Elio odetchnął uszczęśliwiony.

Ponieważ wyruszyli w drogę po południu, postanowili, że nie będą przed nocą szukać posiadłości, i Pedro znowu wszystkich zaskoczył. Zafundował mianowicie całemu towarzystwu nocleg w parador w miasteczku Olite. Parador to są stare zamki, pałace i inne znamienite budowle, które Hiszpanie przekształcili w hotele dla zamożnych turystów. Parador w Olite to stary zamek, który był siedzibą władców Nawarry. Zamek leży pośrodku miasteczka i rozciąga się z niego wspaniały widok na równinę.



Unni chodziła po urządzonych w średniowiecznym stylu salach zamczyska i z przejścia prawie nie mogła oddychać. Pedro zaprosił ich na obiad, ale zostało jeszcze trochę czasu, mogła się więc rozejrzeć.

W jednej z sal doznała szoku. To prawda, że szukała Jordiego, ale nie przyszłoby jej do głowy, że zastanie go pogrążonego w „rozmowie” z jednym z rycerzy. 2 własnym przodkiem, młodym don Ramiro de Navarra.

Rycerz zauważył Unni, wobec tego uklonił się uprzejmie i zniknął.

- Jordi, przepraszam... - pisnęła. - Ja nie wiedziałam...

- Nic nie szkodzi, już skończyliśmy - odparł łagodnie.

- A wolno zapytać, o czym rozmawialiście? Choć może rozmawialiście, to nie za bardzo odpowiednie słowo.

- Oczywiście, że możesz. To żadna tajemnica. On się pojawił nieoczekiwanie, a ja zapytałam, czy tu mieszkał. „Służyłem” odpowiedział mi. „Jako rycerz”. Poprosiłem go o pomoc w odnalezieniu posiadłości, którą, jak się okazało, dobrze zna. Otrzymałem dokładny opis drogi.

- To wspaniale! - zawołała. - Dzięki temu nie będziemy musieli rozpytywać, ani szukać na własną rękę.

- Tak - zgodził się Jordi, ale nie sprawiał wrażenia specjalnie zadowolonego. Twarz miał ponurą. - On mnie ostrzegł, że mnisi coś szykują. Rycerze jednak będą z nami. Unni... on wyraził pewne pragnienie.

- Tak? - spytała, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

- Chce, żebyś dziś wieczorem jeszcze raz przeszła przez senny koszmar.

- Tak myślałam - wykrztusiła żałośnie. - A nie powiedział, że jest z nas dumny?

- Nie - odparł Jordi z uśmiechem. - Nie wątpię jednak, że jest.

## JEDNOCZEŚNIE

- Oni podążają na północ - powiedział wściekły Leon swoim towarzyszom: Emmie i Alonzo. - Otrzymałem wiadomość.

Emma popatrzyła na niego zawistnie. Dlaczego ona nigdy nie ma kontaktu z mnichami? Uwiodła by ich, jednego po drugim - cóż za podniecająca myśl! - a potem owinęła każdego wokół małego palca. I wtedy pościg nabrałby tempa!

Tymczasem teraz kręcą się po *tej* Granadzie bez celu i pożytku.

Leon jednak miał oczywiście swoje wyjątkowe przywileje. Ona nigdy takich nie otrzyma.

- Na północ, to szerokie określenie. Nie podali żadnych szczegółów?

- Jeśli nie zamierzają wrócić samochodem do Norwegii, w co raczej nie wierzę, to wygląda na to, że są w drodze do Aragonii lub Nawarry, być może do Kraju Basków. Wzięli kurs na Saragossę.

- Mają nad nami wielką przewagę - zauważył Alonzo.

- Istnieją przecież samoloty!

- No to... na co czekamy? - spytała Emma.

Alonzo wezwał gestem swoich ludzi. Wszyscy razem wyruszyli na lotnisko.

Przy obiedzie Pedro był w znakomitej formie. Rzuciło się w oczy, że to człowiek światowy i najwyraźniej znany w całym kraju. Na obsługę narzekać nie mogli. Uprzejma, gotowa na każde skinienie, ale dyskretna. Cała grupa odnosiła wrażenie, że zasiada przy stole dla honorowych gości.

Wszystko tu było niezwykle i wspaniałe. Wiadomo, że twierdza została odrestaurowana, ale zachowano wierność historii i dobry smak. Wnętrza urządzone w stylu hiszpańskim, z ciężkimi, ciemnymi meblami i bardzo oszczędną dekoracją ścian. Wino i szczególnie atmosfera wprawiły przybyszów w promienny humor. Znajdowali się poblizu znanego ze znakomitych win dystryktu Rioja, oczywiste więc, że serwowano im wszystko, co najlepsze w tej okolicy. Kolejna butelka jednak, którą zamówił Pedro, pochodziła z Nawarry i być może Unni miała barbarzyński smak, jeśli chodzi o wina, ale ona uważała, że to smakuje conajmniej tak samo wspaniale.

Pedro kręcił głową jakby z niedowierzaniem.

- Nie mogę zrozumieć, co się stało, że czuję się tak dobrze. Jakby mi nic nie dolegało. O tej porze dnia zwykle nie nadaję się już do życia.

I wtedy Jordi, który wprost nie mógł oderwać wzroku od Unni, wyznał, że rycerze obiecali przywrócić go do zdrowia.

Wpływowy pan siedział przez chwilę w milczeniu.

- Czary? - westchnął po chwili. - Tak, tylko to mogło mi pomóc. - A potem dodał nieco już mniej dramatycznie: - Gdy tylko wrócę do domu, zaraz dam się przebadać moim lekarzom.

- Świetnie - ucieszył się Jordi. - My też chcielibyśmy wiedzieć, czy to trwała poprawa.

- Jeśli wszystko skończy się dobrze, to musisz podziękować rycerzom. Ale już teraz wierzę, że tak będzie. Czuję się znowu jak w latach młodości.

- I wyglądasz dwadzieścia lat młodziej - rzekł Jordi.

Pedro odpowiedział uśmiechem i wznosił kolejny toast. Unni poczuła, że głowa zaczyna jej ciążyć.

Dlatego jej przerażenie nie miało granic, gdy Jordi i Pedro poinformowali, że dzisiejszej nocy powinna spać z magicznym kawałkiem skóry pod poduszką. Koniecznie dzisiaj. Później mogłoby już nie być na to czasu.

- Ale przecież ja piłam wino!

- To może nawet być z pożytkiem - pocieszył ją Pedro. - Może dzięki temu wizje nie będą cię aż tak przerażać.

Ona jednak miała wątpliwości.

- Pedro i ja będziemy przy tobie czuwać - obiecał Jordi. - Pewnie pamiętasz, kiedy pilnowałem cię tylko ja, nie skończyło się to zbyt dobrze.

Jakby mogła zapomnieć, jak płakała w jego ramionach i przemieniła się w bryłę lodu, a on do niej przemawiał i nawet tego nie zauważył.

Elio był oszołomiony długą podróżą i wspaniałym winem. Zbyt wiele dramatycznych wydarzeń spadło na raz na głowę nieszczęsnego człowieka, który ostatnie miesiące spędził w samotności i ukryciu. Spotkanie z rodziną. Zaraz potem kolejne rozstanie. Podróż do Madrytu, noc we wspaniałej rezydencji, teraz tutaj... Nie, Elio chciał spać.

- Ale jutro będę z wami - zapewnił z wielkim przekonaniem. - Odwiedzimy dwór mojego dziadka.

No, nie takie to pewne, czy naprawdę dwór dziadka. Felipe zaczął dochodzić swoich praw i został wyrzucony, tak wygląda prawda.

Ale był taki czas, że dwór naprawdę znajdował się w posiadaniu rodziny.

- Jeszcze jedno pytanie, zanim pójdziesz do siebie - powiedział Pedro, stojący we wspaniałym, sklepionym hallu. - Czy Emile widział, jak twój dziadek i Santiago zakopywali tę nieznaną rzecz?

- Nie - odparł Elio. - Nie mógł widzieć, bo to było przed jego przybyciem do dziadka. Nie mógł niczego widzieć, a dziadek też nic mu nie powiedział.

- No to zawsze jakiś plus - mruknął Pedro i pożegnał Elia, który wolno ruszył schodami na górę, do swojej wspaniałej sypialni, gdzie czuł się kompletnie nie na miejscu.

- Ale Emile słyszał bajkę - rzekł po chwili Pedro zatroskany. - Pytanie tylko, czy zapamiętał z tego więcej, niż Enrico, ojciec Elia?

- Raczej nie wydaje mi się - mruknął Jordi. - W przeciwnym razie dlaczego jego krewni mieliby nas ścigać z taką zaciekłością?

- Chyba masz rację. Oni myślą wyłącznie o skarbie i uważają, że my też tylko skarbu szukamy. Dlatego chcą się pozbyć wszelkiej konkurencji.

- Ale teraz...? - Pedro stał przez chwilę w zadumie. - Sądzę, że teraz nie zamierzają nas już wymordować. W każdym razie nie natychmiast. Sądzę, że oni się domyślają, iż jesteśmy na tropie czegoś innego i dzięki temu możemy ich doprowadzić do skarbu. Ale skarb nie jest naszym celem, więc mogą się przeliczyć.

- No, a potem? - spytała Unni. - Kiedy nie będzie już z nas pożytku? Oni znowu podejmą swój morderczy pościg, prawda?

- Owszem, trzeba się z tym liczyć.

- Ale właściwie - wtrąciła Unni z niecierpliwością - ta cała historia ze skarbem jest przecież jedynie domysłem z naszej strony. Baśnią, dziecięcą opowiastką „Za siedmioma lasami, za siedzioma górami...” i tak dalej. Nic więcej nie ma, no nie?

Pedro uśmiechnął się łagodnie.

- Czy takie bajki opowiada się zwykle dwunastolatkom? Pamiętaj, że pozostali chłopcy podsłuchiwali, nastawiając uszu. Musiało im się wydawać, że coś się kryje za słowami na pozór zwyczajnej bajki. My przecież nie słyszeliśmy całej opowieści. Elio też nie. Santiago był wyjątkowy. I to, że jego ojciec siadywał na krawędzi łóżka i właśnie jemu opowiadał dziecinną historię, musi coś znaczyć.

- Zastanawiam się, co też oni mogli zakopać? - powiedziała Unni.

- Tak, ja też się nad tym zastanawiam - westchnął Pedro. - Żeby nam się tylko udało to odnaleźć!

Unni leżała w swoim ogromnym łóżu i wpatrywała się w grubą belkę u sufitu. Z dreszczem grozy myślała o tym, co się musiało niegdyś dzieć w tym zamczysku. Co ona wie o historii Nawarry?

Niewiele. Ten zamek to bardzo stara królewska twierdza. Później wzniesiono znacznie większy zamek w Bearn po francuskiej stronie Pirenejów. Nawarra bowiem obejmowała niegdyś również południowo - zachodnią Francję, Aragonię i Kastylię. W wieku szesnastym Nawarra była centrum kulturalnym. Królowie nosili na zmiany imiona Garcia, Sancho i Ramiro, tylko od czasu do czasu zdarzało się inne. Były też znane królowe, jak małżonka Ryszarda Lwie Serce, Berengaria, różne władczynie o imionach Urraca i Blanca oraz jedna Eleonora i jedna Margareta, która wyraźniej zapisała się w historii. Żyli tu ludzie kochający wolność, którzy często wojowali z Maurami, krajami sąsiednimi oraz zjednoczoną Hiszpanią. Tak, to już chyba wszystko, co mogłaby powiedzieć. Jeszcze tylko to, że Nawarra była królestwem w latach od około 750 do 1600.

Unni wzięła jedną z dwóch tabletek nasennych, jakie zostawił jej Antonio na wszelki wypadek, gdyby po koszmarach wizjach nie mogła, tak jak ostatnio, spać.

Teraz znowu będzie musiała przez to przejść.

Och, jak tęskniła za Antoniem i Veslą! Jaka szkoda, że musieli wyjechać! Odbierali jednak budzące niepokój telefony od Gudrun, z których wynikało, że ona i Morten nie są już

w Molden bezpieczni. Morten wyzdrowiał po zaziębieniu, ale albo ma jakieś paranoidalne zwidzenia, albo też rzeczywiście obserwuje ich jakiś człowiek. Antonio obiecał się tym zająć.

Unni zaczynała być senna.

Pedro i Jordi siedzieli przy oknie, pogrążeni w tak cichej rozmowie, że nie słyszała, o czym mówią, nawet nie próbowała usłyszeć.

Ciągle jeszcze mapa ze skóry nie została ulokowana pod poduszką. Panowie chcieli zaczekać, aż Unni zaśnie, żeby nic jej przed czasem nie niepokoiło. Obaj jednak wyglądali nieco dziwnie. Spięci, jakby gnębieni poczuciem winy. Nie podobało jej się to.

Tabletka wzmocniona winem zaczynała działać. Powieki Unni opadły. Świat realny zniknął, jego miejsce zajmował przyjemny świat snu. Był w nim przy niej Jordi, pomagał jej szukać czegoś na targu warzywnym. Było to bardzo przyjemne.

Jordi popatrzył w oczy Pedra, po czym wyjął z kieszeni kawałek brązowej skóry. Obaj podeszli do wspaniałego łóża.

Twarz Jordiego wyrażała najwyższe z wątpienie i niechęć. Pedro jednak dał znak, że powinien działać.

Unni spała na boku. Ręce podłożone pod policzek, jak u dziecka. Z bólem serca Jordi wsunął skórę nie pod poduszkę, lecz bezpośrednio między złożone dłonie.

Unni została gwałtownie wyciągnięta z niewinnego targu warzywnego i wepchnięta do innego świata, świata strachu i ciemności, zgiełku i krzyku wielkich sępów.

Nie!

Tym razem nie była sparaliżowana, ale mimo to nie mogła odwrócić wzroku. Musiała patrzeć. Musiała przeżywać.

I czuła wszystko tak bezpośrednio, jakby w tym uczestniczyła, jakby była jedną z tych osób ze średniowiecza, tworzących gęsty tłum na rynku.

Tym razem wydarzenia następowały po sobie szybciej. Ona sama nie mogła niczego porównywać, bo pierwszy sen uleciał z jej pamięci. Była zupełnie nową obserwatorką wydarzeń, które toczyły się niezmiernie wartko.

Spojrzała w śmiertelnie przerażone oczy. Oczy młodej dziewczyny. Takiej ślicznej, takiej wstrząsająco młodej. Ręce miała związane na plecach, na pięknej, wyszywanej paciorkami sukni z jedwabiu. Wysoko upięte włosy, ozdobione sznurami pereł, maleńkie jedwabne pantofelki - wszystko świadczyło o jej arystokratycznym pochodzeniu.

Chłopiec, jeszcze nawet nie dwudziestoletni, z całych sił starał się zachować suche oczy. Wciąż się modlił, do Boga, do Dziewicy Maryi i różnych świętych, to znowu błagał rycerzy, by przybyli jak najprędzej i uratowali ich.

Nie było jednak nikogo, kto mógłby im pomóc. Tylko ten wyjąty tłum i żołnierze, poza tym zakonnicy, dobrzy, w szarych habitach, oraz budzący grozę czarni mnisi. Sługusy inkwizycji.

Jestem tutaj, próbowała wołać Unni. Pomogę wam.

Ale stała pośrodku tłumy. I nikt jej nie słyszał.

Tym razem nic nie zostało Unni oszczędzone. Głowy toczyły się po bruku, tłum był chorobliwie podniecony, niektórzy przepychali się naprzód, żeby lepiej widzieć, inni wymiotowali, tracili przytomność. Ktoś pochwycił jedną z głów, ale kat natychmiast odrąbał mu rękę.

Unni płakała bezradnie.

Nagle zaległa cisza.

Zmiana scenerii.

Noc. Sępy ponad fosą pełną odpadków. Rycerze i Urraca przybyli. Za późno.

Unni odczuwała ich ból i rozpacz, jakby to jej serce krwawiło. Podążała za nimi, kiedy odjeżdżali, uwożąc dwa okaleczone, martwe ciała.

Jechali przez rozległą równinę. Do tego punktu dotarła w poprzednim widzeniu, kiedy Jordi ją obudził, ale nie zachowała z tego żadnych wspomnień. Teraz sunęła jednak lekko za pięcioma rycerzami i czarownicą. Musieli tak jechać bardzo długo, noc bowiem zaczynała ustępować przed brzaskiem, później ukazało się słońce i przesuwało po niebie, a krajobraz zmieniał charakter. Znowu zbliżał się mrok. We śnie czas mija szybko.

Rycerze bez wahania kierowali się wprost do celu. Unni sunęła za nimi, jakby unosiła się parę centymetrów ponad ziemią i tylko płynęła przed siebie w tempie, w którym czas nie pełni żadnej funkcji.

Dzięki temu bardzo szybko znaleźli się w jakiejś górskiej okolicy, w parę sekund natrafili na wąskie przejście między skałami i jechali rozległą rozpadliną, wzdłuż wzburzonej rzeki. Jeszcze jedna przełęcz i otworzyła się przed nimi niewielka, dobrze ukryta wśród gór dolina.

Unni stwierdziła, że w przeszłości musiała się tu znajdować osada, rozłożona wokół klasztoru. Teraz widziała tylko resztki domostw, ruiny klasztoru i niemal nietknięty kościół. Na wieży wciąż wisiał dzwon.

Rycerze i Urraca zsiadli z koni. Ku wielkiemu zdumieniu Unni, z kościoła wyszło kilku silnych, wysokich mężczyzn. Sądząc po ubraniach, byli to jacyś robotnicy lub rzemieślnicy, nie zdążyła się jednak zorientować, czy są usposobieni wrogo, czy też życzliwie. Na kościelnej wieży stał bowiem jakiś inny człowiek, który raz jeden jedyny uderzył w dzwon.

Uderzenie nastąpiło tak nieoczekiwanie i było tak silne, że Unni podskoczyła na posłaniu i ocknęła się.

- Ona cierpi - zawodził Jordi. - Musimy ją obudzić!

- Nie! Patrz, już się uspokaja. Tylko łzy jeszcze jej spływają po policzkach. Jeśli wytrzyma, to dowiemy się czegoś więcej. Zaczekaj, przyniosę chusteczkę i otrę jej twarz.

Pedro zerwał się tak szybko, że uderzył kolanem stół z nieprzymocowanym miedzianym blatem. Błat zleciał na podłogę z takim łoskotem, że Unni usiadła na posłaniu i rozglądała się zaspana.

- Dźwięk dzwonu - wyjąkała.

- Nie, to tylko Pedro kopnął w stół. Narobił strasznego hałasu. I jak ci idzie? Śnił ci się jakiś dzwon?

- Żeby tylko to - rozszlochała się Unni.



Potem opowiedziała im cały sen, ale rozbudziła się przy tym zupełnie. Przypominała już sobie pierwszą wizję, mogła porównywać.

- Jeszcze raz wizja została przerwana - narzekał Pedro. - Tym razem z mojej winy.

- Trudno, ale już więcej się tego nie podejmę - oznajmiła Unni stanowczo. - Nigdy więcej! Nie jestem w stanie!

- Nie, oczywiście, że nie - postanowił Jordi. - Czy pamiętacie, co Elio mówił o bajce opowiadanej przez jego ojca? Że było tam coś na temat kościelnych dzwonów. I na temat miecza.

- Sprawy z mieczem nadal nie rozumiem, ale co do tych snów, to chyba jesteśmy blisko celu. Musimy tylko odnaleźć ukrytą dolinę - powiedział Pedro.

Unni siedziała zamyślona.

- Zastanawiam się, czy oni nie jechali na północ.

- Co cię skłania do takiego przypuszczenia? - spytał Jordi. Unni wciąż się zastanawiała.

- Słońce. Ruch słońca na niebie. Wszystko odbywało się bardzo szybko, ale słońce zachodziło po naszej lewej stronie.

- Znakomicie! Chodzi tylko o to, że nadal nie znamy punktu wyjścia. To znaczy miejsca, w którym te nieszczęsne dzieci zostały ścięte.

- W każdym razie nie mogło się to stać na północnym wybrzeżu - skwitował Pedro lakonicznie.

- Miecz! - zawołała Unni i poczuła, że na to wspomnienie robi jej się niedobrze.

Obaj mężczyźni patrzyli na nią z uwagą.

- Czy kat posługiwał się mieczem? - spytał Pedro. - Nie toporem?

- Nie, mieczem. Oboje ściał w ten sposób. O, mój Boże!

- Hm, hm! To by znaczyło... że to królewskie dzieci! No w każdym razie bardzo wysokiego rodu.

- Oboje byli pięknie i kosztownie ubrani - przytaknęła Unni. - Tylko że ja bym raczej sądziła, że byli zakochaną parą, nie rodzeństwem.

- Nie rodzeństwem? To jeszcze bardziej komplikuje sprawę - powiedział Pedro głęboko zamyślony. - Chyba będę musiał poszperać w historii dawnych rodów królewskich.

- W Almanachu Gotajskim? - podpowiedziała Unni.

- Nie, on nie sięga tak daleko w przeszłość. Ale mamy bogate archiwa. Muszę pojechać do stolicy Nawarry i szukać.

Nagle Unni krzyknęła:

- Ona miała na imię Elwira!

- Dziękuję! To dobry ślad. Ale skąd o tym wiesz?

- On, ten urodziwy chłopiec, wzywał ją po imieniu, kiedy ją... ścinali. Nie, nie jestem w stanie o tym rozmawiać!

- Rozumiem. A jego imienia nie słyszałaś?

- Nie.

- Szczerze mówiąc, ta Elwira niewiele nam pomoże. W tamtych czasach niemal co druga wysoko urodzona dama miała na imię Elwira.

- Tymczasem nadeszła pora, by Unni mogła nareszcie odpocząć - oznajmił Jordi zdecydowanie. - Poradzisz tu sobie jakoś sama?

Unni rozejrzała się po ogromnym pokoju i przypomniała sobie straszny sen.

Nie, nie poradzę, chciała zawołać. Wiedziała jednak, jak źle się kończą takie noce, kiedy Jordi siedzi na brzegu jej łóżka. A czy Pedro mógłby spać na wolnej połowie łóżka... Nie, to nie do pomyślenia.

Stłumiła więc lęk i odparła:

- Pewnie, że tak!

I w tej samej chwili pożałowała swoich słów. Pedro powiedział grzecznie dobranoc i poszedł. Jordi głaskał ją po policzku z tym ciepłym, trochę smutnym uśmiechem, jaki się pojawiał na jego wargach w intymnych chwilach.

- Wybacz, że zmusiliśmy cię do przeżywania jeszcze raz tego koszmaru - powiedział szeptem. - Bardzo bym chciał zostać przy tobie na noc.

- Ja też bym chciała.

- Mogę siedzieć gdzieś dalej, na przykład przy oknie.

- Nie, musisz się wyspać. Jesteś naszym kierowcą. A nie chciałabym, byśmy stali się bohaterami prasowych doniesień pod tytułem „Szofer zasnął za kierownicą”.

Jordi skinął głową.

- Gdyby ci było źle, to wiesz, gdzie mieszkam.

- I wtedy byśmy wykorzystali nasze pół godziny?

- Tak. A powinniśmy oszczędzić ten czas. Chociaż nie czekajmy zbyt długo!

Unni odpowiedziała mu uśmiechem.

Leżała w tym wielkim, ciemnym pokoju i nasłuchiwała. Nasłuchiwała z szeroko otwartymi oczyma i głośno bijącym sercem.

Stary królewski zamek musiał mieć dość nieszczelne okna. Przez cały wieczór wiał wiatr, szarpał koronami drzew, wciskał się do wnętrza przez szpary i szczeliny przy okiennych futrynach.

Skarga wiatru.

Czy musi ją wciąż prześladować? Czego od niej chce ten wiatr? Czy próbuje jej coś powiedzieć?

Miała wrażenie, że rozróżnia słowa: „Vend om, vend om!”\* Ale po hiszpańsku znaczy to pewnie coś innego, choć nie wiadomo, czy wiatr woli język hiszpański, czy skandynawski. Ale, ale... Czyż pewne miasto we Francji nie nazywa się Vendôme?

Czego miałyby tam szukać?

Uff, chyba wyobraża sobie za dużo.

Silniejszy podmuch wiatru zawył w okiennej szczelinie, którą Unni sobie zostawiła, żeby mieć więcej powietrza. Odnosiła wrażenie, że wszystkie upiory przeszłości zebrały się pod jej oknem i wrzeszczą, jak tamten tłum na dziedzińcu, kiedy młody chłopiec...

Nie!

Unni wstała z łóżka, na pakach podeszła do okna i zamknęła je.

Cisza niczym wata otoczyła jej wzburzony mózg. Nieszczęsna dziewczyna przegryzła na pół drugą tabletkę nasenną. Tfu! Jakie to gorzkie! Połknęła połówkę i natychmiast zasnęła.

Wiatr skarżył się nadal, ale ona pozostawała na to głucha.

---

\* Gra słów. „Vend om” znaczy po norwesku „zawrócić” (przyp. tłum.).

- Opis don Ramiro nie za bardzo się zgadza - zauważył Pedro cokolwiek złośliwie, kiedy następnego dnia samochód mozolnie przedzierał się naprzód krętymi drogami. Jak zwykle wyjechali za późno. Pedro był prawdziwym nocnym markiem i rano lubił sobie poleżeć, Jordi nie chciał budzić Unni. Tylko on i Elio zerwali się tego dnia bardzo wcześnie. Teraz słońce osiągnęło już swoją najwyższą pozycję na niebie. Dość dawno temu.

- Nie - roześmiał się Jordi w odpowiedzi na komentarz Pedra. - Nie porównuj tego ze współczesną mapą. Oni mieli zupełnie inne drogi, przeznaczone dla koni i wozów.

- Przeważnie współczesne drogi pokrywają się ze starymi szlakami - upierał się Pedro. - Tylko że teraz ludzie są bardziej brutalni wobec natury. Drogę wytycza się prosto i już, tnie góry, lasy i pola na dwoje, jeśli trzeba.

- Czy nie lepiej byłoby trzymać się opisu ojca Elia? - spytała Unni. - I pojechać do czarodziejskiego miasta Ujué. Bardzo bym chciała je zobaczyć.

- Właśnie tam jedziemy, kochanie - zapewnił Jordi łagodnie. - Czy nasz znakomity kartograf tego nie zauważył?

- Ale na początku strasznie kręciłeś, jakbyś nie mógł znaleźć drogi.

- Bo chciałem sprawdzić, jakby to było, gdybym się trzymał wyjaśnień mego przodka. On jednak zapomniał mi powiedzieć, że droga, którą znał, już nie istnieje.

- W takim razie lepiej trzymać się mapy - westchnęła Unni. - Pozostaje tylko jeszcze pytanie, skąd przybył Santiago, jego ojciec i bracia, kiedy znaleźli się w Ujué. Jechali z północy czy z południa?

- Niestety, tego nie wiem - szepnął Elio z żalem.

- Tak, to bardzo ważne pytanie - przytaknął Pedro. - Po prostu rozstrzygające.

- Wcale nie! - zaprotestował Jordi. - Don Ramiro powiedział mi bowiem dokładnie gdzie, w stosunku do Ujué, leży posiadłość.

- No, jeśli był równie dokładny, jak przy opisie drogi, to nie mamy się czym martwić - mruknęła Unni z przekąsem.

Nie trwało jednak długo, a znaleźli się w okolicy Ujué i Jordi postanowił wjechać do miasteczka. Unni była zachwycona, podskakiwała na swoim siedzeniu, to paplała radośnie, to przenikał ją dreszcz grozy. I chyba słusznie, z rynku miasteczka bowiem rozciągał się widok na niemal przerażająco dziki krajobraz.

- Jestem przytłoczona - westchnęła Unni. - Jakie to wszystko wielkie, nieskończenie wielkie, chciałoby się powiedzieć. I jakie piękne w tej surowości. - Odwróciła się. - Spójrzcie na ten kolosalny kościół! A ruiny zamku górujące nad... miasteczkiem duchów!

- No, no - mitygował ją Pedro. - Miasteczko duchów to to nie jest. Choć muszę przyznać, że wszystko razem imponujące, łagodnie mówiąc. I magiczne! Czy wiecie, że każdego roku, w niedzielę po dniu świętego Marka, przychodzą tu tysiące pokutników? Bosi, ubrani na czarno, idą w procesji dookoła kościoła.

I to pomaga? chciała zapytać Unni, ale zrezygnowała. I Pedro, i Elio mogą być katolikami. Nie chciała powiedzieć niczego, co by uznali za bluźnierstwo.

- No, to dokąd teraz? - spytał Pedro, wpatrując się w majestatyczny krajobraz. - Gdzie leży posiadłość?

Jordi pokazał ręką.

- Tam, za tymi wzgórzami.

- Tak daleko? - Pedro był rozczarowany.

- Owszem. I droga może być kiepska. W czasach Santiago można tu było chyba przejechać jedynie furą lub powozem. Pojedziemy, dokąd to będzie możliwe, potem pójdziemy.

- Przecież musiały być drogi do takiej wielkiej posiadłości - upierał się Pedro.

Elio był wzruszony.

- Mój Boże, tam leży majątek moich przodków - westchnął. - No i twoich, Jordi, także - dodał pośpiesznie.

- Tak, wygląda na to, że po tamtej stronie wzniesień może być równina - zgodził się Pedro. - Tak jak mówił twój ojciec, Elio.

- Posiadłość ma leżeć tuż za wzniesieniami - wtrącił Jordi. - Dlatego stąd nie możemy jej zobaczyć.

Przez chwilę podziwiali widoki, potem ruszyli z powrotem w stronę samochodu.

Pojawił się jakiś człowiek z psem. Pedro zapytał go, czy to prawda, że po tamtej stronie gór znajduje się duża posiadłość.

- Posiadłość?

- Tak. W swoim czasie należała podobno do rodu de Navarra.

Ponury uśmiech, lepiej byłoby powiedzieć grymas, wykrzywił twarz nieznajomego.

- Ach, ta posiadłość, tak. Ale to było bardzo dawno temu.

I ruszył przed siebie.

Pedro zapytał uprzejmie, czy można się tam dostać samochodem.

Mężczyzna znowu przystanął.

- No, owszem, idzie tam droga... - Pokazał gdzieś daleko, Unni uznała, że w kierunku południowym. - Ale w jakim jest stanie, to ja już nie wiem.

Mężczyzna zniknął im z oczu, pies powłókł się za nim.

Jordi zeszywniał. Powoli odwracał się znowu w stronę twierdzy.

- Spójrzcie tam - szepnął.

Pedro i Elio nie powiedzieli nic, zrobiła to natomiast Unni.

- Mnisi - wykrztusiła zdławionym głosem.

Stali wysoko na krawędzi ruin i patrzyli w dół na czworo wędrowców, z ich postaci emanował jakiś ponury triumf.

- Więc oni tu są? - szepnął Pedro, a Elio zrobił się trupio błądy. Nasłuchał się o tych mnichach od samego dzieciństwa.

- Owszem, stoją sobie tam na górze, ale nic nam zrobić nie mogą. Bo są w stanie nas osiągnąć jedynie w chwili naszej śmierci. Unni i mojej. Wy jesteście bezpieczni. Zawsze byłem ciekaw, czy Leon albo ktoś inny utrzymuje z nimi kontakt - rozgadał się Jordi.

- Jedźmy już stąd - mruknął Pedro.

- Elio - zaczęła Unni, kiedy jechali już na południe bardzo dobrą drogą. - Oj, jak tu ślicznie! Ta droga musi być na mojej mapie zaznaczona na zielono.

Sprawdziła, jak jest w rzeczywistości.

- O, jest! - zawołała zadowolona. - Zielony oznacza wyjątkowo piękne krajobrazy.

- Czy to właśnie chciałaś mi powiedzieć? - spytał Elio, odwracając się ku niej.

- Och, nie! Przepraszam! Zapomniałam! Elio, ja się często zastanawiam... W jaki sposób właściwie Santiago umarł?

- Umarł w swoje dwudzieste piąte urodziny.

Unni spojrzała na ukochany profil Jordiego, myślała o młodym Santiago, który był taki do niego podobny, i zrobiło jej się bardzo smutno.

- Ale w jaki sposób umarł? - spytał Pedro.

Elio odpowiedział:

- Ojciec raz o tym wspominał. To było straszne. On się powiesił. W piwnicy.

- W waszym domu w Granadzie, prawda? - włączył się do rozmowy Jordi.

- Owszem. Ale ani ojciec, ani dziadek nie mogli pojąć, dlaczego to zrobił. Był tak blisko rozwiązania zagadki. Zaangażowany w tę sprawę, doprowadziłby ją do końca przed upływem swojego czasu. Nie, ja też nie wiem, dlaczego on to zrobił.

- Ale w tym czasie Emile już od was uciekł?

- O, tak, na długo przedtem. Ojciec widział go potem jeszcze tylko raz. Wtedy Emile był już w pełni dorosły.

- To było w Granadzie?

- Chyba tak. Ojciec miał rodzinę. Bliźniaczki skończyły rok, więc zaprzestał już podróży.

Elio umilkł.

- Poczekajcie chwilę - powiedział wolno.

Czekali.

- To mogło być... Emile był młodszy niż Santiago i ojciec. Pedro, czy ty dajesz do zrozumienia, że Emile mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Santiago?

- Myślisz, że to jest do pomyślenia?

- Trudno mi rozstrzygać, jeszcze mnie przecież nie było wtedy na świecie. Ale czas mógłby się zgadzać.

- Emile nie był u twojego dziadka szczęśliwy, prawda?

- Tak. Bądź co bądź dziadek zabił mu ojca. Podobno Emile był okropnym bachorem, miał w sobie wiele zła. Właściwie to wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy uciekł.

- Pytanie moje brzmi: Czy on uciekł z powrotem do posiadłości, która przez jakiś czas należała do jego ojca?

- Mam nadzieję, że zdołamy to dzisiaj wyjaśnić - westchnął Elio.

Jordi zwolnił tempo jazdy, rozglądał się za boczną drogą, ale na razie żadnej nie widzieli.

## JEDNOCZEŚNIE

- Otrzymałem wiadomość - poinformował nieoczekiwanie Leon.

Alonzo słuchał ze złością. Dlaczego on nigdy nie dostaje wiadomości od mnichów?

Ale, jak powiedziano, Leon zajmował wyjątkową pozycję.

- I co mówili tym razem? - zaskrzeczała Emma. Na pół leżała na tylnym siedzeniu, a swoje szczupłe nogi opierała na ramionach Alonza. Bose palce łaskotały go po karku.

Wolałby, żeby tego nie robiła. Dostawał od tego erekcji, a przecież Emma należy do Leona. Szczerze mówiąc, nie rozumiał, co ona widzi w takim podstarzałym, owłosionym facecie. W takiej starej małpie. Która w dodatku zaczyna łyseć.

- Depczemy im po piętach - wyjaśnił Leon. - Dopiero co byli w Ujué, co wyraźnie i jasno znaczy, że są w drodze do starej posiadłości.

Emma opuściła nogi i usiadła prosto.

- Jezu, pomyśleć, że mój przodek, Emile, mieszkał tam jako dziecko! Najbliższe miasteczko nazywało się właśnie Ujué. Jedź szybciej, Leon, moje kochanie!

Alonzo poczuł mdłości. Żeby tak choć raz zostać z Emmą sam na sam! Ona była najwyraźniej chętna, pokazywała mu większość z tego, co ma, i to w sytuacjach uwodzicielskich, wprawdzie udawała, że to wszystko tak, po prostu przypadkiem, ale jednak... Flirtowała z nim. Te przeciągłe spojrzenia, ten wyraz twarzy od czasu do czasu. No pewnie, wiedział przecież, że jest przystojny. Mógłby się z nią zabawić tak, że Leon musiałby się schować. Całą noc nie dałby jej spokoju.

No, w każdym razie jakieś dziesięć lat temu to bym mógł, pomyślał przygaszony. Teraz to już się zdarzało, że w środku nocy zasypiał.

Ale nie przy takiej kobiecie jak Emma!

- Tutaj skręcimy - poinformował Leon. - Pojedziemy wzdłuż rzeki Aragón aż do Monasterio de la Olivia.

- Skąd wiesz, że powinniśmy jechać do jakiegoś klasztoru? - spytała Emma.

- Cicho bądź - syknął Leon. - Mnisi mną kierują.

Alonzo zrobił się jeszcze bardziej zły. Nie dostrzegał wspaniałego krajobrazu. Jego ludzie towarzyszyli mu drugim samochodem. Tutaj, w Hiszpanii, on był szefem. Leon nie miał tu nic do gadania.

Ale dobrze wiedział, że to nieprawda. Tylko że teraz chciał być zły na Leona i już!



- To musi być tutaj! - wykrzyknął Jordi, hamując gwałtownie. Jechali na południe aż prawie do Monasterio de la Olivia, a potem znowu skręcili. Pamiętali tę boczną drogę, która wzbudziła w nich tyle wątpliwości. - Patrzcie, ona wiedzie na pustkowia. Żadnego drogowskazu, to musi być ta.

- Spróbujmy - postanowił Pedro.

- Owszem, tam jest jakiś drogowskaz - stwierdziła Unni. - Na pół schowany i wyblakły. Co tam jest napisane?

Elio siedział najbliżej. Zmrużył oczy.

- Mogę przeczytać jedynie „Cas... scob...”

- Tak - potwierdziła Unni z tylnego siedzenia. - Czy to mogłoby mieć coś wspólnego z Escobarem?

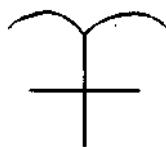
- „Casa de Escobar”? - zastanawiał się Pedro. - To brzmi prawdopodobnie. Mogliby jednak bardziej dbać o swoje drogowskazy.

- I o drogi też - mruknął Jordi. - Takich marnych jeszcze nie widziałem.

- No właśnie, nie mógłbyś jechać trochę ostrożniej? - poprosiła Unni, która starała się coś przerysowywać z pocztówki, którą kupiła w Alhambrze. - Na tych drogach trudno być artystą!

- A co rysujesz? - spytał Pedro z zainteresowaniem.

Pokazała mu kartkę. Jej dzieło było prawie gotowe.



- Znak rycerzy! - stwierdził z podziwem. - Świetnie odtworzony, ale po co?

- To... Nie... a zresztą wszystko jedno.

- Nie, no powiedz nam - nalegał Jordi, który zobaczył rysunek w tylnym lusterku.

- E, to chyba głupie, tak sobie po prostu wyobraziłam, że powinnam to zrobić.

- Tych swoich „wyobrażeń” to się chyba powinnaś wystrzegać. Ale też podążać za nimi - stwierdził Jordi z wielką powagą.

- Tak właśnie zrobiłam. I zniszczyłam sobie ołówek do oczu przy okazji. Od tej chwili będziecie mnie oglądać w naturze.

- Bardzo mnie to cieszy - skwitował Jordi.

Droga była coraz gorsza. Przedzierali się, podskakując, jakieś pół godziny przez coraz większe pustkowia i nagle musieli się zatrzymać. Znajdowało się przed nimi tyle dziur, że żaden samochód by tędy nie przejechał.

Tymczasem dzień także dobiegł końca.

- To nie może być właściwa droga - stwierdził Pedro. - Prawdopodobnie dojazd do posiadłości prowadził z skądinąd, nie z Ujué.

- Może powinniśmy zawrócić? - zaproponował Elio. - Wszyscy się z nim zgodzili. - Jeśli tylko przedostaniemy się przez ten łańcuch wzgórz przed nami, będziemy na miejscu.

Elio jeszcze nie doszedł do siebie po przeżyciach, jakich doświadczył podczas forsowania rzeki poprzez most tak zrujnowany, że ugiął się i trzeszczał pod samochodem. Myśl o tym, że może będą musieli tę trasę pokonać raz jeszcze w odwrotną stronę, absolutnie go nie pociągała. Ale noc nadchodziła, a owe nieznanne bezdroża, które mieli przed sobą, też nie budziły w nim entuzjazmu.

- Musi być jakaś przełęcz - zastanawiała się Unni głośno.

- I jest! - zawołał Pedro. - Patrzcie tam! Droga wiedzie w górę ku przełęczy. Idziemy! Weźcie tylko to co najniezbędniejsze, to wcale nie jest daleko.

Z przykrością opuszczali samochód. Ostatni przyczółek bezpieczeństwa, myślał Elio.

- Zrobiło cię całkiem ciemno - mamrotał pod nosem.

- Nie, no nie przesadzaj! - zawołał Pedro optymistycznie. Czuł się znowu młodo i od lat nie uczestniczył w takiej podniecającej przygodzie. - Nie zauważyłeś, że jest pełnia i księżyc będzie nam oświetlał drogę? Na razie jest jeszcze błądy, ale później wieczorem światło będzie silniejsze.

Pełen cokolwiek wymuszonej odwagi Pedro objął przewodnictwo. Wszyscy wiedzieli, że bardzo mu się spieszy na spotkanie z lekarzem w Madrycie, który mógłby potwierdzić poprawę jego zdrowia.

Unni domyślała się, że Pedro od dawna pozostaje w kontakcie z rycerzami. W przeciwnym razie nie miałby do nich takiego zaufania. Ale aż tak pełnego związku z nimi jak Jordi na pewno nie miał. Jordi jest wyjątkowy.

Powlekli się drogą pod górę. Góry w Nawarrze nie były takie potężne jak w sąsiedniej Aragonii, położonej przecież bardzo niedaleko. Pewnie mogliby nawet zobaczyć jej krańce, gdyby w Ujué wspięli się na szczyt zamkowych ruin, choć nie wiadomo. Aż tak dobrze geografii Hiszpanii Unni nie znała. A nie wszystko można wyczytać z mapy.

Zmierzch zapadał tutaj wolniej niż w Andaluzji. Wciąż bardzo wyraźnie widzieli wszystkie detale.

Dotarli do niewysokiego wzniesienia.

- Widzę posiadłość! - zawołał Elio przejęty. On był pierwszy. - Majaczy mi między wzgórzami.

Reszta towarzystwa dobiegła do niego i przez dłuższy czas stali wszyscy w milczeniu.

- Tak, to z pewnością jest posiadłość - stwierdził Pedro sucho. - Ale od bardzo dawna nikt tam nie mieszka.

- Santiago miał dwanaście lat, kiedy stąd wyjechał - przypomniała mu Unni. - To musiało być jakieś sto dwadzieścia pięć lat temu. A może oni byli ostatnimi mieszkańcami?

Natura odebrała sobie równinę i pokryła ją gęstą roślinnością. Dawne pola porastały teraz liściaste zagajniki, w których to tu, to tam strzelało w górę jakieś drzewo iglaste. Z miejsca, w którym stali przybysze, dwór widoczny był słabo. Majaczył im w oddali jakiś wielki, na pół zawalony dach i w różnych miejscach żółto-brunatne fragmenty murów.

Jordi powiedział głośno to, co wszyscy myśleli:

- To dla nas wielkie szczęście. Będziemy mogli w spokoju szukać „skarbu” Santiago.

- Znakomicie! - potwierdził Pedro. - No, to co? Idziemy? Zostało nam jeszcze tylko jedno wzniesienie.

- Tam stoi samochód - pokazywał Leon. - To chyba ich.

Wysiedli wszyscy z obu wozów, żeby się przyjrzeć.

- Poznają tę kurtkę - oświadczyła Emma, która zaglądała na tylne siedzenie. - To Unni. Ta głupia mała gąska, co ona robi w Hiszpanii?

- Daleko nie zajechali - głośno myślał Alonzo. - My zresztą też nie.

- Ale jesteśmy już chyba u celu. Chodźcie, dogonimy ich - postanowił Leon.

Ruszyli rzędem coraz węższą dróżką. Alonzo i Emma na końcu. Ona, za plecami Leona, położyła rękę na najszlachetniejszym punkcie ciała Alonza. Na szczęście zdołał stłumić jęk zaskoczenia.

Znajdowali się w nierównym, skalistym terenie, droga była dziurawa, między sterczącymi co kawałek wielkimi kamieniami, które Unni i jej towarzysze musieli pokonywać, czaiły się podstępne rozpadliny. Zresztą trudno w ogóle mówić o drodze, coś, co niegdyś nią mogło być, pochłonęła roślinność i pokryły staczające się z góry kamienie.

- Patrz pod nogi, Unni! - zawołał Jordi, podając jej pomocną, choć lodowato zimną dłoń.

Zmrok zapadał, ale księżyc nabierał intensywności i świecił coraz silniejszym blaskiem. Elio zaczynał się denerwować, po części z przejęcia, ale też i ze strachu przed cieniami, które ukrywały tak wiele.

I jego lęk był uzasadniony, choć głośno o tym nie mówił.

Znajdowali się nad małą szemrzącą rzeczką. Musieli się przez nią przedostać, żeby iść dalej.

- No, trzeba przyznać, że zeszliśmy jakby trochę na manowce - stwierdził Pedro, skacząc jako ostatni po kamieniach.

- Nie, no skąd - odparł Elio z udanym optymizmem. - Zostało nam już niewiele, jesteśmy dokładnie nad posiadłością.

Ogarniało go rozczarowanie. Marzył przecież o przejęciu wielkiego dworu, dziedzictwa przodków. Miał nadzieję, że nikt tam teraz nie mieszka i nikt nie będzie sobie rościł pretensji.

Tak, dotychczas wszystko układało się po jego myśli, ale co dalej w tej sytuacji? Co miałby począć z taką ruiną? W dodatku położoną daleko na dzikich pustkowiach?

Przez cały czas tej pieszej wędrówki Unni wsłuchiwała się w wiatr, szumiący w koronach drzew. Po wietrznym dniu nastąpiła równie wietrzna noc. Unni przyjmowała to niechętnie, jej wyobraźnia wyławiała nieustannie żalosne, monotonne zawodzenie w tonacji moll. Miała wrażenie, że słyszy w tym głosy, rozpaczliwe prośby o pomoc, złowieszcze ostrzeżenia, by nie szła dalej. „Vend om, vend om!”

I teraz, kiedy stali nad toczącą się między kamieniami wodą, zapragnęła, żeby to był potężny wodospad, który mógłby zagłuszyć szemrzące, skarżące się głosy.

Chociaż może i w huku mas wody też bym je słyszała, pomyślała sceptycznie.

Trzymała się możliwie jak najbliżej Jordiego.

Nagle rozległ się krzyk. Przejmujący ptasi wrzask, jakby z rozwartych dziobów setki drapieżników. Idylla pogrążonego w mroku lasu została zburzona, krzyk przenikał do szpiku kości.

Jordi chwycił Unni za ramię i przyciągnął do siebie. Oboje widzieli mnichów, stojących na tym samym brzegu rzeki co i oni, tylko na drugim jego krańcu - między wodą a skałami rozciągało się parę metrów porośniętej trawą gleby.

To mnisi wydali z siebie ten potworny, przejmujący krzyk zwycięstwa. Unni było na przemian to zimno, to gorąco, trzęsła się cała z wszechogarniającego strachu. Nigdy by nie pomyślała, że mnisi mogą się zdobyć na jakiś głos. I w dodatku taki!

Jordi przyciskał ją coraz mocniej. Tym razem nawet nie zwróciła uwagi na płynący od niego chłód. Jak sparaliżowana wpatrywała się w skały.

- Co to było? - spytał Pedro, który nie mógł widzieć mnichów.

- Czy to jakiś drapieżny ptak? - wtórował mu Elio.

- To mnisi - rzekł Jordi krótko. - Zaraz *coś* się stanie, nie wiemy tylko, co.

Leon i jego kompani stanęli jak wryci.

- Co to, do cholery, było? - spytał których z mężczyzn.

- Z tymi ptakami nie chciałbym się spotkać - dodał drugi.

- Nie - zaprzeczył Leon z paskudnym uśmiechem na wargach. - To nie żadne ptaki.

Coś mi się zdaje, że nasi ubrani na czarno przyjaciele szykują się do akcji.

- Mnisi? - wymamrotał Alonzo, który nie czuł się za dobrze na tych zalanych upiornym blaskiem księżyca pustkowiach.

- Tak, mówiłem przecież, że oni coś kombinują.

- A ty wiesz, o co to chodzi? - zaciekawiała się Emma, i oczy jej rozblęły w oczekiwaniu na sensację.

- Tak dokładnie to nie - odparł Leon niepewnie, nie wiedział bowiem nic. - Ale sami słyszeliście, mnisi są niedaleko, tuż przed nami. Moim zdaniem ruszyli do ataku na naszych wrogów.

- Oni mogą coś takiego zrobić? - zdziwiła się Emma, co bardzo zdenerwowało Leona, który nie miał ochoty na ujawnianie swojej niewiedzy.

- Osobiście nie! - syknął ze złością. - Ale już oni wiedzą, co robią, możesz mi wierzyć!

- Jezu! - wrzasnął któryś z ludzi. - Czujecie? Ziemia się trzęsie!

- Nie gadaj głupstw! - warknął na niego Leon i w tym samym momencie on też poczuł to samo. Ziemia, na której stali, drżała równomiernie i rytmicznie. I nie było to w żadnym razie przyjemne uczucie, o nie!

Jordi niezdecydowany stał na łące. Pedro i Elio znajdowali się bliżej skał, Unni jednak wolała zostać przy nim.

Uniósł rękę, by ją osłaniać, trzymać z daleka od tego, co się będzie działo.

W pewnej chwili kątem oka dostrzegł, że coś się zbliża, i odepchnął Unni w bezpieczne miejsce.

Brzegiem rzeki gnał ku nim bezgłośnie rycerz na koniu. Młody don Ramiro de Navarra, zdążyła dostrzec Unni, po raz pierwszy widzieli go bez czarnej opończy. Był w pełnej zbroi, połyskującej teraz w blasku księżyca.

Przeleciał koło nich w szalonym galopie i rzucił coś Jordiemu, po czym natychmiast zniknął.

Pedro i Elio wcisnęli się głęboko między bloki skalne. Unni zobaczyła, że Jordi chowa jakiś przedmiot pod kurtką. Stał odwrócony plecami do mnichów.

Miecz? Błysnęło coś metalicznie, zanim zdołał to ukryć. Ale nie był to zwyczajny błysk stalowego miecza. Ten otaczała migotliwa, niebieska aura, jakby pochodził nie z tego świata.

Co skłoniło Unni, by postąpiła tak, jak postąpiła, nie wiadomo. Była niczym dziecko, które waży się na niemożliwe - tylko dla samego niebezpieczeństwa, w przyływie szaleńczej odwagi.

I ze względu na Jordiego. Chciała mu pomóc. Z całą siłą woli i miłością, która dawała jej moc.

Kiedy Jordi ją odepchnął, upadła tak, że miała teraz mnichów ponad sobą. Widziała ich nieco z boku, ale odległość, jaka ją od nich dzieliła, była niewielka. Trzeba się było tylko wspiąć na kilka łatwo dostępnych skał.

Mnisi całą swoją uwagę skupiali na Jordim, jakby podejrzewali, że ma plany, których oni nie są w stanie przeniknąć ani sobie wyobrazić.

Z miejsca, w którym się znajdowała, Unni nie mogła zobaczyć Pedra i Elia. Oni zresztą byli teraz wyłącznie statystami. Nic nie rozumiejącymi, przerażonymi świadkami.

Jordi też jej nie widział. Stał do niej tyłem i wsłuchiwał się w coś innego.

Mnisi wydali z siebie ten triumfalny krzyk drapieżnych ptaków i umilkli. Oni też nasłuchiwali.

Poprzez cichy szum wody zaczął do nich docierać odgłos zbliżających się, ciężkich kroków. Nienaturalnie ciężkich. Na razie były jeszcze daleko, ale ziemia ugięła się pod każdym stąpieniem.

Unni wiedziała, że to właściwy moment. Jeszcze chwilka i będzie za późno.

Wyjęła z kieszeni pocztówkę, na której w samochodzie rysowała, i zaczęła się skradać. Wiedziała, że musi być bardzo blisko, niebezpiecznie blisko, w przeciwnym razie to nie zadziała.

I nagle krzyknęła. Zwyczajnie, po norwesku:

- Patrzcie tu!

Kartkę wyciągała w kierunku mnichów.

Oni odwrócili się błyskawicznie, obrzydliwi, odpychający. Kiedy tak patrzyła na ich twarze tuż przed sobą, robiło jej się niedobrze.

Trzech znajdowało się wystarczająco blisko. Gapili się na rysunek, najbardziej przez nich znienawidzony symbol, otwierali usta jak do krzyku, ale za późno.

Unni była śmiertelnie przerażona. Nareszcie dotarło do niej, co zrobiła. Teraz z pewnością pozostali mnisi rzucają się na nią i pociągną za sobą do świata ciemności i grozy.

Ale mnisi zniknęli. Zatrwożeni bliskością symbolu uciekli z powrotem do swojej, przenikniętej złem sfery. Zostali tylko ci trzej na ziemi, którzy wili się jak w straszliwych męczarniach, aż w końcu zaczęli pękać i rozpląwać się w powietrzu.

Jordi odwrócił się, słysząc, że Unni woła: „Patrzcie tu!” Krzyknął wstrząśnięty:

- Unni, co ty robisz? Wracaj natychmiast!

Unni, potykając się, zbiegła na dół. Musiała jednak minąć kilka wielkich kamieni i wtedy straciła Jordiego z oczu. Natrafiła na Pedra i Elia, wczłgała się na chwilę do ich kryjówek.

- Unni, co się tam dzieje? - wyszeptał Pedro. - Co to tak dudni, że się ziemia trzęsie?

- Nie wiem - odparła również szeptem. - Ale ja wyeliminowałam trzech mnichów!

Uniosła w górę swoją kartkę. Pedro ujął jej rękę i mocno ścisnął.

Unni wymknęła się spod kamienia. Ostrożnie. Chciała dotrzeć do Jordiego.

Ale Jordiego nie było na dawnym miejscu.

Wyszła na zalaną księżycowym światłem, otwartą przestrzeń.

- Jordi?

Głos jej lekko drżał. Bo teraz te dudniące kroki kierowały się prosto na nią.

I po chwili ukazała się budząca grozę istota. Unni schowała się za kamieniem, postać szła wciąż prosto na nią.

Była to nienaturalnie wielka, świecąca jakimś mdłym blaskiem męska postać. Coś najbardziej odpychającego, co się Unni zdarzyło widzieć. Istota owa już za życia musiała wyglądać obrzydliwie, ale teraz każdy wstrętny szczegół został spotęgowany złem, którym potwór emanował.

Ciężki, brutalny, przedhistoryczny, takie i podobne określenia przelatywały Unni przez głowę. Ale nie, strzępy gałganów, jakie potwór miał na sobie, należały do późnego średniowiecza. Włosy i broda były jednym wielkim kołtunem, w którym aż się roilo od wszy i wszelkiego robactwa. Dwoje nienawistnych, podstępnych ślepi połyskiwało spod potarganej grzywy. Wielki czerwony nos, szerokie usta, w których brakowało wielu zębów, dopełniało obrazu tej, było nie było, twarzy. U pasa potwór nosił mnóstwo dziwacznych przedmiotów magicznego charakteru.

I nagle Unni uświadomiła sobie, kto to jest. Toż to tajna broń mnichów!



WAMBA.

Czarownik ścigający pięciu nieszczęsnych rycerzy, przeganiający ich w nieustającym piekielnym tańcu potępionych.

Teraz jednak czarownik na Unni nie patrzył, nie szukał jej. Przebiegłe oczka wpatrywały się w coś poza nią. Roześmiał się, ordynarnie, odpychająco.

Unni odwróciła głowę.

Tam, na szczycie wzgórza, stał Jordi - jedyny, który mógł wyjść mu naprzeciw, jak równy przeciw równemu.

Wamba był upiorem z innego świata. Nikt spośród żywych nie jest w stanie go pokonać. Jordi trzymał w rękach miecz rycerzy, również przychodzących z innego świata. Wamba jednak miał swoją sztukę magiczną!

A co przeciwstawiał jej sam Jordi?

Z najgłębszą rozpaczą Unni musiała raz jeszcze uznać, że Jordi należy bardziej do świata umarłych niż żywych.

Z goryczą myślała, że do tej pory chciała widzieć jedynie jego pozytywne strony. Teraz wiedziała więcej.

To był ten Jordi, który bezlitośnie zepchnął ze schodów napastnika, by ją ratować. To ten, który niemal stał na proch człowieka na torze kolejowym. To był ten twardy, lodowato zimny Jordi, który potrafił bezlitośnie mordować. Wybrany przez rycerzy. Najsilniejszy.

Skarga wiatru przybierała na sile, zmieniała się w wycie, jakby wychodziła z gardzieli tysięcy duchów otchłani.

Ucisz się, ucisz się, nie chcę tego słuchać, zawodziła Unni w duchu.

I nagle wiatr jakby ją usłyszał. Podporządkował się... i w lesie zaległa kompletna cisza.

Jakby wszystko wstrzymało oddech.

Jordi uniósł miecz, połyskujący niebieskawo w księżycowej poświacie.